NIEDAWNO W ROYAN

Przedmowa

Pragnę nadać bieg marzeniom, wierząc w ich wielką moc zdolną odmienić cierpiącą i skorumpowaną cywilizację. To sprzeciw wobec *status quo* przez prezentację wizji przywrócenia etosu sprawiedliwości, zapewnienia słabszym równych szans i lepszych warunków życia. Pragnę przywrócić wiarę w możliwość unicestwienia wszelkiego zła i urzeczywistnienia świata naszych marzeń. Chcę, by idee, które przedstawiam i wyznaję, stały się bliskie czytelnikowi.

Dążę do stworzenia szczególnej relacji z osobami, które wierząc w moc marzeń, nie myślą stereotypowo, śmiało kierują się własną intuicją, odrzucając fałszywe wzory, innowacyjnymi, pragnącymi lepszego świata. Budując w wyobraźni i realnym świecie obrazy szlachetnej globalnej wioski, robią to dla siebie samych, a także następnych pokoleń. Wiara w lepsze jutro i jej upowszechnianie jest inspiracją książki.

Fabułę kilku spośród szesnastu nowel kształtują mistycyzm, ezoteryka i metafizyka. To tytułowe opowiadanie – ***Niedawno w Royan*** – a także: ***Candice i Pascal***, ***Wigilia***, ***Brylant***, ***Cień*** oraz ***Paryska historia***. Losy bohaterów kreuje nieznane przeznaczenie. Miejsca akcji położone są w Europie i Ameryce Północnej. W jednym z wiodących wątków, niemal przesłaniem, jest konstatacja, by nie odrzucać miłości, którą obdarza nas los. Odwaga, wierność zasadom i otwartość są cechami pozytywnych bohaterów. Nie wszystkich z nich uchronią jednak przed zemstą mafijnych bossów. Jedno z opowiadań – ***Nie oczekujcie, że wam wybaczą*** – jest odrębną, ale szczególną pozycją, przedstawia bowiem dalsze losy bohaterów wydanego wcześniej kryminału autora: ***Nie proście o wybaczenie***.

Uzupełnieniem zbioru szesnastu nowel jest pięć pozycji prozy, także poetyckiej. Jedna z nich, nasycona wrażliwością i miłością do przyrody, o tytule ***Czas poczęcia***, mówi o przetrwaniu i przeznaczona jest dla bardzo młodych czytelników.

Opowiadania są dostępne na stronie autorskiej www.wilczynski-nowele.pl oraz na Youtube w wersji audiobooka, po wpisaniu „wojciech wilczynski nowele" i kliknięciu w „przesłane".

Dotychczas ukazały się cztery książki autora, wszystkie dostępne w wersjach Pdf, Mobi, Epub na stronie wilczynski--nowele.pl:

NIE PROŚCIE O WYBACZENIE – opowiadanie kryminalne wydane w 2012 roku. Wydanie drugie tej książki, w wersji papierowej, ukazało się w 2013 roku nakładem P. Ryma., zaś trzecie w wersji rozszerzonej w 2019 roku – wznowione w 2022 roku.

Hiszpańska wersja kryminału nosi tytuł: NO ESPERÉIS QUE OS PERDONEN NOVELA POLICIACA – pseudonim autora – Steve L. Grotte. W wersji ebooka dostępna jest na stronie autora.

PO WĄSKICH ŚCIEŻKACH – druga książka autora, który posłużył się pseudonimem Wojciech Poraj, ukazała się w 2015 roku. W tym samym roku ukazało się jej drugie wydanie – wersja rozszerzona. Jest to zbiór opowiadań opartych na faktach – przede wszystkim własnych doświadczeniach autora, dostępnych w wersji audiobooka na Youtube. Wznowiona w 2022 roku.

NIEDAWNO W ROYAN – zbiór opowiadań wydany w 2017 roku, wznowiony w 2022 roku.

EMILIA. GRANICE MIŁOŚCI – powieść wydana w 2019 roku, wznowiona w 2022 roku.

wojciech.wilczynski23@wp.pl
w.wilczynski.23@icloud.com

Wojciech Wilczyński

NIEDAWNO W ROYAN

OPOWIADANIA I PROZA POETYCKA

Copyright © by Wojciech Wilczyński

wojciech.wilczynski23@wp.pl
w.wilczynski.23@icloud.com

Projekt okładki:
Orfi s.c. Tomasz Godlewski

Zdjęcie mężczyzny na okładce:
Krystian Data

Wydanie II
Warszawa 2022

Skład, druk i oprawa:
Dział Wydawnictw IERiGŻ PIB
00-002 Warszawa
ul. Świętokrzyska 20

ISBN 978-83-947605-0-2

SPIS TREŚCI

Opowiadania

Niedawno w Royan 11
Podsłuchane późną nocą 21
Candice i Pascal 29
Noc sylwestrowa 39
List 47
Gawęda 55
Paryska historia 63
Wiecie dobrze, co to za miejsce, ale... poczytajcie 77
Wigilia 85
Brylant 103
Cień 123
Wartości 133
Trzynastka 143
Nie oczekujcie, że wam wybaczą 155
Winda 183
Tylko muzyka 205

Proza i proza poetycka

Myśli rozbiegane 221
Bez tytułu 227
Czego oczekiwać? 229
Gonitwa 231
Czas poczęcia 232

OPOWIADANIA

Niedawno w Royan

Richard siedział tu już blisko godzinę. Od kiedy Sophie wyjechała, nie wiedział, co ze sobą począć. Przynajmniej wtedy, kiedy jej pomagał, był przydatny. Nie chciał kolejny rok z rzędu, tkwiąc w domu, wspominać rocznicę tragicznej śmierci Françoise. Wypadek zabrał mu ją tak nagle, wciąż tego nie przebolał. Przyjechał na weekend z Bordeaux, nie był tu po raz pierwszy. Bywali tu czasem z Françoise i zaglądali do tego baru. Niczego w nim nie zmieniano od lat, w końcu stał się po prostu obskurny. Mogliby wymienić lakierowane ciemnobrązowe meble pamiętające czasy de Gaulle'a albo przynajmniej odświeżyć ściany. Pił wino małymi łykami, wpatrując się w obraz wiszący na przeciwległej ścianie. Robił to zawsze, ilekroć tu przychodził. Próbował dociec, co malarz chciał przekazać i – co dziwne – wciąż zmieniał własne interpretacje.

No bo co miała oznaczać granatowa łódź rybacka, wywrócona do góry dnem, z wielką owalną dziurą? Z napisu na dziobie pozostała jedynie pierwsza litera „M..." Pozostałe zmyła woda i starł piasek. Nie był pewien, czy wyrzuciło ją morze, czy też starą, zużytą łajbę porzucił jej właściciel, uznając, że naprawa nie ma już sensu.

Jeśli pierwsza wersja jest prawdziwa, jej załoga mogła utonąć, gdy sztorm szalał na oceanie. W tej małej mieścinie na Biskajach znikąd nie można było oczekiwać pomocy. Teraz łódź

od lat leży na plaży, bo nie ma właściciela. Może dlatego nikt jej nie uprzątnął, a desek nie użył na opał. Ale czy smołowane drewno nadaje się do pieca? – Nie miał pojęcia.

W barze było kilka osób. Jeden kąt zajmowała starsza para. Pili zwykłe, domowe wino, delektując się nim niczym starym Château Prignac. Dwoje młodych, skromnie odzianych zajmowało stolik na końcu sali. Wpatrzeni w siebie jedli jakąś rybę. Mówili niewiele. Wyglądali na zakochanych, którzy pragną we dwoje odmienić los, z którym mierzą się na co dzień. Co dwie istoty to nie jedna, pomyślał Richard, nawiązując do własnej samotności. We dwoje będzie im łatwiej, a jeśli przy tym się kochają? Przy barze na wysokim stołku siedział młody blondyn. Do kawy wrzucił już czwartą kostkę cukru i mieszał, mieszał…

Barman wystukiwał palcami rytm melodii, która płynęła ze starego radia stojącego na drewnianej półce. Falujące tony akordeonu nie były w stanie odmienić sennej atmosfery baru, wręcz ją potęgowały. Znów wzrok Richarda podążył w stronę obrazu, gdy nagle, tuż nad głową, usłyszał:

– Mogę się przysiąść?

Obok siebie zobaczył starego mężczyznę z siwą kędzierzawą brodą. Na jego twarzy, pooranej wiatrem, słoną wodą i opalonej słońcem, błąkał się pogodny uśmiech.

– Proszę! – odpowiedział.

Kogoś o tak ekscentrycznym wyglądzie zobaczył po raz pierwszy.

– Jestem Pierre – rzekł starzec i usiadł naprzeciwko.

Szeroka czapka z podniesioną z przodu, wywiniętą ku górze krawędzią zapewne dobrze chroniła przed sztormem i wia-

trem. Gruba, sztywna kurtka skutecznie osłaniała ciało przed zimnem i wilgocią. Spodnie w kolorze białym, dość obcisłe w kolanach, rozszerzały się w stronę pasa. Wysokie i długie buty z surowej niefarbowanej skóry wydzielały silny zapach.

– Miło pana poznać, Pierre – zagaił. I zaraz szczerze kontynuował:

– Pana buty po prostu pachną rybą, czy to możliwe?

– Są namoczone w rybim tłuszczu – zrobiłem to, by skórę uodpornić na działanie morskiej wody.

Barman przyniósł butelkę starej brandy i dwie duże szklanki.

– Trunek zamówił pana gość – dodał, patrząc mu w oczy.

Gdy barman odszedł, Pierre odezwał się pierwszy:

– Pozwól, Richard, że coś ci opowiem – rzekł. Ten otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Skąd znasz moje imię, Pierre?

– Posłuchaj mnie, proszę.

Pierre nalał szklanki do pełna.

– Dawno temu mieszkała tutaj, w Royan, od wielu pokoleń, rodzina rybaków. Dwaj bracia bliźniacy zakochali się w Madeleine. Urocza blondynka o niebieskich oczach mieszkała w sąsiedniej wiosce. Nie odstępowali Madeleine, pożerając wzrokiem każdy jej ruch, gest, uśmiech. Świata poza nią nie widzieli.

Jeden pilnował drugiego, z obawy, by brat mu jej nie zabrał. Na połów, na targ, zawsze wyruszali razem. Prześcigali się w zalotach, dawaniu prezentów. Na zabawach Madeleine tańczyła tylko z nimi, żaden amant nawet nie próbował poprosić ją do tańca – ze strachu przed bliźniakami. Nie tylko jednoczesna, szalona miłość braci do Madeleine rozpalała ich serca. Z czasem rozgorzała w nich wzajemna zazdrość, obopól-

na podejrzliwość i chorobliwa nienawiść. Madeleine przez lata przyjmowała od braci dowody ich miłości, kokietowała obu, wciąż nie wybierając żadnego. A oni myśleli wyłącznie o niej. Ich rywalizacji towarzyszyła narastająca, nieskrywana wrogość.

Pewnego wieczoru, a było to na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, bracia uznali, że czas rozstrzygnąć spór o Madeleine. Umówili się, by ten, którego połów będzie tej nocy obfitszy, został jej mężem. Niech rozstrzygną umiejętności, los i szczęście. Nikt, kto przyglądał się dwóm łodziom, granatowej i zielonej, wypływającym na nocny połów, nie wiedział o ich postanowieniu. Zawziętość odebrała im zdrowy rozsądek, bo tego dnia pozostali rybacy zrezygnowali z połowu z uwagi na nadciągający sztorm.

Bracia łowili jak zwykle, w niewielkiej odległości od siebie, mając drugą łódź w zasięgu wzroku. Wybrali miejsce położone dość blisko lądu, ale niebezpieczne z powodu wysokiego klifu i ukrytych pod wodą skał. Tego wieczoru ocean był niespokojny. Wysokie fale i wiatr niosły łodzie wzdłuż wybrzeża, ku wysuniętemu cyplowi, którego skały wystawały złowrogo, mieniąc się srebrnym księżycowym światłem.

Granatowa łódź, nie zdążywszy umknąć ogromnej fali, nabrała dużo wody i stopniowo pogrążała się w odmętach. Prąd znosił bezbronną łupinę ku skałom. Płynący nią jeden z braci, stojąc już po pas w wodzie, ruszył wpław. Po czasie, który trwał niemal całą wieczność, dopłynął do zielonej łodzi swojego brata i rękami uchwycił burtę. Nie miał już siły dostać się na pokład. Upływały długie, niekończące się chwile, gdy jego ręce i palce słabły, ciało zamarzało w lodowatej wodzie, a wzrok zaczęła ogarniać mgła.

Gdy otworzył oczy, leżał przykryty płachtą brezentu. Ujrzał pochylonego nad sobą brata, który trzymał go mocno za rękę. Odzyskawszy świadomość, uniósł się nieco i ponad krawędzią burty zobaczył nadbrzeżne wydmy. Ocean na chwilę zapomniał o swoim żywiole i pozwolił falom nieść łódź ku plaży, gdzieś daleko, za cyplem i portem.

Położył się na dnie łodzi i przymknął oczy. Fale monotonnymi szarpnięciami przemieszczały łajbę po piasku, wciąż dalej i dalej, ku wydmie.

Nazajutrz Madeleine nadaremnie czekała na swoich adoratorów. Wieści o zdarzeniu, które mogło skończyć się ogromną tragedią, dotarły do niej po tygodniu. Dzień za dniem upływały na czekaniu na coś, co nie nastąpiło nigdy. Żaden z braci nie przyszedł do niej ani nawet nie odwiedził wsi, w której mieszkała.

Tu Pierre przerwał swoje opowiadanie, zwracając się do niego:

– Richard, ja wiem, że jesteś tu nie pierwszy raz i nie przyjeżdżasz tu przypadkiem. Nieodparta siła powoduje, że choć niewiele wiesz o tej mieścinie, wracasz, by patrzeć na ten obraz. Pewnie domyślasz się, że wyblakły napis widniejący kiedyś na burcie granatowej łajby, rozbitej i wyrzuconej na brzeg, to imię Madeleine. To była łódź Roberta. Obie łupiny nosiły jej imię.

– Widzisz, Richard, jesteś delikatnym i dobrym człowiekiem, myśląc o łodzi i imaginując możliwe wątki dawnej historii, uruchomiłeś pewien ciąg napięć i myśli, które mogą odmienić czyjś los. Śmierci twojej żony Françoise już nic nie odmieni, nic na to nie poradzisz. Masz jednak coś do zrobienia: musisz

to wiedzieć – twoja córka Sophie idzie śladami Madeleine. Nie strać i jej.

– Pierre, powiedz mi, jak miał na imię brat bliźniak, który uratował Roberta?

– Obejrzyj obraz Richard, obejrzyj go dobrze – powiedział Pierre.

W tym momencie w barze zgasło światło, a gdy zapaliło się ponownie, Richard poczuł, że ktoś lekko szarpie go za ramię. Nad sobą zobaczył barmana.

– Proszę pana, jest bardzo późno, już zamykamy. Śpi pan od godziny, nie chciałem pana budzić, ale już naprawdę pora.

Rzeczywiście, siedział sam, a w lokalu poza barmanem nie było nikogo. Zerwał się od stolika i pobiegł do obrazu. Było na nim wszystko to, co już wcześniej zapamiętał. Zdjął ramę ze ściany i spojrzał na odwrotną stronę. Dostrzegł tam napis:

Mojemu Bratu, Robertowi Besson, na pamiątkę – Pierre.
Royan, 1887.

Richard dał barmanowi duży napiwek i poprosił, by ten pozwolił mu pobyć w barze jeszcze przez chwilę. Usiadł i wybrał numer komórki Sophie. Po chwili usłyszał:

– Papa? Papa?

– Sophie, kiedy przyjedziesz? Tęsknię za tobą, musimy porozmawiać! Nie dzwonisz i nie piszesz, wciąż martwię się o ciebie!

– Jeszcze nie wiem, to zależy. Papa, czy to naprawdę coś pilnego?

– Tak, to dla nas obojga coś bardzo, bardzo ważnego. Uwierz mi, Sophie!

Uzgodnili, że przyjedzie w sobotę, za tydzień. Richard w nocy wrócił do Bordeaux. Po przyjeździe szczegółowo przeglądnął wpisy Sophie na Facebooku, Instagramie i Twitterze. Przeczytał mailową korespondencję od niej i SMS-y z ostatnich miesięcy. Doszedł do wniosku, że Pierre miał rację. Czekało go trudne i delikatne zadanie. Wiedział, że jako ojciec, miał obowiązek je wykonać. Nie mógł zawieść Françoise, siebie, a przede wszystkim samej Sophie.

Podsłuchane późną nocą

– Śpisz? – zapytała, choć była pewna, że tak jest w istocie.

– Spałem... o co ci chodzi? – usłyszała po dłuższej chwili.

– Jak chcesz, to opowiem ci mój sen.

– A jutro nie możesz? – Adam z trudem uchylił nieco powieki. Do oczu, przez niedomkniętą zasłonę dotarł promień światła z ulicznej latarni.

– Nie, muszę teraz, bo mogę zapomnieć... – powiedziała wolno, z lekko wyczuwalnym naciskiem.

– Zgoda, opowiadaj, ale nie rozwlekaj, proszę. Rano muszę wstać wcześniej niż zwykle.

Co jej przyszło do głowy? pomyślał. Ciągle mówi, że jest zmęczona. I na taką wygląda. Ostatnio śpi jak zabita, przez co fizycznie jesteśmy ze sobą coraz rzadziej.

– To było tak – powiedziała Dominika – około pierwszej nie zeszłam jak zwykle na lunch do barku na piętrze, lecz zjechałam windą na dół i ruszyłam w kierunku Świętokrzyskiej. Gdy minęłam Czackiego i Mazowiecką, zobaczyłam stoliki, ustawione bardzo ciasno, zajmujące znaczną część chodnika. Ten bar pojawił się niedawno, zaraz po oddaniu metra. Wszystkie miejsca były zajęte.

Weszłam do środka i lawirując w tłumie gości, znalazłam jedno wolne krzesło. Po drugiej stronie siedział brunet. Bez wątpienia był cudzoziemcem. Wskazywały na to jego rysy,

niemal zrośnięte brwi, smagła twarz i długie włosy sięgające prawie do ramion. Pomyślałam, że jest artystą albo pisarzem. Spojrzał na mnie z jakąś dojmującą łagodnością i – nic nie mówiąc – wskazał mi miejsce naprzeciwko.

Skinęłam głową i usiadłam, zakładając nogę na nogę. Czytałam menu z karty, od czasu do czasu zerkając na niego z trudną do ukrycia ciekawością. Jego ruchy i wygląd cechowała niedbała elegancja. Miał pewnie około czterdziestki, może nieco mniej.

– Jestem Rafael – przedstawił się nieoczekiwanie i uśmiechnął – a ty? – zapytał.

– Dominika – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, po czym podaliśmy sobie dłonie. Moją rękę przytrzymał o ułamek sekundy dłużej niż to się robi zazwyczaj.

Czy chciał tym dać coś do zrozumienia? – przemknęło mi przez głowę. Jadłam spaghetti po bolońsku, a on kontynuował rozmowę. Mówił z obcym akcentem. Wkrótce dowiedziałam się, że jest Hiszpanem, z Sewilli. Od dwóch lat studiuje literaturę polską na studiach doktoranckich. Z Uniwersytetu Warszawskiego ma tu blisko, a ten bar i jego klimat bardzo mu się podobają.

– Czym się zajmujesz? – zapytał.

W paru słowach dowiedział się o mojej pracy w studiu filmowym. O tym, że zajmuję się wieloma rzeczami na raz, od organizacji i marketingu po bezpośredni udział w produkcji. Wydawał się bardzo mną zainteresowany, zadawał mi różne pytania, na które odpowiadałam z przejęciem. Powiedziałam mu, że kocham swoją pracę, pochłania mnie bez reszty. Do tego stopnia, że nie przykładam wielkiej wagi do życia osobistego. Realizuję jakiś jego zwyczajny, pospolity standard.

Adam uniósł się i energicznym ruchem przesunął poduchę ku plecom łóżka. Wsparty o nie, siedząc, słuchał jej narracji. Sen całkowicie go opuścił. Nie odzywał się słowem, milczał, podczas gdy Dominika relacjonowała swój sen.

Czas już naglił, bo został mi kwadrans do spotkania ze scenarzystą. Wstając, podałam Rafaelowi rękę.

– Miło było Cię poznać!

– Mnie również – powiedział. – Czy możesz podać mi numer swojej komórki? Mój jest tutaj – dodał, wręczając wizytówkę.

– Oczywiście – powiedziałam, a on zapisał go w niewielkim notesiku, który wyciągnął z kieszeni marynarki.

– Dominiko, będziesz tu jutro? – zapytał.

– Nie potrafię Ci powiedzieć, bo plan dnia zmienia się u nas co chwila.

Wracałam lekko oszołomiona tym spotkaniem. Spóźniłam się kilka minut, a ekipa na mój widok wskazała zegar wiszący w sali. Myśli o Rafaelu musiały ustąpić, szykowała się dyskusja, nie wątpiłam, że będzie ostra i zawzięta jak zwykle.

Cały wieczór miałam przed oczami spotkanie z Rafaelem. Nazajutrz poszłam do baru o tej samej godzinie. Rafael pił kawę, czytając jakąś gazetę.

– Hola, mi cariña! Witaj, moja droga! – powiedział. Od tego dnia spotykaliśmy się i rozmawialiśmy ze sobą coraz częściej. Czekałam na jego telefon, a gdy trwało to zbyt długo, było mi smutno. Rafael wynajmował mieszkanie w centrum i nalegał, bym zobaczyła, jak je urządził. Wiedziałam, że to w końcu nastąpi. Okazja nadarzyła się niebawem, gdy uznałam, że scenariusz nowego filmu ma wiele słabych scen. Rafael z ochotą zgodził się nad nim popracować. Przeczytał go z dnia na dzień

i oświadczył, że ma gotowe notatki, które możemy u niego w domu, na gorąco, przedyskutować.

Było fantastycznie. Miał nowoczesny nieduży apartament. Na ciekawie pomalowanych ścianach wisiały hiszpańskie, niebanalne grafiki. Cały wieczór dyskutowaliśmy o scenariuszu. Prawie wszystkie jego uwagi były trafne. Ujął mnie swoją inteligencją, wrażliwością i wiedzą. Podczas kolacji słyszałam cichą muzykę, a gdy zatańczyliśmy, delikatnie mnie pocałował.

Nasze spotkania stawały się coraz dłuższe. Po trzech miesiącach, gdy mieliśmy już za sobą kilka wspólnie spędzonych nocy, jakich nie przeżyłam nigdy wcześniej, uświadomiłam sobie, że moje dotychczasowe życie już nie powróci. Bezgraniczne zaangażowanie w pracę wynikało z faktu, że mężczyzna, z którym byłam, nie potrafił uruchomić we mnie takich uczuć, emocji i radości, jakie towarzyszyły mi, gdy byłam z Rafaelem.

Adam, słuchając snu Dominiki, powoli kojarzył zdarzenia z ostatnich miesięcy. Przestała pytać mnie o moją pracę – pomyślał. Jasne, agent ubezpieczeniowy, do tego początkujący, co w tym szczególnego. Pani producent ma inne aspiracje. Coraz częściej kręciła z ekipą ujęcia nocą – wcześniej zdarzało się to rzadko. W ciągu dnia często nie odbierała od niego połączeń, a rozmowy kończyła czasem w pół zdania. Nie zgodziła się na wakacje na Islandii, które – zafascynowany tamtejszą przyrodą – perfekcyjnie przygotowywał od niemal pół roku, z myślą o najbliższym lecie. Intensywna praca była najprostszą wymówką.

Ich współżycie stało się jakieś mechaniczne i – co dziwne – postawiła mu warunek, by używał prezerwatywy. Wie-

działa, że tego nie znosił. I po co od kilku miesięcy robiła regularnie testy ciążowe?

– Rafael powiedział mi... – Dominika chciała kontynuować swój sen, ale przerwała, widząc, że Adam wstał i poszedł do łazienki.

Gdy z niej wyszedł, miał w rękach swój płaszcz kąpielowy i torbę z kosmetykami. Poszedł do garderoby, przemieszczał się po drugim pokoju i kuchni. Przez kilkanaście minut dochodziły do niej szmery. Leżała na łóżku i nie odzywała się. W końcu stanął w drzwiach, całkowicie gotowy do wyjścia, w butach, garniturze, płaszczu, z parasolem w jednej ręce i walizką w drugiej.

– Adam, jest bardzo wcześnie – powiedziała. – Nic nie mówiłeś, że jedziesz w delegację?

Spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem i cicho powiedział:

– Pieniądze, które byłem ci winien, zostawiłem w kopercie, w kuchni na stole. Aha, te rzeczy, które zostały, wrzuć do pojemnika na używaną odzież albo zanieś do punktu Sue Ryder.

Usłyszała stuk zatrzaskiwanych drzwi, a po chwili odgłos windy. Za oknem budził się świt, a wraz z nim kolejny dzień.

Candice i Pascal

Na lotnisko w Zurychu przyjechała najtańszą taksówką Airport Taxi, na trzy godziny przed wylotem. Na co dzień unikała podróżowania taksówkami, które w żadnym innym mieście na świecie nie są tak drogie jak w Zurychu. Za kurs z centrum zapłaciła pięćdziesiąt franków. Nie było czego żałować, miasto po południu mogło zakorkować się w jednej chwili. Klaus chciał odprawić ją przez internet, ale nie zgodziła się. Tak dawno już nie latała, dręczył ją stres. A jeśli coś będzie nie tak? Zdecydowała się na odprawę na terminalu. Na stanowisku check-in można zamienić z pracownikami dwa słowa. Może będzie miała jakieś pytania?

Na wielkiej tablicy elektronicznej znalazła swój lot, nazwę i numer rejsu – planowany start o 12.45. Odprawę do Marsylii uruchomiono na dwie godziny przed odlotem. Przyjechała wcześnie, kolejka była mała. Poczuła się spokojniejsza, gdy transporter zabrał dużą walizkę i z boarding pass podążyła dalej, ciągnąc za sobą oznakowaną podręczną walizeczkę. Odetchnęła, gdy po odprawie paszportowej i kontroli bezpieczeństwa mogła usiąść w wolnej strefie – wypić kawę, popijając ją chłodną wodą. Miała czas, do odlotu była jeszcze godzina. Mogła być z siebie zadowolona, wszystko poszło gładko. Wiele bagaży piszczało podczas prześwietlania, taśma z pojemnikami stawała, a bramki co chwila wykrywały u podróżnych ja-

kieś metale. W strefie duty-free, pełnej perfumerii, odzieży, biżuterii i zegarków, barów i kawiarni panował ożywiony ruch. Nic się nie zmieniło, pomyślała. Ludzi ogarniał tu amok, nieodparta chęć zaoszczędzenia, prowadząca zazwyczaj do niepotrzebnych i wcale nie tanich zakupów.

Na karcie pokładowej wydrukowano miejsce nr 16A, wejście z poczekalni do samolotu przez bramkę numer 36. Lubiła liczby parzyste, dobry znak – pomyślała. Dotarła do wskazanej bramki i rozejrzała się wokoło. Zobaczyła spory tłum. Z pewnością w samolocie nie będzie wiele wolnych miejsc – pomyślała. Niecierpliwi pasażerowie stali w kolejce do gate'u, ale większość zajmowała ławki.

Samolot EasyJet Switzerland podstawiono pod rękaw, którym przeszła wprost do kabiny. Współpasażer siedzący od strony korytarza pomógł jej umieścić walizeczkę w luku nad głową. Pierwszy raz leciała tanimi liniami, ale wbrew obawom jej miejsce było wygodne. Wysłała SMS-a do Klausa: „jestem w samolocie, wszystko ok!" – po czym włączyła w komórce tryb „samolot".

Start nie trwał długo, samolot szybko osiągnął właściwą prędkość i ostro wzniósł się w górę. Poczuła ulgę, gdy mogła rozpiąć pas. Siedziała przy oknie, od współpasażera oddzielało ją wolne miejsce. Za oknem zobaczyła niebieski pas jeziora, który zaraz zniknął.

Młody mężczyzna mógł mieć nie więcej niż 20 lat. Brunet, średniego wzrostu, siedział bez ruchu. Nie robił nic. Jego wzrok biegł gdzieś w dal. Zauważyła, że w ogóle nie reagował na to, co dzieje się w samolocie.

Na propozycję stewardesy pokręcił odmownie głową. Wydawał się nieobecny. Candice przyglądała mu się z uwagą. Był w luźnym szarym swetrze, obcisłych dżinsach i mokasynach. Miał dość ciemną karnację, szlachetny profil i delikatną oprawę oczu.

– Czy pozwoli pan, że się przedstawię? – powiedziała po francusku, przełamując jakiś wewnętrzny opór. – Mam na imię Candice, rzadkie imię, prawda?

– Miło mi – odpowiedział.

Candice, niezrażona, kontynuowała:

– Tak dawno nie leciałam. Mamy z mężem willę nad jeziorem, czujemy się tam wspaniale, już nas nie pociągają dalekie podróże. Wolimy spokój, od dziesięciu lat mieszkamy w niej od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Jesteśmy tam samotni, najbliżsi sąsiedzi są dość daleko. Pan wybaczy, rzadko mam okazję z kimś porozmawiać. Muszę lecieć do Francji. Moja córka Monique mieszka pod Marsylią. Niedawno poważnie zachorowała, jest sama. Jej mąż, Stephane, przebywa daleko, na kontrakcie w Chile. Pewnie i tak by nie przyleciał, są w separacji od dwóch lat.

– Przepraszam, a pan mieszka w Marsylii, czy jedzie coś tam załatwić?

– Proszę mi wybaczyć, ale nie chcę mówić o moich sprawach, z pewnością nie są interesujące – odpowiedział. – Jeśli pani chce mówić o sobie, to proszę. Mnie to nie przeszkadza. Sam nie mam rodziny, ale mogę posłuchać.

– Powiem więc coś o sobie – odparła nieco skonfundowana, ale nie zniechęcona słowami nieznajomego.

– Kiedyś, wiele lat temu, mieszkałam w Lyonie. Byłam tam nauczycielką, mąż, znacznie starszy ode mnie, zmarł nagle. Zostałam z dwiema córkami, Lucette i Monique. Było mi bardzo ciężko. Rodzice mieszkali daleko, w małym miasteczku w Bretanii, nie byli w stanie mi pomóc. Wychowywali rodzeństwo młodsze ode mnie. Pracowałam dużo, starałam się zapewnić dziewczynkom dobre warunki materialne. Jednak miałam dla nich za mało czasu. Gdy wracałam po pracy, zwykle późno, nie byłam w stanie znaleźć z nimi dobrego kontaktu. Brakowało im ojca. Samotnej matce ciężko jest wychować dorastające panny.

Spojrzała na sąsiada, czy słucha jej słów. Skinął głową, by kontynuowała.

– Lucette, starsza o dwa lata od Monique, bardzo szybko chciała się usamodzielnić. Wtedy wydarzyło się coś, czego żałuję do dzisiaj. I nie mogę sobie wybaczyć tego, jak postąpiłam. Lucette poznała dość przystojnego chłopaka, starszego od siebie. Pochodził z mieszanej rodziny, jego ojciec był imigrantem z Afryki Północnej, zaś matka Francuzką. Zakochała się w Nasirze. Miała dopiero 18 lat! Powinna zacząć studia, zdobyć jakiś zawód, by móc pracować. Kochałam moją pierworodną córkę i nie chciałam pozwolić, by rzuciła naukę i zmarnowała sobie życie. Jej związek z Nasirem trwał, mimo że go nie akceptowałam. Nie pomagały żadne słowa i argumenty. Przyszedł wreszcie dzień, którego nigdy nie zapomnę. Wieczorem odwiedzili mnie oboje. Lucette powiedziała, że jest w ciąży i zapytała, czy mogliby zamieszkać na poddaszu, w dawnym pokoju ojca. Byłam wstrząśnięta i w szoku im odmówiłam.

– Nigdy więcej mnie nie zobaczysz! – krzyknęła Lucette. – Nigdy nie próbuj mnie szukać, już nie jestem twoją córką!

Patrzyłam osłupiała na nią i Nasira, gdy odchodzili przytuleni do siebie. Monique była świadkiem całej sceny.

– Jak mogłaś?! Jak mogłaś?! – wykrzyczała do mnie kilka razy i wybuchnęła strasznym płaczem. Nigdy nie otrząsnęłyśmy się z tego nieszczęścia. Od tego dnia codziennie myślimy o Lucette. Bardzo pragnę ją zobaczyć, tli się we mnie nadzieja, że mi wybaczy, spotkamy się i poznam jej dziecko.

Nieznajomy przyglądał jej się z uwagą, z pewnością zaskoczony jej wylewną szczerością.

Candice zreflektowała się nieco. Lot samolotem, podróż do poważnie chorej córki wzmogły w niej niewygasłe emocje i spotęgowały napięcie. Może był w nich także strach przed kolejną stratą? Chęć podzielenia się swoimi przeżyciami z obcym człowiekiem była spontaniczna. Przecież za chwilę każde z nas wyjedzie z lotniska i nie zobaczymy się już nigdy – pomyślała.

Nieznajomy zapytał ją niespodziewanie:

– Czy po tym zdarzeniu nie miała pani już nigdy jakiejkolwiek wiadomości od starszej córki?

Oczy zaszły jej łzami.

– Jeden, jedyny raz. Trzy lata później przyszedł list – na kopercie nie było adresu nadawcy, a w środku jedno jedyne zdjęcie. Zawsze mam je ze sobą, to ostatnia od niej wiadomość. Jest dla mnie czymś najcenniejszym, nadzieją, że jeszcze ją zobaczę.

Otworzyła swoją torebkę i drżącymi rękami wyciągnęła z bocznej kieszonki zdjęcie wielkości pocztówki.

– Jest na nim Lucette, Nasir i mój wnuk Pascal, jego imię jest napisane na odwrocie.

Popatrzyła na nie i wręczyła nieznajomemu, ze wzruszenia chowając twarz w dłoniach.

Wziął je do ręki. Potwierdziły się jego przypuszczenia. Na fotografii zobaczył swoją mamę Lucette, ojca i siebie, lepiącego krokodyla z piasku. Pamiętał to zdjęcie.

Nie był w stanie opanować napięcia, które go ogarnęło. Oddał Candice fotografię.

– Proszę pani, tak się składa, że znam Lucette – i dodał – oprócz syna ma także córkę.

Candice zamarła, wpatrując się w niego z wielkim natężeniem, ale nie zdążyła go o nic zapytać.

Po chwili namysłu młody mężczyzna podjął decyzję. Wstał i powoli skierował się w stronę toalety. Poszedł jednak dalej, ku kabinie pilotów. Odsunął zasłonę i wszedł do korytarzyka, w którym siedzieli stewardesa i steward.

– Chcę pilnie rozmawiać z kapitanem, zajmuję miejsce 16C – powiedział prędko.

– Drzwi są zamknięte, zaraz dam panu słuchawkę – powiedziała dziewczyna.

– Panie kapitanie, jeden z pasażerów chciałby z panem rozmawiać.

– Słucham – powiedział kapitan.

Po chwili rozmowy Pascal wrócił na swoje miejsce. Candice zdążyła schować zdjęcie, piła sok ze szklanki. Wzruszona, chciała kontynuować rozmowę, gdy nagle zapaliły się lampki sygnalizacji „zapiąć pasy" i rozległ się komunikat kapitana samolotu:

– Szanowni państwo, zbliżamy się do strefy silnych turbulencji, prosimy wszystkich o natychmiastowe zapięcie pasów bezpieczeństwa.

Obok Pascala przeszedł steward, kontrolując wykonanie polecenia kapitana. Część z pasażerów spała i trzeba było ich budzić.

Nagle, w tylnej części samolotu rozległ się straszny krzyk. Pasażer w średnim wieku, siedzący na miejscu 23C, porażony przez stewarda paralizatorem, stracił przytomność. Został natychmiast skuty kajdankami i rzucony na podłogę. Zdjęto z niego ubranie, spodnie, koszulę. Stewardesa zrobiła mu zastrzyk. Zabrano mu komórkę, laptopa, wszystkie posiadane przedmioty.

Steward podszedł do Pascala, który bez oporu dał sobie skuć ręce kajdankami. Zabrał mu komórkę i cały sprzęt elektroniczny. W samolocie słychać było płacz kilkorga maluchów. Dorośli pasażerowie, przypięci pasami, milczeli, w napięciu czekając na jakieś wyjaśnienia. Kolejny komunikat kapitana nie napawał optymizmem:

– Pragnę państwa poinformować, że w związku z niewielką awarią techniczną samolot musi pilnie zawrócić i lądować w Genewie. Prosimy zachować spokój. Państwa bezpieczeństwu nic nie zagraża. Po wylądowaniu zostaną państwo – wraz z bagażami – skierowani do innego samolotu. Proszę pozostać z zapiętymi pasami. Przepraszamy za niedogodności. Dziękuję za uwagę.

Tymczasem wieża kontrolna lotniska w Genewie odebrała komunikat, który postawił na nogi wszystkie służby.

„Tu lot numer 6456 Zurych-Marsylia. Zgłaszamy zagrożenie terrorystyczne. W luku bagażowym znajduje się podejrzany ładunek. Dwaj zamachowcy zostali zakuci w kajdanki. Według informacji jednego z nich bomba ma mechanizm czaso-

wy, który zadziała za piętnaście minut, dokładnie o godzinie 13.50. Prosimy o zgodę na awaryjne lądowanie na Cointrin oraz wskazanie postoju w martwej strefie, maksymalnie oddalonej od terminala. Mamy dziesięć minut lotu do lotniska, prosimy o czyste niebo, lądowanie musi nastąpić bezpośrednio z kierunku zachodniego, nie mamy czasu na kołowanie. Odbiór".

Po dwóch minutach z hangarów wyjechały karetki, wozy straży pożarnej oraz brygada antyterrorystyczna. Na lotnisku ogłoszono alarm. Nie można było go uniknąć, pomimo obaw, że zamachowcy, dowiedziawszy się o akcji, wcześniej podejmą próbę zdalnego zdetonowania ładunku umieszczonego w samolocie.

Noc sylwestrowa

Godzina 20.30. Warszawa w okowach siarczystego mrozu. W mieście sypie gęsty śnieg, niesiony porywistym wiatrem. Mocny akcent na pożegnanie Starego Roku. Do północy pozostały trzy godziny, ale do odjazdu pociągu ze Śródmieścia – zaledwie jedna. Uczestniczę w ostatnich przygotowaniach do sylwestra, w którym sam nie będę brać udziału. Mam siedemnaście lat i dość swoich „starych", wraz z ich towarzystwem. Znowu zabawa w naszym domu. Nikt rodziców nie musiał szczególnie namawiać – sami zaproponowali noworoczną imprezę u siebie. Stary Mokotów, duże mieszkanie, niedaleko Łazienki Królewskie i Belweder – chętnych nie brakowało. Który to już raz?

A niania, jak zwykle, biega po kuchni w mieszaninie zapachów: barszczu, schabu i ryby. Sernik i fura innych specjałów czekają już od wczoraj. Kiedy zjawi się dwadzieścia osób żądnych wrażeń, zabawy i atrakcji, trzeba mieć oko na wszystko. Niedopałki, kieliszki, talerze, sztućce lądują w nieoczekiwanych miejscach, słychać dźwięk pękającego szkła. I toasty – ale... tych nie chcę już wysłuchiwać, czas nagli.

Jadę przecież pod Błonie, na „sylwka" do Przyjaciela. Robi się późno, czas pędzić na dworzec. Biegnę po schodach do góry, mijam kino Moskwa i jestem na Puławskiej, na przystanku. Czas ucieka szybko. Nie przyjeżdża żaden tramwaj, nie ma

autobusów. Patrzę na zegarek – pociąg mam za piętnaście minut. Już wiem, że nie zdążę. Kiedy docieram na dworzec, elektryczny do Sochaczewa dawno już odszedł. Nie wiem, czy czekać na następny, bo będzie dopiero za pół godziny. Do dziesiątej pozostał kwadrans.

Rzecz w tym, że jadę tam pierwszy raz, nie znam adresu, telefonu. Skąd miałbym zadzwonić, gdy w automacie jakiś wandal urwał słuchawkę, a w drugim panuje głucha cisza. Umówiliśmy się, że ktoś będzie na mnie czekać na stacji. Jak zobaczą, że nie wysiadam z pociągu, który przyjeżdża przed dziesiątą, pomyślą, że już nie przyjadę. Na samą myśl o powrocie na Mokotów przechodzą mnie ciarki. A pod Błoniem czeka na mnie, przystojnego chłopaka z Warszawy, stęskniona dziewczyna. Hanię widziałem wcześniej jeden raz, sympatyczna czarnulka, krewna mojego Przyjaciela. Wtedy zaiskrzyło, więc co, mam ją zawieść?

Przez głowę przebiegają setki myśli. Stoję na peronie, a czas płynie. Pociąg wjeżdża z opóźnieniem, wsiadam. Jest prawie całkiem pusty. Kto miałby w nim być, skoro od dawna trwają huczne zabawy?

Gdy docieram na stację Płochocin, dochodzi jedenasta. Noc jest wyjątkowo ciemna. Jako jedyny pasażer wysiadam na niezadaszony, otwarty peron, na którym nie ma żywej duszy. Mocny wiatr usiłuje zerwać z mojej głowy czapkę z daszkiem, silny mróz wdziera się pod kurtkę. Czuję, że zamarzają moje odsłonięte uszy. Nacieranie nie pomaga. Nie wpadam w panikę, mimo że nawet nie mam kogo zapytać o drogę. Gdyby nawet ktoś taki był, to co mam właściwie powiedzieć? Nie wiem

nic, bez skutku usiłuję przypomnieć sobie nazwisko Hani, bo to u niej jest zabawa.

Po kilku minutach rozumiem, że nie ma sensu dłużej stać na peronie, nikt się nie zjawi. Czas ruszać – ale dokąd? Najbliższe zabudowania widzę na skraju wielkiej, śnieżnej przestrzeni, nie prowadzi do nich żadna droga. Pewnie gdzieś jest, przysypana zwałami świeżego śniegu. Patrzę na swojego MIR-a – tylko księżyc oświetla cyferblat, wokół nie ma żadnych lamp. Jest już po jedenastej. Dookoła rozciąga się ledwie widoczne w świetle księżyca bezkresne, śnieżne pole, na którym szalejący wiatr utworzył wielkie zaspy. Na horyzoncie stoją oddalone od siebie pojedyncze chaty, przy niektórych rosną drzewa.

Nowy Rok tuż, tuż. Cały trzęsę się z zimna, nie mogę opanować drżenia. Głośno szczękają mi zęby. Czarne wyjściowe buty o cienkiej skórzanej podeszwie ślizgają się po peronie skutym grubą warstwą lodu. Wiatr próbuje mnie z niego zepchnąć, co chwilę tracę równowagę. Idę na wprost ku chatom. Brnę po śniegu powoli, zapadając się po kolana, niemal po pas. W połowie drogi słyszę, że psy, których zajadłe szczekanie docierało do mnie już wcześniej, są teraz blisko. Czuję się bezbronny jak nigdy dotąd. W rękach trzymam butelkę radzieckiego szampana i nie mam niczego, czym mógłbym się bronić.

Jestem sam na pustkowiu. Czworonogi zachowują do mnie niewielki dystans, mam nadzieję, że nie odważą się zaatakować. Jest ich chyba z pięć. Zastanawiam się, kto wypuścił tę watahę w taki mróz? Niestety, zdaję sobie sprawę, że są po prostu bezpańskie. Żyją z tego, co upolują, zwędzą albo dostaną z czyjejś ręki. To nie Wigilia, nie pogadam z nimi ludzkim głosem.

Przedzieram się przez śnieg, prosząc niebiosa o ratunek, wiem, że zaraz może zdarzyć się coś najgorszego. Gdy w śnieżnej zawierusze docieram do pierwszej chaty, psy gdzieś znikają. W oknach ciemność, żadnego śladu życia, cisza, tylko wiatr szaleje po podwórzu. Na stukanie w drzwi i szyby brak odpowiedzi. Kieruję się więc do następnego domostwa, położonego w odległości jakichś stu kilkudziesięciu metrów. Znów bez powodzenia. Nie ma nikogo, a może gospodarze boją się otworzyć drzwi obcej osobie?

Gdy dochodzę do trzeciej chaty, nie mam już żadnej nadziei. Okna ciemne, nie ma żadnych oznak obecności jej mieszkańców. Stukam i stukam, odpowiada mi cisza. Desperacko naciskam klamkę i drzwi, ku mojemu zaskoczeniu, uchylają się. Wchodzę do sieni – nic nie wskazuje, żeby ktoś był w domu. Powoli otwieram drzwi do pokoju i... nie wierzę własnym oczom. Na jego końcu, gdzieś daleko pod przeciwległą ścianą, stoi duże łóżko, na którym na wielkich poduchach śpią dwie starsze osoby. Mężczyzna głośno chrapie, zaś kobietę ledwo widać spod naciągniętej na głowę kołdry. Panuje chłód – piec dawno wygasł.

– Przepraszam! – mówię głośno, choć zlodowaciała twarz wykośławia moje słowa.

Brak reakcji, więc mówię jeszcze głośniej:

– Bardzo Państwa Przepraszam!

Budzą się oboje, są nieco przestraszeni, ale chyba bardziej zdziwieni. Dziadek pyta:

– Co pan tu robi? – czego pan szuka?

– Pomocy szukam! – odpowiadam głośno – zgubiłem się.

– Cooo?!

– Przyjechałem z Warszawy, nie znam drogi, nie wiem, gdzie jest dom dziewczyny, Hani, u której jest zabawa. Od godziny błądzę po okolicy!

– A ona jak się nazywa? – pyta rozbudzony dziadek, dalej leżąc z babką pod kołdrą, zza której widać tylko głowy.

– Nie pamiętam – mówię – to koleżanka mojego Przyjaciela... – i w rozpaczy podaję jego nazwisko, widząc w tym ostatnią deskę ratunku.

– To chyba u Majewskich – słyszę w odpowiedzi. – Trzeci dom za naszym. Pan idzie, tam się bawią.

Nie mogę uwierzyć swojemu szczęściu.

– Dziękuję! – krzyczę. – Dobranoc!

Gdy wychodząc, zamykam drzwi, kątem oka widzę, że dziadek z babką z powrotem naciągają kołdrę na głowę, układając się na boku do snu – w przeciwne strony.

Szybko mijam dwa najbliższe domy i zbliżam się do trzeciego. Okna rozświetlone, słychać głośną muzykę. Próbuję zajrzeć do środka, ale niczego nie widzę, bo para i mróz skutecznie zasłoniły szyby. Stukam parę razy w drzwi, wreszcie ktoś je otwiera.

Powoli wchodzę do środka. Światło i ciepło dosłownie porażają mi wzrok. Prawie niczego nie widzę, ale zauważam, że na mój widok wszyscy umilkli, zapanowała zupełna konsternacja. Domyślam się, że wyglądam jak ktoś z zaświatów. Lekko nieprzytomny idę dalej na środek pokoju. Dobiega do mnie siostra Przyjaciela, Zuzia, wołając:

– Robert, na miłość boską – jak tu dotarłeś?! Czekaliśmy na peronie, nie było Cię.

Teraz widzę Hanię, która uśmiecha się i podchodzi do mnie. Obejmuję ją mocno i całuję, po czym wręczam butelkę, której jakimś cudem nie rozbiłem po drodze. Jest wyraźnie wzruszona, z wrażenia ma zaczerwienione policzki. Wszyscy krzyczą, jeden przez drugiego:

– On zamarzł, nalejcie mu, prędko!!!

W pokoju słychać duży, stary zegar podłogowy osadzony w dębowej skrzyni. Jego wahadło wychyla się cyklicznie – gruba wskazówka stoi na tarczy pionowo, a druga zmierza ku niej żwawo. Jest za pięć dwunasta i zaraz wybije północ.

Rozglądam się wokół, szukając Przyjaciela.

– Krzyśka nie ma! – mówi Zuzia. – Poszedł na sylwestra gdzieś indziej!

List

Klucz zgrzytnął w zamku, po czym otworzyły się drzwi i stanął w nich Piotr Siergiejewicz – wszedł do sieni cały obsypany śniegiem, w kurtce sztywnej od syberyjskiego mrozu, futrzanej czapie, szerokich czarnych spodniach, walonkach, i od razu zawołał:

– Natalia!!! Nataaaszaaa!!! A ty gdzie? Wróciłem, miła, przyjdź do mnie, natychmiast!

– Czego się drzesz? – odpowiedziała z kuchni. – Już idę, idę, zaraz, zaraz... ziemniaki przebierałam, ręce mam brudne!

– Jak ja się za tobą stęskniłem, nawet sobie nie wyobrażasz. Godzinę brnę od stacji po śniegu, w końcu jestem. No zobacz, co ci przywiozłem!

– No co ty, pomyślałeś o mnie? Kochany, nie było cię tylko tydzień!

– Każdego dnia mi ciebie brakowało, mój skarbie złoty! Dzień wcześniej przez to jestem!

Pietia zsunął z siebie plecak, postawił go na deskach podłogi, rozwiązał sznurek i wyjął tekturowe pudełeczko.

– Masz, trzymaj, to dla ciebie – dając jej prezent, uśmiechnął się szeroko:

– No i jak? Podoba ci się?

Natasza ostrożnie otworzyła pudełeczko. W środku błysnęły kamienie nanizane na sznureczku.

– Mój ty Boże! Co za cudo! – Cała rozpromieniona zawołała z zachwytem – A gdzieś ty taki skarb znalazł?

– Wszystko dla ciebie, moja droga, będziesz świecić jak gwiazda nocą na zimowym niebie!

Chwycił ją w pół, uniósł do góry i zaniósł do sąsiedniej izby. Tam umieścił ją na łożu. A sam szybko zrzucał z siebie całe ubranie. Natasza powoli rozpinała serdak, który po chwili rozchylił się i odsłonił jej białe nabrzmiałe piersi. Włosy rozsypane szeroko utworzyły jasną aureolę wokół niebieskich oczu, dumnie uniesionych brwi i uchylonych warg czekających na pocałunek. Sam goły jak go Pan Bóg stworzył, w okamgnieniu ściągnął z niej spódnicę i resztę tego, co miała na sobie.

Obcałowywał ją całą, ale tak strasznie jej pragnął, że nie trwało to długo. Po chwili, zespoleni, kołysali się w oparach namiętności, zapominając o całym świecie.

– Droga, miła, żyć nie mogę bez ciebie – szeptał, wdychając ze wszystkich sił zapach jej ciała, napawając się bezgranicznym oddaniem i miłością.

Wyzwolił wreszcie z siebie moce, które od wielu dni nie dawały mu spokoju. Drżąc przez chwilę, zległ w końcu obok Nataszy, której piersi wciąż falowały rytmicznie, wraz z przyspieszonym oddechem.

– Nalać ci wódki? – zapytała, unosząc się lekko na łokciach.

– Nie – odpowiedział. Właśnie zastanawiał się, skąd nagle powiało w izbie zimnym powietrzem. Zimą nigdy nie uchylamy okien, pomyślał – wietrzymy szeroko i zaraz zamykamy.

Dlaczego wraz z tym powiewem czuję zapach jej perfum, przecież nie miała kiedy ich użyć, nie stoją w kuchni. Na co dzień ich nie używa, zastanowił się. Pod serdakiem nie miała

niczego, a zwykle jest jej zimno i chodzi okutana. I majtki jakieś cienkie, dlatego spódnica tak lekko z niej zjechała. Czy mi się zdawało, że miała zaczerwienione ucho? Co u licha? Zimą wredne komary nie latają, więc skąd?

Dalej po izbie leciał chłód, więc wstał i poszedł zobaczyć, skąd wieje. Okno było uchylone – światło księżyca rozjaśniało srebrzyste pole. Spojrzał przez nie i zawołał:

– Natasza!!! Ktoś u nas był?!!!

– Nie, ależ skąd, wiesz, że mieszkamy na uboczu. Diabeł tu nawet nie zagląda.

– Tak? – powiedział – to podejdź do okna!

Zadrżała, ale zbliżyła się do niego, jak kazał.

– Widzisz to, co ja widzę?! Te ślady?! Prowadzą przez pole prosto do lasu!

Komuś, kto wyskoczył przez okno i biegł w stronę drzew, buty głęboko zapadały się w zaspy. Ślady, mimo padającego śniegu, były świeże.

– Mów mi zaraz, kto tu był?! Bo ci te kłaki ze łba wyrwę, dziwko jedna!

Pociągnął ją za włosy i pchnął na łóżko. Zdał sobie nagle sprawę, że jak wchodził do pokoju, niosąc ją na rękach, było niedbale zaścielone, a nie równo i dokładnie, jak zawsze.

– Mów natychmiast, inaczej zabiję!

Zapadła długa cisza. Dyszał ciężko. Dotarło do niej, że wciąż czeka na odpowiedź.

– Ja... nie wiem... kto to był... – odpowiedziała i po chwili dodała:

– Usłyszałam stukanie do drzwi. Kiedy zapytałam: „kto to?", usłyszałam: „listonosz". „Niech Pan wsunie list pod wy-

cieraczkę" – powiedziałam, a on na to, że: „trzeba podpisać, bo to polecony, z urzędu". Co miałam robić? Uchyliłam drzwi, a tu jak mi ktoś nie sypnie śniegiem w twarz! Niczego nie widziałam. Chwycił mnie za głowę, przewrócił na podłogę i zawiązał oczy. „Zabiję cię, jak zdejmiesz chustę" – zawołał. Bałam się. Zaciągnął mnie na łóżko i zgwałcił. Robił to wiele razy. Nie wiem, ile to trwało. Gdy usłyszał, że ktoś wchodzi, wyskoczył przez okno i... uciekł.

Piotr Siergiejewicz opadł ciężko na krzesło.

– K...a mać! – zawołał na cały głos. – Że też, te jeb... pociągi zawsze się spóźniają. Miałem być trzy godziny wcześniej!

Zapadła cisza. Natasza łkała, siedząc na łóżku, na którym dosłownie przed chwilą miała seks z dwoma mężczyznami. Jak mówi rosyjskie przysłowie, jak masz w życiu pecha, to nawet cię nie zgwałcą. A tu dwóch – prawie naraz.

Natasza wciągnęła na siebie koc i zasnęła. Piotr Siergiejewicz chodził po izbie, tam i z powrotem, bez ustanku. Nie spał do rana. Gdy tylko nastał świt, wyszedł z domu. Cały dzień go nie było, i następny. Natasza zaczęła się martwić. Wrócił drugiego dnia późnym wieczorem. Do kolacji usiadł bez słowa. Zjadł wszystko, co mu przygotowała: solankę, pielmieni, wypił herbatę. Nie rozmawiali.

Życie toczyło się dalej. Piotr Siergiejewicz pracował w fabryce Togliatti. Dzień w dzień wczesnym rankiem wyruszał pociągiem do pracy i wracał wieczorem. Powiedział Nataszy, że wypuścili niedawno nowy model żiguli. Wszyscy byli dumni i na dumie się skończyło, bo kasę zgarniali tylko oligarchowie i ze stu dyrektorów. A tacy ładami nie jeździli.

Miesiąc po zdarzeniu Natasza odwiedziła Wierę, przyjaciółkę z sąsiedniej wsi. Dawno się nie widziały. Rosjanki, a przyjaciółki w szczególności, zawsze opowiadają sobie o tym, co się zdarzyło, z detalami. Każda wie o drugiej wszystko, ba, zna nawet zalety fizyczne jej partnera. Natasza, kończąc spotkanie z Wierą, powiedziała o czymś, co umknęło jej wcześniej:

– Wiera, po tym wszystkim co się zdarzyło, zabroniłam Alioszy przychodzić do mnie. Trochę mi żal, bo ma wszystko na swoim miejscu i wie, co się z tym robi. Aha, zapomniałam ci powiedzieć – tamtego dnia powiedziałam Pietii, że to był listonosz. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Nataszka, to nie może być!...

– A co?!

– Jakieś trzy tygodnie temu przeczytałam w lokalnych *Izwiestiach*, że ludzie znaleźli w lesie listonosza z naszego rejonu. Powiesił się nieszczęśnik. Tego dnia była śnieżna zawierucha. Rano go znaleźli. Nawet śledztwa nie było. Wszyscy mówią, że to przez długi. Troje dzieci całkiem osierocił, bo trzy lata temu zmarła mu żona.

Natasza szybko podziękowała Wierze za spotkanie. Gdy wracała do domu, kręciło jej się w głowie, a w myślach panował zupełny zamęt.

Gawęda

Romek należał do organizacji harcerskiej w szkole, w której już przed drugą wojną światową istniały tradycje skautingu. Wyjazd na obóz był jego pierwszym samodzielnym pobytem poza domem. Mimo że był dobrze zżyty ze swoim zastępem, ta eskapada wiązała się dla niego z dużym przeżyciem. Od dwóch lat służył w zastępie złożonym z sześciu chłopców.

Od Tadka – zastępowego, Jacka i Romka zależała cała atmosfera i relacje w grupie. To oni wpadali na różne, mniej lub bardziej szalone pomysły. Na obóz, naładowani energią i pełni nadziei na fantastyczne przygody, wyjechali pod koniec czerwca, zaraz po szkole. Panowały niesamowite upały. Żar doskwierał w dzień, a w nocy trudno było zasnąć.

W Mierzwicach czekały na nich rozbite wcześniej dziesięcioosobowe namioty. Stały w lesie, nad skarpą, nad samym Bugiem. Była to dzika, zupełnie nieuregulowana rzeka. Łachy piasku przemieszczały się często, a silne wiry zmieniały kształt i głębokość dna. Kilkumetrowe dziury pojawiały się znienacka w miejscach, w których wcześniej woda sięgała co najwyżej do ramion.

– Wstawaj, była pobudka! – Romek poczuł, że ktoś mocno nim potrząsnął. Gdy otworzył oczy, zdążył zobaczyć Jacka, który – już ubrany w mundur – rozpościerał koc na pościeli swojego łóżka.

– Dzięki! – zawołał Romek i szybko stanął na równe nogi. Miał zaledwie parę chwil, by stawić się w szeregu.

Dzień na obozie rozpoczynał się pobudką, myciem i apelem, po którym było śniadanie. Właśnie tej nocy temperatura znacznie spadła, więc ranna pobudka była jak dodatkowy kubeł zimnej wody na wychłodzone pod cienkim kocem ciało. Lekki wiaterek przebiegał przez namiot – płachta w wejściu była już podniesiona. Pod starymi ciemnozielonymi, bardzo zniszczonymi wojskowymi namiotami stały prycze zrobione z cienkich balików sosnowych.

Całym zastępem pobiegli do Bugu, bo mycie odbywało się w rzece, w wartkim zimnym nurcie. Romek stał z trudem. W wodzie jego stopy zsuwały się po piachu zmieszanym z gliną. Brzeg był mocno nachylony w głąb nurtu. Drugiego dnia obozu jedyne mydło, które miał, wyśliznęło mu się w trakcie mycia i wpadło do wody. Gdy z trudem je odnalazł, było całkiem zapiaszczone. Kto by mył się tak „drapiącym" mydłem? Od tego dnia używał do mycia samej wody.

Czwartego dnia Romek był tak zmęczony, że poszedł spać, nie umywszy nóg. Aż tu w środku nocy:

– Pobudka! Wstawać! Kontrola czystości!

Był tak zaspany, że długo nie mógł się wybudzić, nie dawał ściągnąć z siebie kołdry i w końcu, półśpiący, zawołał:

– Konstytucja nie pozwala, każdy obywatel ma prawo do snu!

Kiedy komendant zobaczył jego czarne od brudu stopy, gruchnął śmiechem, a następnego dnia Romek stanął do raportu przed całym obozem – przed chłopcami i dziewczynami. Wymierzono mu jakąś standardową karę. Ale nie to było najgorsze. Od tego dnia wszyscy zwracali się do niego: „Ej, ty,

konstytucja nie pozwala – stawaj do szeregu!" albo: „Ej, ty, konstytucja, znowu ziewasz? – marsz do mycia garów".

Łatwo Romkowi nie było, bo wokół siebie należało wszystko zrobić samemu. „Dyscyplina" i „rozkaz" stały się słowami, które na długo szczerze znienawidził.

– Romek! Pokaż swoje łóżko! – rozkaz komendanta nie raz zagrzmiał mu nad głową, niezmiennie wywołując paniczny strach. W swoim domu, rano, pędząc spóźniony do szkoły, zwykle porządku nie robił. A tu jeszcze sprawdzali, jak pościelił łóżko, czy ma pod nim porządek i jak sam wygląda. A guzików w mundurze – bez liku. Co za reżim, dla jedynaka – dramat. Na obozie czas płynął wartko. Były konkursy, śpiewanie piosenek, zagadki.

Romek występował niechętnie, miał tremę przed publicznymi występami. I bliżej nieokreślone poczucie własnej wartości. Jedną z atrakcji obozu były podchody – zastępy miały za zadanie odnaleźć drogę, którą niewidzialna ręka wskazywała ukrytymi strzałkami. Ba, gdyby strzałki były tylko narysowane na ziemi, ale one były poukrywane wszędzie, nawet na drzewach. Były o to spory i kłótnie. Części strzałek nie udawało się znaleźć, więc trudno było ustalić drogę i namierzyć jakiś specjalnie ukryty przedmiot.

Rywalizacja była męcząca, zganiany po całym dniu stawał do wieczornego apelu, podczas którego składano meldunki. Komendant obozu oceniał wydarzenia dnia, wyróżniał zastępy. Wyznaczano kary i oczywiście nagrody.

Jedzenie było podłe i było go mało. Niestety, często trzeba było zadowolić się dwiema kromkami podeschniętego chleba posmarowanego margaryną i dżemem. Dla Romka najlep-

szą nagrodą byłby kawał dobrej kiełbasy ze świeżą bułką. Takich „nagród" jednak nie było, zresztą jego zastęp wyróżnień nie otrzymywał.

Zastępowy Tadek niechętnie słuchał rozkazów komendanta, na każdy temat miał własne zdanie i przez to stale podpadał, a wraz z nim cały zastęp.

Największą atrakcją obozu był organizowany w jego trakcie trzydniowy rajd. Zastępy ruszały oddzielnie i były zdane same na siebie. To było zdobywanie sprawności, czyli: wyznacz trasę, podaj ją komendantowi, po drodze „zorganizuj" sobie nocleg, jedzenie i rób dobre uczynki. Mottem rajdu było wykazanie, że harcerze w trudnych okolicznościach są w stanie poradzić sobie sami. Romkowi te trzy dni przeleciały błyskawicznie.

Zastęp Romka spał w chłopskich stodołach. Teren rozpoznawali z wieży kościelnej w Mielniku, skąd rozpościerał się widok na pola ciągnące się wzdłuż Bugu. Trzeba było wejść na nią po zniszczonych i rozchybotanych drewnianych szczeblach. Kontakty z mieszkańcami z reguły były serdeczne. Harcerze z zastępu starali się zrobić coś dobrego. Staruszkom nosili wodę ze studni do kuchni, rąbali drewno i układali w pryzmy. Miejscowi zaciągali gwarą nadbużańską, że hej. Byli życzliwi, pozwalali harcerzom przespać się na sianie. Z obawą uprzedzali:

– Chłopacy, tylko papierosów nie palcie, bo nam domostwo z dymem puścicie.

Żar niemiłosiernie lał się z nieba, a jedzenia i picia w menażkach stale brakowało. Odległości między wsiami i miasteczkami były spore. Mało ludzi tam mieszkało. Przynajmniej z jabłkami problemów nie było – hop do przydrożnego ogrodu i gotowe – to nic, że jeszcze małe i okropnie kwaśne.

Ostatni dzień i trasa powrotna dała się całemu zastępowi najbardziej we znaki. Nie było zabudowań, jedzenia i wody, a pić chciało się niemiłosiernie. Plecaki uciskały i grzały w plecy, a zawinięty na nich koc przeszkadzał w marszu.

Głodni i spragnieni, w koszulach i mundurach przesiąkniętych potem, na kilka kilometrów przez Mierzwicami natknęli się na malutki, zbity z desek domek, w którym mieścił się wiejski sklepik. Oprócz korpulentnej sprzedawczyni nie było w nim prawie niczego. Niczego, co odnowiłoby ich nadwątlone siły. Do picia było wyłącznie miejscowe, lekko sfermentowane, nadbużańskie piwo. Chyba na moment anioł stróż o nich zapomniał, bo pani ze sklepiku bez problemu piwo harcerzom sprzedała. Stało i psuło się, był najwyższy czas, by się go pozbyć. Kto wtedy zwracał uwagę na wiek klienta!

Romek od razu wypił pół litra, tak samo zrobił cały zastęp. W końcu wszyscy jak jeden mąż wypili po dwa piwa na puste żołądki. Z tego co działo się później – niewiele zapamiętali. Świat im zakołował, a głowy nie radziły sobie z utrzymaniem marszu w linii prostej. Zastęp, kompletnie pijany, wkroczył w samo południe na teren obozu 40. WDH-y, śpiewając „ludową" piosenkę chwalącą Heimat, czyli ukochaną niemiecką ojczyznę. Głosy – właśnie po mutacji – mieli donośne, więc „hei-li, hei-la, hei-la" usłyszeli wszyscy.

Odprowadzono ich do namiotu. Wieczorem, gdy wytrzeźwieli, odbył się nad nimi sąd obozowy, któremu przewodniczył komendant. Wiedzieliśmy o nim, że nocą popija trunki w towarzystwie jednej ładnej, wysportowanej druhny. Dla zastępu Romka był bezwzględny.

Zostali ukarani nakazem sprzątania całego terenu obozu i obierania ziemniaków przez trzy dni. Wściekli, kroili je później w kostkę, więc po obraniu nie było czego jeść. Warunkowo pozwolono członkom zastępu zostać na obozie, ale za każde następne przewinienie groziła im kara natychmiastowego wyrzucenia. Najsurowiej potraktowano zastępowego Tadka, który nie chciał wyrazić skruchy. Komendant podjął decyzję o wydaleniu go z obozu i do stolicy niezwłocznie wysłano telegram. Następnego dnia nasz zastępowy wyjechał do Warszawy ze swoją mamą. Obóz skończył się dla niego przedwcześnie. Oj – od piwa głowa się kiwa. Szczera prawda. Było nam go żal. Próby zmiany decyzji komendanta nie zdały się na nic.

Romek dwa razy był na obozie – pierwszy i ostatni. W drugiej połowie lat 60. XX wieku harcerstwo – jedyna patriotyczna szkolna organizacja – zaczęło „planowo" zamierać. Władza komunistyczna nie chciała tolerować przedwojennych tradycji i zabrała harcerzom wszelkie dotacje. Za to wsparcie otrzymał Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Tak oto polityka zabiła polski ruch skautowski, który przed wojną był wspaniałą kuźnią charakterów młodych Polaków. Krzewiona w harcerstwie dyscyplina i miłość ojczyzny były dla wielu przesłaniem na całe życie. W szkole na Promienistej długo nie udawało się założyć ZSMP – brakowało chętnych. Jak odnotowała historia, jej uczniowie opierali się reżimowi najdłużej ze wszystkich szkół w Warszawie.

Paryska historia

Część pierwsza

Szedł ulicą w kierunku śródmieścia, gdy zadzwoniła jego komórka. To Luc Berton. Zatrzymał się i odebrał połączenie, mimo hałasu wywołanego gwarem rozmów, różnymi odgłosami i warkotem silników. Zgiełk potęgowali kierowcy aut stojących na zakorkowanej ulicy, walczący klaksonami o wolną drogę.

– Cześć Luc! I co?

– Yves, słuchaj, cholernie się cieszę, wszystko załatwione, masz u nas angaż od października! – usłyszał uradowany głos Luca.

– Super, dzięki przyjacielu – odpowiedział Yves i po chwili dodał:

– Spróbuję poszukać lokum, zamierzam przyjechać dwa tygodnie wcześniej. Chcę mieszkać w dobrych warunkach. Cześć Luc, zadzwonię jutro.

Yves ucieszył się z otrzymanej propozycji. To było coś! Z kancelarii w Nantes do Paryża! Kiedy dziesięć lat wcześniej skończył prawo na Sorbonie, nie miał żadnych szans na pozostanie w stolicy. Teraz Luc, kolega z wydziału, z którym studiował i razem przygotowywali się do obrony prac dyplomowych, zaproponował mu współpracę. Dobrze się złożyło – pomyślał. Po ostatniej rozmowie z Céline nie miał już ochoty snuć z nią

wspólnych planów. Wyjadę i po prostu wszystko się skończy. Nabierał stopniowo przekonania, że ma pecha do kobiet. Pięć lat z Céline to było aż za wiele, by upewnić się, że nie jest właściwą kandydatką na żonę i matkę. To, że nie miała pojęcia o gotowaniu nic nie znaczyło. Problem tkwił w tym, że przejęta własnym awansem w korporacji nie myślała o dziecku, a jego samego traktowała gorzej niż kiedyś. Jakże inne relacje istniały między nimi, gdy zaczęli mieszkać razem. Doszedł do wniosku, że Céline, pochłonięta niemal wyłącznie pracą, straciła kobiece ciepło i delikatność – czyli akurat to, co dla niego u kobiety miało i ma największe znaczenie.

Yves wstąpił do znajomego baru, by na spokojnie przemyśleć nową sytuację. Usiadł przy małym stoliku i zamówił kieliszek szampana. Z teczki wyjął Maca. Hasło do wi-fi widniało na serwetkach. Po chwili na ekranie za pomocą Google zobaczył plan Paryża i wyszukał dokładną lokalizację kancelarii Luca. Była w XIII Dzielnicy, w okolicach metra przy Placu Włoskim. Dobra lokalizacja, metrem dojadę tam z wielu miejsc w mieście – zauważył.

Pijąc szampana, Yves zamyślił się głęboko. Powróciły reminiscencje z okresu studiów, gdy był z Sophie, aż do tego fatalnego dnia. Kochał ją, właściwie tylko z nią czuł się szczęśliwy. Mój Boże – skonstatował – od wyjazdu z Paryża minęło dziesięć lat. A od momentu, gdy się rozstaliśmy i bezpowrotnie utraciłem kontakt z Sophie – niemal dwanaście.

Ciężko to przeżył, wpadł w depresję i był bliski przerwania studiów. Wyobraził sobie, że Sophie dawno ułożyła sobie życie – codziennie odprowadza dzieciaki do szkoły i przedszkola. Wtedy ona też miała problemy z egzaminami. Nie wiedział,

gdzie teraz mieszka, czy zdobyła dyplom i pracuje w zawodzie, czy też zajmuje się czymś zupełnie innym.

Yves postanowił wpisać w wyszukiwarce jej imię: S-o-p-h-i-e i nazwisko: M-e-s-s-i-e-r oraz ostatni adres, pod którym mieszkała z przyjaciółką. Ten, gdzie się spotykali. Na ekranie kompa od razu pojawiła się informacja, że osoba o tym imieniu i nazwisku prowadzi pod wymienionym adresem pracownię artystyczną. Podano też numer telefonu. Yves nie mógł w to uwierzyć, ale wszystko się zgadzało.

Decyzję podjął od razu. Wstukał numer Sophie i czekał na połączenie, nie wiedząc zupełnie, jak poprowadzi rozmowę. Dwanaście lat bez kontaktu, od czego zacząć? – zadał sobie pytanie.

– Halo, słucham – usłyszał. Od razu rozpoznał jej głos.

– Halo – powtórzyła, a on wciąż milczał, by w końcu powiedzieć:

– Sophie, to ty?

– Tak, mam na imię Sophie, ale kto mówi?

– Yves! – z trudem wyartykułował własne imię.

Cisza w telefonie trwała całą wieczność. Wreszcie usłyszał:

– Yves Bédier? To ty?

– Tak, to ja Sophie. Wiem, że jest ci trudno tak po prostu ze mną rozmawiać, ale wysłuchaj mnie, proszę. Nie widzieliśmy się od prawie dwunastu lat. Pragnę, byś wiedziała, że przez ten czas wciąż myślałem o tobie i nadal tak jest. Miałem zawsze nadzieję, że jesteś szczęśliwa. Do dziś przeżywam fakt, że masz o mnie złe zdanie. Niesłusznie zresztą. Droga Sophie, za tydzień przyjadę do Paryża. Marzę o tym, by ciebie zobaczyć, choć przez chwilę, nie odmawiaj, proszę!

– Dobrze – odpowiedziała po namyśle – adres znasz, kiedy mam się ciebie spodziewać?

– Przyjadę z Nantes w piątek, późnym wieczorem, więc może spotkajmy się w sobotę rano, o pół do jedenastej?

– Yves, twój telefon zupełnie mnie zaskoczył, zastanawiam się, czy coś się stało?... No dobrze, czekam na ciebie w sobotę. Wtedy mi powiesz. Do zobaczenia.

Połączenie zostało zakończone. Yves zamówił następny kieliszek szampana.

Część druga

W sobotę w południe, jak zwykle na Montmartrze, panował ożywiony ruch i było głośno od gwaru i stukotu pojazdów po brukowanych ulicach. Po godzinnej rozmowie w jej mieszkaniu Yves i Sophie wyszli z domu. Wspinali się schodami po wąskiej, stromej uliczce, w sąsiedztwie zielonej winnicy, ku szczytowi wzgórza. Obejmował ją mocno, a zarazem delikatnie i czule, tak samo jak przed kilkunastoma laty, gdy przemierzali te miejsca połączeni pierwszą miłością. Retrospekcje pięknych chwil jak film przewijały mu się przed oczami.

Byli młodzi i cały świat stanął przed nimi otworem. Właśnie rozpoczęli studia, gdy los zetknął ich ze sobą. W auli usiadła tuż obok niego. Poczuł lekki zapach perfum i jakąś szczególną, zniewalającą aurę. Nie rozmawiali, choć podczas inauguracyjnego wykładu spoglądał na nią wiele razy, gubiąc co chwilę wątki prelekcji. Miała ciemne oczy, niemal czarne włosy i śmiało uniesione brwi, co przy jasnej cerze twarzy wyglądało ekscytująco. Po wykładzie podszedł do niej i przedstawił się:

– Yves. Mam na imię Yves, a ty? – zapytał.

– A ja jestem Sophie! Sophie Messier – odpowiedziała, uśmiechając się, a dwa dołeczki pojawiły się na jej policzkach.

– Zaczynasz studia prawnicze, tak jak ja, czy jesteś dzisiaj na wykładzie z innego powodu? – zapytał.

– Widzę, że nie zapamiętałeś mnie ze wstępnych egzaminów – odpowiedziała, dodając – stałam tuż obok ciebie, gdy wywieszano listę przyjętych na studia, zawołałeś wtedy głośno: „eureka, yes, yes, yes!".

– Sophie, to niemożliwe, od razu zwróciłbym na ciebie uwagę! – żachnął się, zdziwiony tym, że wcześniej zdążyła go zapamiętać, podczas gdy on w ogóle jej nie dostrzegł.

– Byłam tam i słyszałam, jak zawołałeś, a potem przybiliście piątki z kędzierzawym blondynem, który stał obok nas.

– Rzeczywiście tak było – potwierdził. To był Henry. – Jak mogłem Ciebie nie zauważyć! – powiedział z wyraźnym wyrzutem wobec siebie.

Zaśmiała się przekornie:

– Yves, wtedy byłam blondynką i miałam duże, ciemne, przeciwsłoneczne okulary, to chyba wszystko wyjaśnia. A tak w ogóle, to dlaczego zacząłeś ze mną rozmowę?

– Wiesz co, mam propozycję, zajęcia kończą się o dwunastej. Zjedzmy coś razem w jednej z kafejek na Place de la Sorbonne! – zaproponował, unikając odpowiedzi na zadane pytanie.

Zgodziła się i po zajęciach usiedli w Les Patios. Jak na wczesną jesień było ciepło. Goście kawiarni zdjęli płaszcze, kurtki i swetry. Siedząc w samych koszulach, cieszyli się promieniami słońca.

– To prawdziwy kolor twoich włosów? – zapytał.

– Tak, z blondynką to był eksperyment – odpowiedziała zgodnie z prawdą. Nie ujawniła jednak, że wtedy chodziło jej o wywołanie efektu Marilyn. Rozmawiali swobodnie i sprawiali wrażenie dobrych znajomych. Gawędząc podczas lunchu, sporo dowiedzieli się o sobie.

Mieli po dwadzieścia lat i pochodzili ze średniozamożnych rodzin spoza Paryża. Ojciec Sophie prowadził duży warsztat samochodowy w Reims. Matka nie pracowała, zajmowała się domem i wychowaniem Erica, jej młodszego brata. Yves był jedynakiem i wyrósł w rodzinie urzędniczej. Ojciec pracował w merostwie Nantes, zaś matka w administracji jednego z kompleksów biurowych. Ukończenie studiów prawniczych było własnym celem każdego z nich, ale podczas wyboru kierunku także ambicje i akceptacja rodzin odegrały znaczącą rolę.

– Masz partnera Sophie? – Yves zadał to pytanie niespodziewanie, gdyż rozmowa toczyła się o ich zainteresowaniach i poszukiwali wspólnych pasji.

– Miałam w Reims, ale niedawno rozstaliśmy się – odpowiedziała. – A ty? Masz dziewczynę?

– Chodziłem z dwiema, ale nigdy nie było to nic poważnego – odparł. – Widzę, że oboje jesteśmy na tym samym etapie samotności – dodał.

Ich spotkanie potrwało znacznie dłużej, niż się spodziewali. Okazało się, że pasjonują się jazdą na rowerze i żeglowaniem, choć na wodę nie wypływają często. On grywa w brydża, zaś Sophie uwielbia malować. Studia artystyczne byłyby jej drugim wyborem.

– Maluję amatorsko i gdy przyjechałam do Paryża, wspólnie z przyjaciółką wynajęłyśmy mieszkanie z dobrym światłem i ładnym widokiem.

– W której dzielnicy? – spytał i mocno się zdziwił, gdy odparła:

– W XVIII, przy Rue Girardon, na Montmartrze. Niemal codziennie jestem na Placu Dalida i patrzę na jej popiersie. Urokliwe miejsce, szkoda, że nie spotkam już tam Pabla Picassa, Jeana Gabina, Edgara Degasa, Renoira, czy van Gogha.

– Stać cię? – nie mógł opanować zdziwienia.

– We dwie jakoś dajemy sobie radę, zresztą mieszkanie nie jest wielkie. Duży pokój służy za kuchnię, jadalnię, salon i pracownię. Śpimy w sypialni.

Yves gotów był towarzyszyć Sophie do końca dnia, ale ona oświadczyła:

– Muszę już iść, jestem umówiona.

– Jeśli chcesz, to wybierzemy się gdzieś jutro, po zajęciach? – zaproponował.

– Jasne, do jutra, zobaczymy się na wykładach – odparła, podając mu rękę na pożegnanie.

Czekając na rachunek, Yves obserwował oddalającą się Sophie. Miała ładne i regularne rysy. Była szczupła i zgrabna. W dżinsach i lekkiej kurtce poruszała się z wdziękiem. Spodobała mu się.

Część trzecia

Po wykładach Yves i Sophie chodzili razem na lunch, a co kilka dni spędzali ze sobą wieczór w kinie lub teatrze. Czasem trafiały im się zaproszenia na jakieś okazyjne eventy. Sophie

mieszkała z osiemnastoletnią Chantal. Zdarzało się, że Yves przesiadywał u Sophie do późna, trudno im się było rozstać. Sophie odwzajemniała jego uczucie. Zbliżyli się do siebie, reagując podobnie na wszystko, co działo się wokół. Gdy w grudniu Chantal wyjechała do rodziców, do Marsylii, kilka dni spędzili w mieszkaniu tylko we dwoje. Wtedy doszło do pierwszego zbliżenia. Od tego dnia robili wszystko, by spędzać ze sobą jak najwięcej czasu. Szybko upewnili się, że są idealnie stworzeni dla siebie.

Podczas odwiedzin u Sophie zauważył, że przyjaciółki łączy pewien stopień zażyłości. Zdarzało się, że Chantal dotykała ją, niby przypadkiem, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że miało to jakiś wydźwięk erotyczny. Sophie nie zwracała żadnej uwagi na jej miniekscesy i nie odwzajemniała ich. W sypialni dzieliły duże łoże małżeńskie, w którym, jak przypuszczał, nie dało się całkiem uniknąć kontaktu fizycznego. Tematu relacji Sophie z Chantal nigdy nie poruszał. Zresztą nie widział w tym nic szczególnie nagannego, uznając, że są zżyte ze sobą i traktują się jak siostry. Obruszał się jedynie na myśl, że pewnie czasem zasypiają przytulone do siebie. Współlokatorka Sophie była ładną, wysportowaną mulatką o karnacji skóry przypominającej mocną opaleniznę.

Z biegiem czasu Chantal traktowała Yves'a z rosnącą niechęcią. Pozwalała sobie, zupełnie bez powodu, na złośliwe uwagi pod jego adresem. Mimo sprzeciwów Sophie nie zmieniała swojego, nieco agresywnego zachowania wobec Yves'a. Nie miał wątpliwości, że robi to z zazdrości. Nie ulegało kwestii, że jego miłość z Sophie, trwająca ponad dwa lata, a szcze-

gólnie ich poważne plany, to dla niej sytuacja trudna do zaakceptowania.

Któregoś bardzo upalnego dnia, kiedy Yves przyszedł na Montmartre na spotkanie z Sophie, w mieszkaniu zastał tylko Chantal. Sophie zadzwoniła, że coś jej wypadło, prosząc, by poczekał. Nie czuł się komfortowo, był zmęczony i miał na sobie przepocone ubranie. Zaraz po tym, jak zjadł ciasteczka i wypił kawę, którą podała mu Chantal, poszedł wziąć prysznic. Kąpał się, stojąc pod silnym strumieniem. Woda z szamponem dostała mu się do oczu, więc przez chwilę ich nie otwierał. Wtedy poczuł czyjąś rękę dotykającą jego penisa. W kabinie obok niego stała całkiem goła Chantal. Bez najmniejszego skrępowania dotykała go swoimi piersiami, usiłując ręką wywołać u niego erekcję. Zaskoczony patrzył na nią przez moment, po czym wyłączył prysznic, a następnie chwycił mocno za ręce i wyciągnął siłą z kabiny, prowadząc do sypialni. Zażądał, by się natychmiast ubrała i przestała głośno krzyczeć. Nie wykonywała jego poleceń, a tuż przed sypialnią rzuciła się na dywan.

Świadkiem całego zdarzenia była Sophie, która właśnie weszła do mieszkania. Na jej oczach Yves ciągnął do sypialni gołą Chantal, opierającą się i krzyczącą wniebogłosy. Na widok Sophie wypuścił ją z rąk, podszedł i z wyrzutem powiedział:

– Sophie, mieszkasz z idiotką, nimfomanką i seksoholiczką! Rozebrana weszła bezczelnie do kabiny, kiedy brałem prysznic!

Chantal nadal leżała goła na dywanie, trzęsąc się spazmatycznie i płacząc. Dla Sophie scena między Chantal a Yves'em była oczywista. Stała w szoku. Choć Yves starał się jej wytłumaczyć absurdalność całego zajścia, kazała mu się ubrać i wyjść.

Po tym wydarzeniu Sophie unikała kontaktu z Yves'em, pomimo że prosił ją, by go wysłuchała. Na uczelni przepisała się do innej grupy, a na wspólnych wykładach siadała na drugim końcu sali. Dla Yves'a rozstanie z Sophie było ciosem nie do zniesienia, zadanym na dodatek w niewyobrażalnych okolicznościach. Nigdy nie pogodził się z myślą, że Sophie uważa go za zdrajcę i zboczeńca. Chantal nie reagowała na jego wielokrotne prośby, by nie niszczyła ich życia i powiedziała przyjaciółce prawdę. Sophie dotkliwie przeżywała swoje upokorzenie. Dała wiarę relacji Chantal, z której wynikało, że Yves rozebrał ją wbrew jej woli, siłą zaciągnął pod prysznic, a potem chciał zgwałcić w sypialni.

Do końca studiów Yves nie zbliżył się do żadnej dziewczyny. Nie chciał stracić szansy na powrót do Sophie. Był przygnębiony i załamany. Po obronie, z dyplomem w rękach wyjechał z Paryża, licząc, że zmiana otoczenia przyniesie mu pewną ulgę. Wrócił do rodzinnego Nantes, z wielkim żalem do losu. Po aplikacji rozpoczął pracę w kancelarii adwokackiej w centrum miasta.

Część czwarta

Yves, spacerując z Sophie w sobotnie, wrześniowe popołudnie, znów, jak przed wieloma laty, poczuł się szczęśliwy. Godzinna rozmowa z nią stworzyła nadzieję na powrót ich dawnych relacji. Chantal, gdy przed pięcioma laty wyprowadzała się z mieszkania, wyznała Sophie prawdę. Zrobiła to, chcąc uwolnić się od psychicznego balastu i nie oczekując wybaczenia. Widziała, jak głęboko Sophie przeżywała rozstanie z Yves'em. Miała świadomość, że swoim kłamstwem nie uratowała resz-

tek uczucia, które łączyło ją z Sophie. Stało się wtedy jasne, że każda z nich inaczej traktowała dziewczęcą przyjaźń. Nikt tak głęboko jak przyjaciel nie może zranić drugiego człowieka.

Yves opowiedział Sophie o swoim życiu w Nantes i nieudanym partnerstwie z Céline, którego nawet nie nazwał związkiem. Sophie wyznała mu, że nigdy na stałe nie związała się z żadnym mężczyzną. Porzuciła studia, poświęcając się malarstwu oraz rzeźbie. Radziła sobie całkiem dobrze. Jej wernisaże, organizowane dwa razy w roku w renomowanych salach Paryża, cieszyły się popularnością. Prace Sophie prezentowały uznane domy sztuki. Była artystką z Montmartru, dzielnicy artystycznej bohemy.

Yves nie musiał szukać lokum w Paryżu. Propozycja pracy w paryskiej kancelarii stworzyła obojgu drugą życiową szansę, która mogła nigdy się nie zdarzyć. Po rozstaniu żadne z nich nie zaakceptowało innego partnera. Postanowili pielęgnować miłość, która przetrwała, licząc się oczywiście ze wszystkimi, naturalnymi konsekwencjami wspólnej decyzji.

Dwa tygodnie później, w pierwszy weekend października, Sophie Messier i Yves Bédier znowu razem, jak kiedyś, świętowali Winne Dożynki Montmartre. Ale co tam jesień. Niecierpliwie czekali na nadejście wiosny. Maj jest tutaj najpiękniejszy.

Wiecie dobrze, co to za miejsce,
ale... poczytajcie

Półwysep jest unikalny, a ta miejscowość szczególnie. Ilekroć tu jestem, przeżywam coś trudnego do opisania. Wąski pas ziemi wdziera się w morze, symulując zatokę. Czy ten mały paseczek lądu można uznać za trwałą ziemską przegrodę? Na pewno nie. Większy sztorm potrafi przelać się przez półwysep – zatoka przestaje wtedy istnieć. Czym więc jest? Prawdą czy iluzją?

Pobyt tutaj dla entuzjasty morza jest świętem. To nobilitacja mieszczucha do rangi rybaka, korsarza, pirata, a przynajmniej morskiego majtka, który odczuwa tu bezmiar otaczającej go wody. To powrót do siebie, do swoich dawnych przeżyć i uniesień. To oglądanie świata oczami chłopca, w najostrzejszych barwach młodości i patrzenie na znane miejsca po raz pierwszy. To odkrywanie wszystkiego na nowo i zauroczenie niepowtarzalnym urokiem, także pięknem tego, co powstało niedawno.

Zapytany czym jest dla mnie to miejsce na półwyspie, odpowiem bez wahania, że wspaniałym doświadczeniem na drodze poznawania piękna. To zapach ciała Ewy, blondynki z rozwianymi włosami, o twarzy osmaganej wiatrem i słońcem. To księżycowa noc dwóch istot, które na plaży, w wiklinowym koszu, znalazły bezpieczne schronienie i bez końca zgłębiają smak pierwszych pocałunków. To drżenie splecionych rąk

i ciepło przytulonych głów, tak miłe w narastającym chłodzie nadchodzącego poranka. To dotyk pierwszego poznania w powiewach wiatru niosącego wszechobecny złoty pył. To kołysanka śpiewana przez morskie fale, przetaczające się miarowo po piasku. To szmer wody wśród kamieni wyrzuconych na brzeg.

To ostry snop światła latarni morskiej, cyklicznie i nieubłaganie omiatający nocą plażę, kosz i tę zakochaną parę tulącą się do siebie, tak bardzo pragnącą intymności. Intymności, której nieuchronne przemijanie położy wkrótce kres. Oboje nie mogą o tym wiedzieć, więc cieszą się namiętnym uniesieniem. Jeśli mają w sobie pokłady wrażliwości i poczucie wewnętrznej harmonii, to rozstanie nie zniszczy uroku tych wspaniałych chwil.

Cóż, za jedno z nich mogę ręczyć. Co do Ewy – wciąż nie mam możliwości, by ją o to zapytać.

To miejsce, to wspomnienie dni, gdy nieprzenikniona mgła spowija półwysep. Jest wszędzie i pożera wszystko. Płynąc, nie umie odróżnić wody od lądu, zabudowań od samochodów, statków od łodzi. Niewidoczne postacie toną w gęstym mleku, zlewają się z drzewami, zarysami domostw. Ulice znikają, a martwe lampy stają się wyłącznie przeszkodami, z którymi łatwo się zderzyć.

To słyszane na przemian, przejmujące, donośne buczki i przeciągłe syreny, które usiłują przebić mgłę, by wskazać wejście do portu kutrom i łodziom rybackim, zagubionym gdzieś w bezkresnej wodnej przestrzeni. To niewyobrażalna gęsta biel, która zabija wszelką aktywność. Trzeba samemu tego doświadczyć, by zrozumieć, jak bezradny jest marynarz wobec cichego żywiołu.

To nagła zmiana, gdy jak za dotknięciem niewidzialnej różdżki znikają białe miraże i znów świeci nienaturalnie jaskrawe słońce. I widać wszystko hen, po sam horyzont, przy niemal bezchmurnym niebie. Jeśli wcześniej wydarzyła się jakaś tragedia, nie jesteśmy w stanie w nią uwierzyć, patrząc na radosną przyrodę. Ta metamorfoza poraża swoją skalą.

Znów jasny, żółty piasek plaży rozpościera się na dużej przestrzeni od pasa wydmy ku morzu. Wydmę porasta piękny zwarty sosnowy las, częściowo mieszany, z dodatkiem drzew liściastych, paproci i krzewów. Zapach szyszek i igliwia miesza się z zapachem morskich wodorostów.

Nieodgadniona aura półwyspu wtapia nas w przyrodę, pozwala głęboko oddychać morskim powietrzem, dogłębnie przenikając wilgocią nasze ubrania i ciała. To konstatacja, że pobyt tu przypomina odwracanie kart w ulubionym albumie, którego każda fotografia przywraca w pamięci wspomnienia – zdarzenia, sytuacje i ludzi, o których nie możemy zapomnieć.

To spostrzeżenie, że jestem w miejscu nadmorskiego wypoczynku naszych rodaków w okresie międzywojennym, także mojego ojca. Jako dziecko przyglądał się, gdy z portu po stronie zatoki rybacy wyruszali na połów. Czasem łowiono z niewielkich łodzi od strony otwartego morza. Sieci, wyciągnięte z morskiej toni, rozpostarte na drągach, i dziś rozsiewają zapach ryb, zielonych glonów i ciemnobrązowych wodorostów.

To miejsce odnowy wiary katolickiej, bo gdy pogoda jest zmienna i kapryśna, a mężczyźni łowią, ich kobiety modlą się gorąco. Tylko wiara w Boga pozwala człowiekowi przetrwać i funkcjonować. Gdy niespodziewany żywioł niszczy wszystko – skąd ma oczekiwać pomocy?

Z wysokiej wieży kościoła Najświętszej Marii Panny, zbudowanego z ciemnoczerwonej cegły jeszcze przed drugą wojną, rozlega się dźwięk dzwonu, docierając do serc i umysłów. Z ambony w kształcie łodzi, stale zalewanej przez wzburzone, spienione fale, płyną słowa otuchy i wiary w Najwyższego. On wskaże zagubionym na morzu drogę do domu, a ich rodziny natchnie wiarą, nadzieją i miłością.

Twardzi ludzie tu mieszkają, rośli mężczyźni i zahartowane, pracowite kobiety. Solidarność nie jest tu pustym słowem, a czymś naturalnym i powszechnym. Bywać wśród nich i mieć przyjaciół to prawdziwy honor. Mimo upływu lat zachowują swoją gwarę, bardzo odrębną i różniącą się od języka sąsiadów. Kaszëbë – to słowo ma swoją magiczną moc. Teraz odżywa z wielką siłą, tak jak ludzie, którzy nie dali się wynarodowić. Konkel, Selin, Kohnke, Budda i wiele innych rodzin żyje tu od setek lat. Wśród nich bladolica Gabrysia o włosach białych jak len, wnuczka babci Miller, z mężem Stefanem Buddą i dziećmi, mieszkańcy domu przy ulicy Księdza Sychty.

To miejsce to także przejeżdżający pociąg, donośnie i ostrzegawczo gwiżdżący przed każdym przejściem wiodącym przez tory na plażę. To głośny stukot kół i migające tuż za oknem wagonu rosnące na wydmach drzewa, pomiędzy którymi – od czasu do czasu – pojawia się lazurowe morze.

To także nagroda od przyrody dla zbieraczy i miłośników sztormowej pogody – kawałki bursztynu wyrzucone na brzeg i gratis zwiększona, naturalna dawka jodu – nie do przecenienia.

To widok od strony zatoki, gdzie woda jest cieplejsza. Plenią się w niej nadmiernie glony i wodorosty, których widok utrwaliłem na filmie kręconym z helikoptera Bell. To maleń-

kie kino Żeglarz, kapitanat i stary port rybacki, nasycony przenikliwą wonią ryb, sieci rozwieszonych na wietrze, zapachem spalin z diesli, krzykiem mew. Można stąd rozpocząć podróż w daleki świat.

To nurkowanie z wielozębnym harpunem, obok latarenki stojącej przy wejściu do portu, by z niecnym triumfem wydostać tłuste, wijące się cielska czarnych węgorzy. To także nowoczesny hotel, powstały na wydmach w miejscu kultowego przedwojennego Domu Zdrojowego i boski smak dorsza z wieczornego połowu, ze słynnej kuchni Wawrzyniaka. Z pewnością znacie to miejsce i kochacie je nie mniej ode mnie.

Wigilia

Część pierwsza

– Mamo, kiedy tatuś przyjedzie?

– Marcysiu, tatuś jest bardzo, bardzo daleko. Też chciałabym, by był z nami.

– Ale mamusiu, za dwa dni jest Wigilia, tata zawsze wręczał prezenty od Świętego Mikołaja!

– Śpij proszę, już jest późno, a jutro mamy dużo pracy. Pomożesz mamie ubrać choinkę?

– Tak, pomogę, ale wiesz co?

– A co chcesz mi powiedzieć?

– Musimy obciąć te największe gałęzie, żeby zmieścił się worek z prezentami!

– Dobrze, obetniemy, ale już śpij. Chcesz spać ze słonikiem?

– Nie, daj mi osiołka, tego małego, ze stajenki, jeszcze z nim nie zasypiałam.

– No dobrze. Masz osiołka i śpij grzecznie.

Marcysia wzięła osiołka, przytuliła go do siebie, uprzedzając przy tym: bądź grzeczny, to jutro będziemy się bawić.

Usnęła niemal natychmiast, więc Matylda zgasiła lampkę i wyszła z pokoju. W okna uderzały fale deszczu. Od kilku dni pogoda pogłębiała jej przygnębienie i rezygnację. Czuła się bezsilna i pozostawiona sama sobie. Rodzice Maćka codziennie dzwonili z Giżycka, licząc na jakąś wiadomość, zawsze pytając

o Marcelinę. Matylda mogła się domyśleć, że do niej, do niedawna uwielbianej synowej, mają żal. Szukają winnego – pomyślała. Sami nie umieją wyjaśnić zniknięcia syna, więc kto, jeśli nie ona, jego żona, może być przyczyną tego wszystkiego. Była z nim i nic nie wie, niczego nie zauważyła? – była pewna, że winią ją, tak było najprościej. O jego trudnej pracy wiedzieli niewiele. Była przekonana, że nie dopuszczają myśli o porwaniu, a co dopiero śmierci swojego jedynaka.

Matylda zaparzyła herbatę i usiadła w fotelu. Stojąca lampa świeciła stonowanym, zielonym światłem. Kolor nadziei – pomyślała. Z dnia na dzień traciła wiarę. Zdawała sobie sprawę, że Maćka nie ma w domu od blisko trzech miesięcy. Była przekonana, że gdyby żył i nie był więziony, wysłałby jej jakiś sygnał. Nie umiała odpowiedzieć na wiele pytań: co robiła źle?; czym zraziła go do siebie?; co z nimi było nie tak? Nie umiała znaleźć logicznego wyjaśnienia. Była pewna, że Maciek kocha ją i Marcysię. W roli męża i ojca sprawuje się bez zarzutu. Nigdy nie uganiał się za kobietami, nagła zdrada wydała jej się mało prawdopodobna. Kilka słów, które wysłał SMS-em, uznała za jakąś pomyłkę albo głupi żart. „Mati – rozstajemy się" – i cisza. Jego telefon przestał odpowiadać, a próby zwykłych połączeń, także przez what's-up, były nieudane. Zniknęły wszelkie ślady aktywności, a numeru nie można było zlokalizować. Jakby właściciel smartfona rozpłynął się w powietrzu. Matylda niewiele wiedziała o jego pracy, dlatego wariant służbowego konfliktu jako podłoża zaginięcia Macieja mógł być dla niej jedynie przedmiotem czystych spekulacji.

Wiedziała, że nieobecność Maćka na Wigilii będzie dla Marcysi wielkim przeżyciem. Była wiernym fanem swojego taty.

Co teraz jej powiem? – zastanawiała się. Nie może bez końca oczekiwać powrotu ojca z delegacji. Policja milczy. Niby działają, bo w sprawie jego zaginięcia prowadzą śledztwo, ale sądząc po efektach – robią niewiele. W ciemnym tunelu nie zapaliło się żadne światełko. Jeśli była to świadoma ucieczka, to wywieranie przez nią presji na policji nie miało sensu. Może dotknęła go pełna amnezja, ale musiałby gdzieś być, ktoś by go widział – rozważała. Wracała myślami do wspólnego śniadania, w dniu jego zniknięcia. Czule pożegnał się z Marcysią, z nią również. Odniosła wrażenie, że jest zamyślony, jakby nieobecny. Mógł mieć problemy, o których nie wspomniał. Zabrał swoją teczkę i wyjechał autem do pracy na Pańską o ósmej, jak co dzień. Z zasady nie pracował w domu nad sprawami służbowymi.

Część druga

Od dwóch godzin Krystian Zielski, inspektor wydziału kryminalnego w warszawskim Śródmieściu wertował akta sprawy Macieja F. Po kolei przeglądał wszystkie zebrane dokumenty. W zeszycie robił robocze notatki. W trakcie pracy przedstawiał ich szczegóły Damianowi Sikorskiemu – nowemu współpracownikowi, którego nieformalnie uznawał za swojego asystenta.

– Damian, słuchaj – to musisz wiedzieć: kilkanaście segregatorów i kilkadziesiąt teczek – tyle materiałów udało się zgromadzić. Ze stacjonarnego komputera zaginionego zrzucono wszystko na trzy zapasowe twarde dyski Western Digital My Book Elite. Produkt niby z Lake Forest California, U.S.A., ale małymi literkami napisano: Product of Thailand, normalne – koszty, koszty i jeszcze raz koszty. Jego firma działa w chmurze – mamy dostęp. Wciąż brakuje motywów ewentualnego

porwania i z tego powodu ukierunkowanie śledztwa nie jest możliwe. Tkwimy w martwym punkcie. Zaginiony Maciej F. pracował jako programista w firmie Nowy Deal – Oprogramowanie i Aplikacje. To duża firma – miał kontakty z wieloma klientami z różnych branż. Wyróżniał się wprawdzie ponadprzeciętnymi umiejętnościami i ceniono go wysoko, jednak wyeliminowanie go przez konkurencję – jako motyw porwania albo zabójstwa – wydaje się mało prawdopodobne. Bardziej skłaniam się ku wersji złej relacji z którymś klientem. Na przestrzeni ostatnich pięciu lat, bo taki horyzont czasowy określiliśmy do przebadania, przygotował oferty dla ponad dwudziestu korporacji i firm. Byli to zwykle potentaci w swoich branżach. Obroty niektórych z nich były liczone w miliardach. Nadzorował wszystkie projekty, bezpośrednio uczestniczył w realizacji części z nich. W jego kompie, w biurku i szafach znajdowały się kopie przygotowanych i złożonych ofert. Była także dokumentacja z dawnych i bieżących badań i analiz prowadzonych u klientów. Ta część materiałów i plików odsłania istotne szczegóły działalności firm, którym złożył oferty. Była niezbędna dla opracowania indywidualnych programów finansowo-księgowych, dostosowanych do specyfiki działalności gospodarczej każdego klienta.

Jedna z hipotez dotyczy porwania z powodu odkrycia przez zaginionego poważnych nieprawidłowości finansowych. W celu rozpoznania słuszności tej wersji sekcja przestępstw gospodarczych, która wspomaga nasz wydział kryminalny, zaangażowała kilku ekspertów. Od dwóch miesięcy prowadzą analizy zebranych danych – jak dotąd bez rezultatu. Jest prawdo-

podobne, że część materiałów została usunięta bądź bezpowrotnie skasowana.

Wizja lokalna w domu Macieja F. niczego nie wniosła do sprawy. W komputerze stacjonarnym w prywatnej poczcie nie było żadnej służbowej korespondencji, w plikach dokumentów również. W jego biurku znaleziono wyłącznie osobiste papiery, rachunki, umowy związane z domem, ubezpieczenia, listy, książki, kalendarze z ubiegłych lat. Nie znaleziono służbowego laptopa – feralnego dnia zabrał go, jadąc do pracy. Po raz ostatni widziano go, gdy wyszedł z teczką na lunch, o godzinie pierwszej. Zabrał go ze sobą, bo w pokoju, który zamknął własną kartą, laptopa nie znaleziono.

– Damian, zamknięcie śledztwa z powodu braku motywu i sprawców nie wchodzi w grę. Zniknął pracownik znanej firmy z kapitałem polsko-amerykańskim. Istnieje więc podejrzenie przestępstwa na dużą skalę i to o charakterze międzynarodowym. Maciej F. pracował na rzecz korporacji o kapitale zagranicznym. Może chodzić o kolosalne przestępstwa podatkowe. Liczę, że dostrzeżesz coś, co nam umknęło, jakiś ślad, powiązania, zdarzenia, które wskażą nam właściwą drogę.

Część trzecia

W nocy, w przeddzień Wigilii, Matylda niemal nie zmrużyła oka. Wstała o szóstej, gdy jeszcze się nie rozwidniło. Padający gęsty śnieg, niesiony wiatrem, wyeksponowany w świetle ulicznych latarni, oznaczał wytęsknione przyjście zimy. Przyroda zamalowywała na biało wszechobecne dotąd kałuże i błoto. Mróz narastał. Będą prawdziwe Święta – pomyślała. Marcysia się ucieszy, martwiła się czy Mikołaj będzie mógł sania-

mi dowieźć prezenty. Fakt braku ojca położy się cieniem na uroczystym nastroju. Na to nic nie mogła poradzić. Przyszło jej na myśl, że w taki dzień jak Wigilia mógłby zdarzyć się cud.

Postawa matki Matyldy była dla niej zbawieniem. Tylko ona zachowała spokój. Okazywała jej teraz realne wsparcie, bez jej pomocy załamałaby się. Mogła do niej dzwonić o każdej porze i ze wszystkim. Po śmierci męża matka prowadziła normalne, zorganizowane życie. Marcysia i ona były teraz dla niej na pierwszym miejscu. Zadzwoniła.

– Halo – usłyszała w słuchawce.

– Mamo, to ja, o której mogę się ciebie spodziewać?

– Już zjadłam śniadanie, zaraz wychodzę. Widzę, że wciąż pada, więc dojadę najwcześniej za pół godziny. Jak Marcysia?

– Śpi, a ja powoli zbieram się do pracy. Niczego nie przywoź, w domu jest wszystko.

Pewnie dojedzie za godzinę, zdążę oczyścić ganek ze śniegu i lodu – pomyślała. Nie widać pługów i piaskarek. Jak zwykle na dalekim przedmieściu stolicy. Matylda wyszła na zewnątrz w czapce i ciepłej kurtce, a mimo to odczuła przejmujący chłód. Uznała, że to sprawka wiatru. Kilkanaście minut wystarczyło na oczyszczenie chodnika do samej furtki, wykonanej z kutego żelaza, osadzonej między betonowymi słupami obłożonymi klinkierową cegłą.

Każdego ranka sprawdzała zawartość skrzynki pocztowej. Od ulicy miała wąski wlot z klapką, zaś od strony domu drzwiczki zlicowane z betonowym słupem, częściowo wykonane z perforowanej stali nierdzewnej. Przez dolne otwory prześwitywały kolorowe kartki.

– Nawet w taką zawieruchę wciskają ulotki – powiedziała sama do siebie, po czym otworzyła skrzynkę. Rzeczywiście, dostrzegła kilka reklam pizzy i sushi, fitness, ale głębiej… serce zadrżało jej z niepokoju. Za ulotkami leżała brązowa koperta, wykonana z twardego papieru, bez adresata i nadawcy. Odruchowo wyjrzała na ulicę i rozejrzała się dookoła. Nie zobaczyła nikogo. Na ulicy koła samochodu odcisnęły w śniegu wąskie koleiny. Zamknęła furtkę i przyspieszonym krokiem wróciła do domu.

Po rozcięciu grubej koperty zobaczyła kartkę, na której wydrukowano kilka zdań i zawinięte w nią banknoty. Postanowiła, że list i pieniądze zabierze do biura i przechowa w swoim sejfie.

Część czwarta

– Szefie, mam plan – odezwał się Damian do Zielskiego. – Przejrzałem większość materiałów i proponuję powtórzyć przeszukanie domu Macieja F. Sądzę, że tam trzeba szukać jakiejś wskazówki, bo poprzednie czynności dokonane zaraz po zaginięciu były zbyt pobieżne. Mam przekonanie, że w domu zaginionego znajdziemy jakiś ślad, choćby poszlakę.

– Damian, chcesz po trzech miesiącach, niemal w Święta Bożego Narodzenia, niepokoić zgnębionych i strwożonych ludzi? Są zrozpaczeni, to niefortunny moment.

– Jestem innego zdania, szefie – odparł Damian. – Uważam, że wcale ich nie dręczyliśmy ani nie nękaliśmy. Wręcz przeciwnie, przez ostatnie dwa miesiące daliśmy im spokój, telefonując zaledwie raz na tydzień. Rodzina mogła nawet odnieść wrażenie, że policja zignorowała zgłoszenie o zaginięciu i ograniczyła się do wysłania jego fotografii do wszystkich ko-

misariatów. Dziś mamy ten sam skład ekipy, z pewnością pamiętają, gdzie nie zajrzeli podczas pierwszej wizyty. Dajmy im szansę na poprawę. Sam wyznaczyłem kilka czynności, o których poprzednio zapomniano.

– A prokurator? Sądzisz, że da pozwolenie, tak od ręki?

– Już rozmawiałem, potwierdził, są naciski z centrali. Ta sprawa może mieć zagraniczne wątki.

W godzinach południowych Matylda odebrała telefon z policji. Decyzją prokuratora wyznaczono pilne przeszukanie w jej domu. Inspektor policji ustalił z nią, że spotkają się za trzy godziny, o trzeciej po południu. Szef Matyldy nie oponował, wszyscy w pracy współczuli jej. Była w dramatycznej sytuacji.

Ekipa dochodzeniowa, kierowana przez Krystiana Zielskiego, ponownie przeszukała cały dom. Tym razem sprawdzono pokój Marceliny, garaż, a także poddasze, z którego zabrano niewielki karton zawierający ubiegłoroczny kalendarz Macieja F. oraz plik papierów. Po powrocie do siedziby śledczy szybko dokonali wstępnej oceny nowych materiałów. Blisko połowa papierów dotyczyła koncernu Pol-Gas Trust & Oil. Na marginesach dokumentów znaleźli adnotacje Macieja F., które mogły wskazać jakiś ślad. Fragmenty tekstu były podkreślone, zawierały wykrzykniki i liczne znaki zapytania. Po sprawdzeniu połączeń telefonicznych przychodzących z okresu poprzedzającego porwanie odkryto, że niemal połowę wykonano do zaginionego z korporacji Pol-Gas Trust & Oil. A i Maciej F. z tą firmą łączył się wtedy najczęściej. Niezwłocznie rozpoczęto drobiazgową analizę dokumentacji – między innymi umów, zleceń i czynności programistycznych w relacjach Nowy Deal – Oprogramowanie i Aplikacje a Pol-Gas

Trust & Oil. Jednocześnie analiza bieżących materiałów prasowych wskazywała, że liczba artykułów dotyczących tej korporacji paliwowej ostatnio wzrosła. Pisano o niej bardzo pozytywnie, co pozostawało w sprzeczności ze spadkiem akcji tej firmy, datowanym od połowy roku. Można było odnieść wrażenie, że na rzecz firmy działało lobby wspomagające swoje działania marketingiem prasowym. Odnotowano nazwiska kilku posłów szczególnie aktywnie wspierających jej projekty. Szybko ustalono, że z Maciejem F. najczęściej kontaktował się dyrektor sprzedaży korporacji – Stefan Maurer. Personalia miał zawiłe, ponieważ legitymował się paszportem amerykańskim i austriackim, natomiast jego rodzina pochodziła z Węgier. Damian Sikorski przystąpił do kompletowania jego dossier, co wcale nie było proste z uwagi na ogrom informacji. Od dziesięciu lat Stefan Maurer był wiodącym przedstawicielem managementu firmy i uczestniczył w niemal wszystkich ważniejszych jej przedsięwzięciach.

Część piąta

Zrobiło się późno, Matylda z mamą po wizycie policji były zdenerwowane. Mama miała łzy w oczach. Uznały, iż będzie lepiej, gdy przenocuje. Marcysia wciąż nie mogła się doczekać ubierania choinki, więc nie mogły jej zawieść. Cała akcja z ozdabianiem drzewka zajęła niespełna dwie godziny. Gdy na gałązkach rozbłysły białe i niebieskie lampki, migocące niczym gwiazdy na granatowym niebie, wszystkie były dumne ze wspólnego dzieła. Ledwo udało się odprawić rozemocjonowaną Marcysię do jej pokoju i raczej trudno było liczyć, że zaraz zaśnie. Zmęczone usiadły w kuchni, pijąc zieloną herbatę. Ma-

tylda wahała się, czy wrażenia tego horrendalnego dnia potęgować, relacjonując mamie zaskakujące wydarzenie z poranka. Rodzicom Macieja, którzy zadzwonili, gdy Marcelina już spała, przekazała informację o przeszukaniu domu przez policję.

– Nie mam żadnych nowych wieści o Macieju, jak czegoś się dowiem, dam wam znać – dodała na koniec, uprzedzając ich szablonowe pytanie.

Nigdy mnie nie zawiodła i potrafi być dyskretna – pomyślała Matylda o mamie, w kontekście przekazania jej informacji o anonimowej korespondencji.

– Mamo, powiem ci o czymś pod warunkiem, że wszystko zachowasz dla siebie i nie piśniesz nikomu ani słowa.

Mama przytaknęła, więc kontynuowała:

– Będę mówić bardzo cicho, bo może policjanci zostawili jakiś podsłuch, było ich kilku. Dzisiaj przed siódmą, gdy przed domem uprzątałam śnieg, zajrzałam do skrzynki. Pod warstwą ulotek znalazłam sztywną nieopisaną kopertę. W środku były pieniądze, zawinięte w krótki list wydrukowany z komputera. Pięćdziesiąt dwustuzłotowych banknotów. List był podpisany: Twój Maciek. Nie wiem, co o tym sądzić. Mógł go napisać każdy, ale… ten tekst pasuje mi do niego. Napisał, żeby się nie martwić, że wkrótce się zobaczymy, że inaczej nie mógł postąpić. Wspomniał, aby obserwować dzienniki podające informacje na żywo. Kazał spalić list, ale ponieważ nie byłam pewna czy był od niego, ukryłam go wraz z pieniędzmi poza domem.

Mama patrzyła na nią, zaskoczona tą wiadomością. Po zastanowieniu powiedziała z przekonaniem:

– To musiał napisać Maciek, kto inny przekazałby Ci pieniądze. Znał terminy bieżących spłat kredytu i domyślił się, że masz z tym kłopot. Jest nadzieja, że go odzyskasz, idźmy spać. Jutro Wigilia, Marcysia to ranny ptaszek. Pan Bóg zesłał nam nadzieję na same Święta.

Część szósta

Śledczy zwrócili uwagę, że od dwóch dni w informacjach biznesowych redakcje wspominają o możliwej fuzji dwóch gigantów paliwowych. Jednym z nich była firma Pol-Gas Trust & Oil. Uznali, że to dziwne, w kontekście intensywnie upublicznianych doskonałych wyników koncernu i – jak przekonywano – nienagannej kondycji finansowej. Zwykle fuzja ma na celu poprawę pozycji, a Pol-Gas Trust & Oil ma opanowany rynek – pomyślał Damian i podzielił się swoim spostrzeżeniem z inspektorem. Zielski przyznał mu rację. Po krótkiej dyskusji obaj doszli do wniosku, że mimo Wigilii trzeba spróbować przesłuchać Stefana Maurera. Po godzinie uzyskali zgodę przełożonych. Próby nawiązania z nim kontaktu i zlokalizowania miejsca pobytu były nieudane. Cały czas w telewizorze włączony był biznesowy program TVN, więc nie przegapili newsa dnia. Było pół do drugiej, gdy na ruchomym pasku pojawiła się informacja o wyznaczonym na godzinę szesnastą podpisaniu fuzji firm paliwowych z udziałem Pol-Gas Trust & Oil.

Na biurku Zielskiego zadzwonił telefon. Jego bezpośredni przełożony przekazał mu poufną informację. Przed chwilą otrzymał wiadomość z głównej siedziby TVN na Wiertniczej 166 o przewidzianym o pół do trzeciej ważnym wywiadzie, którego wcześniej na antenie nie planowali. Zwrócono

się o zapewnienie bezpieczeństwa w trakcie idącego na żywo programu i po nim.

– Sprawa może mieć jakiś związek ze śledztwem, które prowadzisz, dlatego masz polecenie zabrania brygady antyterrorystycznej. Na miejscu czeka administrator budynku, który udostępni ci plan obiektu oraz lokalizację studia, z którego pójdzie transmisja. Wraz z całą komunikacją i przejściami do studia. Wykonać!

Zielski potwierdził przyjęcie zadania. Nie miał wiele czasu, ocenił, że przygotowanie i dojazd zabierze jemu i grupie antyterrorystycznej ze czterdzieści minut. Niewiele będzie czasu, by profesjonalnie zabezpieczyć miejsce transmisji – nie więcej niż piętnaście minut – pomyślał Zielski i natychmiast rozpoczął procedurę akcji nadzwyczajnej.

Część siódma

Matylda włączyła mikser, by przygotować owocowy sok ze śliwek i moreli. Jednocześnie piekła gęś i przygotowywała pierogi, podczas gdy jej mama układała ryby na półmisku, a talerze ozdabiała koperkiem i innymi warzywami. Nie zauważyły, gdy Marcysia wyszła ze swojego pokoju. Nagle usłyszały krzyk Marcysi, dobiegający z salonu.

– Mamusiu, tatuś, tatuś jest w telewizji! Chodź prędko! Babciu!

Matylda z matką pobiegły do salonu. W studiu TVN, naprzeciwko redaktora prowadzącego, siedział Maciek w swoim czarnym swetrze. Był nieco wymizerowany, ale wyglądał na zdrowego. Rozmowa trwała już jakiś czas, wsłuchiwały się w nią, śledząc tekst na biegnącym pasku i wcześniejsze wypo-

wiedzi Maćka podawane w postaci informacji na tle niebieskich prostokątów.

Na ruchomym pasku pojawiały się sensacyjne wiadomości: „Wielka afera w państwie" „Wysoko postawieni lobbyści podejrzani o przestępstwo na wielką skalę – czy ułatwiali za horrendalne łapówki wprowadzanie na rynek setek tysięcy ton nielegalnego paliwa przez Pol-Gas Trust & Oil?" „Maciej F. ukrywający się od trzech miesięcy w obawie o własne życie będzie dziś składać zeznania" „Trwa ekskluzywny wywiad w TVN".

Na pytanie o źródła jego informacji Maciek wyjaśnił, że podczas prowadzonych przez jego firmę analiz niezbędnych do opracowania nowego oprogramowania finansowo-księgowego wyszły na jaw pewne niezgodności. Zgłosił je bezpośrednio dyrektorowi, Stefanowi Maurerowi. Następnego dnia poproszono go o natychmiastowy zwrot dokumentacji, uzasadniając, że przekazane mu dane zawierają błędy. Już wtedy orientował się, że dane wyjściowe były prawdziwe, a dokonana przez niego syntetyczna analiza wskazała na ogromną skalę nieprawidłowości. Odmówił zwrotu częściowo gotowych opracowań, gdyż realizował ważną umowę zawartą przez swoją firmę. Kamery pokazały, jak Maciek wyjmuje z teczki laptopa, informując, że zgromadził w nim obszerny materiał dowodowy. Gdy przed trzema miesiącami grożono mu przez telefon śmiercią, postanowił, nie informując swojej firmy, ukryć się przed prześladowcami, zyskując czas na rozpoznanie szczegółów wieloletnich machinacji. Gdy przebywał w ukryciu, dowiedział się o jednostronnym zerwaniu przez Pol-Gas Trust & Oil umowy z jego firmą. Dzisiaj, przed wywiadem, wysłał najważniej-

sze dane obciążające Pol-Gas Trust & Oil do Komendy Głównej Policji. Jest gotów jeszcze dziś złożyć zeznania w tej sprawie. Wywiad skończył się, ale kamery zdążyły przekazać obraz Maćka opuszczającego studio w asyście policji.

– Mamusiu – zapytała Marcysia – tatuś będzie z nami dzisiaj na Wigilii?

– Marcysiu, tatuś właśnie był z nami, może jutro w Boże Narodzenie będzie już w domu. Dziękujmy Bogu, że nic złego mu się nie stało. Niedługo usiądziemy z babcią do Wigilii i zobaczysz, czy Mikołaj pamiętał o wszystkich twoich prośbach.

Nieco później na ekranie telewizora pojawiła się czołówka najnowszych Wiadomości. Informacją dnia okazało się odwołanie fuzji gigantów paliwowych. Prowadzący dziennik jako jedną z możliwych przyczyn tej nagłej decyzji wskazał konsekwencje wywiadu udzielonego przed godziną przez Macieja F. na antenie ich stacji.

Matylda chwyciła za słuchawkę, by zadzwonić do rodziców Maćka. Usłyszała zapłakany głos teściowej. Już wiedzieli – nie mieli wprawdzie włączonego telewizora, ale z radosną wiadomością przybiegli ich sąsiedzi, jeszcze w trakcie udzielania wywiadu przez syna.

– Ty Matyldo i Marcysia jesteście Maćka i naszym największym szczęściem! – powiedziała matka Macieja. – Przyjmijcie od taty i ode mnie życzenia Wesołych i Zdrowych Świąt, także dla twojej mamy!

Tym razem Matylda nie miała wątpliwości, że teściowa mówi szczerze.

Ktoś zadzwonił przez domofon. Na ekraniku Matylda zobaczyła policjanta.

– Dzień dobry – usłyszała. – Proszę pozwolić nam się wylegitymować. Mamy zadanie ochraniać Panią i wszystkich domowników.

Matylda wyjrzała przez okno. Przed bramą stał policyjny radiowóz. Nacisnęła przycisk otwierający furtkę. Idąc do drzwi, zawołała:

– Mamo, zostajesz na noc, jesteśmy pod ochroną policji.

Brylant

Część pierwsza

Już było po wszystkim. Ustał stukot kół powozów na wybrukowanym podjeździe pałacu. Przed jego frontem ucichło rżenie koni i gwar rozmów. Zamknięto potężną bramę wjazdową, a zgrzyt zatrzaskiwanych zamków był ostatnim donośnym dźwiękiem, który rozległ się wśród zapadających ciemności. Gaszono po kolei światła, najpierw w alejach parku, następnie te bliżej pałacu, na wjeździe i przy wejściu. W końcu nastała zupełna cisza. Kilkanaście breków i coupe stało w powozowni, albowiem część uczestników ceremonii i stypy udała się na nocleg do zawczasu przygotowanych sypialni.

Hol i schody wiodące do pokojów na piętrze oświetlało chybocące światło niewielu świec, które pozostawiono na czas wietrzenia. Przez uchylone okna wydostawało się przegrzane powietrze, pomieszane z dymem cygar, świec, ciężkim aromatem kwiatów, perfum i zapachem naftaliny, który jeszcze przed chwilą rozsiewały futrzane płaszcze gości opuszczających westybul.

Siedział przy biurku w gabinecie. Nadszedł wreszcie ten dawno planowany moment, gdy mógł, przez nikogo nie niepokojony, zgodnie z ostatnią wolą ojca, wysunąć tajną szufladkę sekretarzyka i otworzyć ukrytą w nim skrytkę. Dowiedział się o niej podczas ostatniej rozmowy z nim, gdy wszystkim nakazał wyjść

z sypialni i pozostali bez świadków. Wkrótce potem utracił z ojcem kontakt. Senior rodu leżał bez świadomości przez wiele dni.

Po podniesieniu ozdobnego okucia znajdującego się na froncie, jedynego, które nieoczekiwanie nie było przytwierdzone na stałe, mechanizm blokujący niewielką sekretną szufladkę został zwolniony. Jego oczom ukazała się zalakowana koperta z odciśniętą pieczęcią ojca. Widniał na niej wykaligrafowany jego ręką tekst: *Sir Edward Cunningham, mój syn, do rąk własnych* i na odwrocie podpis – *Philip Cunningham*.

Edward wyjął kopertę. Zobaczył pod nią czerwone sukno przysłaniające cztery przegródki. W trzech leżały rodzinne pierścienie. Rubiny i szmaragdy otaczały arystokratyczny rodzinny herb. Słyszał o ich istnieniu, ale wiedza o miejscu ich ukrycia otoczona była tajemnicą. To, co zobaczył w czwartej przegródce, wprawiło go w zdumienie. Brylant ogromnej wielkości błysnął pięknymi szlifami w migoczącym świetle świec. Takich rozmiarów brylantu jeszcze nie widział, ani w bogatych kolekcjach, ani w najznamienitszych firmach jubilerskich. Usiadł w krześle z wysokim oparciem, stojącym obok sekretarzyka. Złamał pieczęć i otworzył kopertę. W środku był list napisany na jednej kartce. Edward rozprostował dwa zagięcia listu i położył go przed sobą.

Drogi Synu Edwardzie!

Gdy czytasz ten list, nie ma mnie w świecie żyjących. Mam cichą nadzieję, że będzie mi dane, choćby z daleka, móc przyglądać się Wam wszystkim i cieszyć się Waszymi radościami. I wspierać Was, gdy zajdzie taka potrzeba.

Pragnę Ci podziękować za miłość i troskę, jakie mi okazałeś w ostatnich miesiącach. Kolejny raz przekonałem się,

że jesteś moim godnym następcą i cenimy sobie te same nadrzędne wartości: Boga, honor i ojczyznę. Wierzę, że pozostaniesz im wierny. Teraz przed Tobą zaszczytne zadanie kontynuowania naszych tradycji. Dbaj, proszę, o wszystkich bliskich i zarządzaj naszym majątkiem tak, by nikt nie cierpiał, nie czuł się pokrzywdzony. Mam tu na myśli nie tylko naszą rodzinę. Także oddaną nam służbę. Poświęcają nam swoje życie, są wierni i pracowici. Bądź tym samym dobrym chłopcem, z którym spędzałem chwile na zabawie i tym samym mężczyzną, którego zalety poznałem nie tylko podczas polowania, ale i w życiu codziennym. Życzę Ci, byś znalazł siły, które nie tylko pozwolą na utrzymanie obecnego status quo, ale dadzą naszemu wspaniałemu rodowi impuls do rozwoju. Wiem, że założysz szczęśliwą rodzinę.

W szufladce, którą znalazłeś, są herbowe pierścienie mające blisko trzysta lat. Chroń je jak źrenicy oka. Są symbolem niezłomności naszego rodu i powinny być wsparciem duchowym dla jego następnych pokoleń.

W jednej z przegródek jest brylant. Nie należy do naszej rodziny. Historia jego w naszym domu nie jest długa. Sięga początku wieku, gdy toczyliśmy wojnę z Napoleonem. W 1804 roku mój serdeczny Przyjaciel, wysoki rangą oficer królewskiej marynarki, przekazał mi go z prośbą o przechowanie. Okręt, na którym służył, wypłynął wraz z admirałem Horatio Nelsonem, by w bitwie morskiej przechylić ostatecznie szalę wojny na naszą korzyść. Wielkie zwycięstwo w 1805 roku uradowało króla Jerzego III i cały naród.

Mój Przyjaciel nie zaznał tej radości. Zginął od strzału francuskiego marynarza pod Trafalgarem. Prosił, by na wypadek śmierci przekazać brylant jego potomkom. I ja złożyłem Mu przyrzeczenie. Mamy już 1820 rok, a ja, niestety,

przez piętnaście lat nie spełniłem Jego prośby. Byłem zbyt zaabsorbowany naszymi sprawami, a ostatnio brakowało mi już sił. Na Ciebie ceduję ten obowiązek i wiem, że w moim imieniu spełnisz obietnicę, którą złożyłem Przyjacielowi. Jego imię brzmi : Thomas Cambridge z Londynu, oficer marynarki w stopniu kapitana. Zginął pod Trafalgarem 21 października 1805 roku. Dane znajdziesz w aktach Royal Navy.

Zostańcie wszyscy z Bogiem.
Twój zawsze kochający ojciec
Philip Cunningham
Ashbourne, 11 marca 1820 roku.

Po dłuższej chwili Edward ostrożnie zamknął szufladkę, a list ojca umieścił w biurku. Poczuł się zmęczony. Uroczystość i mowy pożegnalne trwały długo. Część rodziny i przyjaciół pozostała na nocleg. Musiał wydać dyspozycje na jutro.

Część druga

Minęło kilka dni, podczas których wszystko powoli wracało do normy. Edward kontynuował zapisy w księgach finansowych, ordynował wykonanie prac. Poczuł się bardzo samotny. Uświadomił sobie, że choć przez ostatnie miesiące sam załatwiał większość spraw, fakt obecności ojca działał pozytywnie na jego psychikę. Matka odeszła przed trzema laty i teraz on – jedyny syn i spadkobierca całego majątku – został zupełnie sam.

Po tygodniu postanowił zająć się sprawą brylantu, by spełnić wolę ojca. Napisał list do Londynu, w którym przedstawił swój problem zaufanemu Przyjacielowi Jeremy'emu Scottowi. Pominął jednak informację o tym, co było przedmiotem, który ma do przekazania rodzinie Thomasa Cambridge'a.

Jeremy nie zbagatelizował prośby Edwarda. Długo nie czekał na jego odpowiedź. Jeremy odpisał, że odwiedził siedzibę Royal Navy i posiada wydane przez archiwum dane adresowe rodziny Thomasa Cambridge'a. Nie był pewien, czy ma sam dalej zajmować się sprawą, czy też lepiej byłoby, co zresztą sugerował, żeby Edward przyjechał do Londynu. „Sam zdecydujesz jak postąpić" – pisał – „w zależności od sytuacji, bo jest to delikatna sprawa".

Tak dawno nie był w Londynie. Perspektywa spotkania z Jeremym i kilkoma innymi bliskimi znajomymi, nie wyłączając dalszej rodziny, u której z pewnością znalazłby gościnę, wydała mu się kusząca. Doszedł do wniosku, że oderwanie się na jakiś czas od domu wyjdzie mu na dobre. Żyje samotnie i nie bywa w towarzystwie. Nie chciałby zostać starym kawalerem. A w bliskiej i dalszej okolicy, wśród ludzi jego stanu, nie widział żadnej młodej kobiety, która podobałaby mu się do tego stopnia, by chciał poświęcać jej swój czas. A co dopiero związać się na stałe. Następnego dnia odpisał więc, że przybędzie do Londynu piątego maja, za trzy tygodnie. Nocować będzie u wuja, a u Jeremy'ego zjawi się następnego dnia około dziesiątej. Dodał, że chciałby spotkać wspólnych przyjaciół, pytając Jeremy'ego, czy może mu pomóc w tej kwestii.

Edward cieszył się na ten wyjazd. Nawet ojciec bywał w Londynie częściej, ostatni raz przed trzema laty, tuż przed nagłą śmiercią matki. Do diaska, mam już trzydzieści siedem lat, pomyślał, coś mi się od życia należy. Rodzice wciąż nalegali, by bywał wśród ludzi, a on zaszył się w lasach Ashbourne jak lis w norze.

Bieżące sprawy przekazał ekonomowi. Wziął dwie walizki, pieniądze na pobyt i podróż, parasol, kilka drobiazgów, portrecik rodziców i notes, w którym były imiona, nazwiska i adresy znajomych oraz list – główny motyw wyjazdu. Jazda zajmie mi z tydzień, pomyślał i niewiele się pomylił.

Część trzecia

W Londynie Edward zatrzymał się u wuja, który przyjął go bardzo serdecznie. Na czas pobytu zamieszkał w dwóch salonach i sypialni z łazienką. Wuj nie pytał go, na jak długi czas zamierza pozostać w Londynie. Cieszył się, bo nareszcie miał okazję posłuchać opowieści o rodzinie i zmianach w majątku Ashbourne. I to z najlepszego źródła.

Nazajutrz około dziewiątej Edward ruszył pieszo na spotkanie z Jeremym. Jadąc dorożką, nie mógłby przyjrzeć się uważnie zmianom, które dokonały się w stolicy. Zadziwiły go liczne nowe domy z witrynami sklepów, porządek na ulicach i przede wszystkim ogromny ruch. Szedł z Paddington przez Edgeware Rd i dalej Oxford Street, która zmieniała się w prawdziwą arterię. Do Greys Inn Lane nie miał daleko i przed dziesiątą był na miejscu. Jeremy czekał na niego z herbatą, ale na przywitanie podał mu szklankę szkockiej. Przy herbacie zrelacjonował mu własne dokonania, zaskakując Edwarda swoją dociekliwością. Okazało się, że rodzina Thomasa Cambridge'a przeniosła się do Dorking w hrabstwie Surrey.

– To wieś właściwie – powiedział Jeremy – z początkami zabudowy miejskiej. Znajduje się niedaleko, zaledwie dwadzieścia kilka mil na południe od Londynu. Moja służąca Elisabeth pochodzi stamtąd. Edward, nie masz wyjścia, musisz tam je-

chać. Zresztą to piękne miejsce. Jak mi powiedziała Elisabeth, Dorking jest usytuowane między dwoma wzgórzami Box Hill i Leith Hill. A posiadłość, którą dość dawno temu kupiła rodzina Cambridge, jest położona w pobliżu miasteczka. Służąca przepytała swoje przyjaciółki, które lepiej znają tę okolicę i powiedziały, że to wielka winnica z niezbyt dużym domem. Nosi nazwę Crystal House.

Edward słuchał jego słów, nie mogąc się nadziwić, w jaki sposób Jeremy zdołał zgromadzić tyle cennych informacji. A to wcale nie był koniec jego monologu, bo uzupełnił swoje wieści o istotne szczegóły.

– W posiadłości mieszka żona Thomasa, Emma Cambridge, z córką Karoliną. Mają nieliczną służbę.

Edward spojrzał przez okno na rosnące w sadzie jabłonie, obsypane białymi kwiatami. Wiosna wkroczyła tu na całego, nie to co u nas, na północy – pomyślał, a w Surrey, choć to niedaleko, jest z pewnością jeszcze piękniej.

Jeremy z Edwardem spożyli wczesny lunch, podczas którego omówili londyńskie plany – z kim i gdzie mogliby się spotkać. Edward zaskoczył Jeremy'ego nagle podjętą decyzją, gdy oznajmił:

– Czekaj na mnie mój drogi, jutro wyjeżdżam do Dorking. Najpierw załatwię sprawę, a potem będę się udzielać towarzysko, tak będzie lepiej.

Jeremy chciał oponować, bo na jutro mieli umówione spotkanie, ale widząc jego determinację, ustąpił i zaproponował:

– W takim razie mój stangret jutro rano zabierze cię powozem z Paddington. Dojedziecie na miejsce pod wieczór albo późnym popołudniem, jeśli nic się nie przydarzy. Nie mogę ci

towarzyszyć, mam pilne sprawy. Myślę, że dwa dni na miejscu, w Dorking, okażą się wystarczające. Dzisiaj mamy wtorek, więc kolację przygotuję na sobotę wieczór. Zrobię wszystko, by zjawili się: Eleonora, Sheridan i jeszcze ktoś, kto bardzo pragnie cię zobaczyć, ale cicho sza. To ma być niespodzianka.

Część czwarta

Przed ósmą czterokołowy lekki faeton zajechał pod dom wuja. Edward pierwszy raz widział dwuosobowe, resorowane i zadaszone buggy. Zabrał tym razem niewielką walizeczkę i przede wszystkim list ojca. Przez całą drogę obmyślał, co powie na powitanie i jak usprawiedliwi swoje najście, wszak była to niezapowiedziana wizyta. Nie żałował swojej decyzji, lepiej mieć tę sprawę za sobą – pomyślał – załatwię w tydzień coś, czego ojciec nie zdołał uregulować przez piętnaście lat.

Pogoda im sprzyjała, słońce świeciło z lewej strony nie oślepiając stangreta, który powoził wyjątkowo sprawnie. Po drodze zaledwie cztery razy stanęli na krótkie postoje, by nakarmić i napoić konie. Posiłek zjedli w przydrożnej gospodzie. Edward odniósł wrażenie, że z każdą milą świat pięknieje, bo w Surrey zieleń i kwiaty przysłoniły niemal wszystko. Wielobarwne prostokąty rozpościerały się na łagodnych wzgórzach niczym czarodziejskie dywany. Lekkie buggy miękko płynęło po drogach spowitych intensywnymi zapachami kwiatów i łąk. Niechybnie by zasnął, gdyby nie wspaniałe, zmieniające się co chwila panoramy Surrey i widoki zapierające dech w piersiach.

W Dorking wskazano Edwardowi drogę do Crystal House. Do majątku rodziny Cambidge dotarli pół do czwartej. Posiadłość nie był ogrodzona. Aleja dojazdowa wyłożona drobnym

brukiem prowadziła na podjazd przed niezbyt okazałe wejście do domu, wsparte na dwóch kolumnach. Powitała ich korpulentna niewiasta w fartuszku i białym czepku na głowie.

– Panowie do kogo? – usłyszeli na powitanie.

– Do pani Emmy Cambridge. Nazywam się Edward Cunningham, jestem z Ashbourne. Jadę z Londynu, w pilnej sprawie. Nie zdążyłem uprzedzić pani Cambridge o moim przyjeździe.

– Pani nie ma. Pojechała z córką doglądać winnice, powinny wrócić na podwieczorek, o piątej. Pan pewnie zmęczony drogą, proszę do salonu. Zechce pan wejść. Proszę spocząć na kanapie, zaraz podam herbatę.

Mężczyzna w zielonym fartuchu, prawdopodobnie ogrodnik, skierował faeton do stajni znajdującej się poniżej domu. – Żona przygotuje panu herbatę, proszę za mną – powiedział do stangreta.

Edward wszedł do domu i od razu zobaczył portret przystojnego młodego mężczyzny w mundurze kapitana marynarki, wiszący na ścianie w obszernym holu, naprzeciwko wejścia. Któż inny miałby to być, jak nie szlachetny Thomas Cambridge – pomyślał, siadając z ulgą na kanapie. Miał za sobą wiele dni podróży i zmęczenie dawało o sobie znać.

Część piąta

Po herbacie z biskwitami Edward nie oparł się drzemce, którą przerwały odgłosy kroków dobiegające z holu. Szybko wstał i ujrzał dwie kobiety zmierzające w jego kierunku. Lekko zaspany odchrząknął i przedstawił się:

– Nazywam się Edward Cunningham, jestem synem sir Philipa Cunninghama z Ashbourne.

– Miło mi – odpowiedziała starsza z kobiet – jestem Emma Cambridge – i podała mu rękę, dodając: – to moja córka, Karolina. – Wzrokiem i ruchem głowy wskazała młodą osobę stojącą obok. Edward jej również podał rękę.

– Pragnę panią gorąco przeprosić za niezapowiedzianą wizytę. Byłem w Londynie i postanowiłem nie zwlekać z odwiedzinami w Dorking. Spełniam życzenie mojego zmarłego niedawno ojca.

– Nic nie szkodzi, że zjawił się pan bez uprzedzenia. Poznałam kiedyś pana ojca, był przyjacielem mojego męża Thomasa. Proszę przyjąć gorące wyrazy współczucia.

Po przywitaniu zrobiono przerwę, podczas której wskazano Edwardowi jego pokój. Zanim usiedli do podwieczorku, zdążył się umyć i założyć wyjściowe ubranie. Panie przebrały się i niezapowiedziany przybysz mógł teraz podziwiać je w całej okazałości. Tocząc rozmowę z Emmą, patrzył jak urzeczony na Karolinę. Nigdy nie widział tak pięknego dziewczęcia, a właściwie kobiety. Kręcące się mocno włosy częściowo przysłaniały jej delikatną buzię. Mogła mieć nie więcej niż osiemnaście lat. Emanowała świeżością i wdziękiem, a uroku dodawały jej naturalne ruchy i gesty, świadczące o wrażliwości oraz umiejętności przekonywania. Edward zauroczony Karoliną niemal zapomniał o celu swojej wizyty.

– Otóż – zaczął, gdy pili drugą filiżankę herbaty – mój ojciec uważał pani męża, kapitana Thomasa Cambridge'a, za swojego najlepszego przyjaciela. Pół roku przed bitwą pod Trafalgarem spotkali się i pani mąż wręczył mu na przechowanie pewien przedmiot, który ojciec zobowiązał się przekazać potomkom kapitana w przypadku, gdyby ten poległ.

Niestety, mąż pani poniósł honorową śmierć w walce z Francuzami. Ich zginęło tysiące, a naszych marynarzy zaledwie kilkuset w wygranej przecież bitwie. Przeznaczenie sprawiło, że po tylu latach to mnie przypadło w udziale poinformować panie o zobowiązaniu ojca i liście.

– Co to za tajemniczy przedmiot, szanowny panie, proszę nam powiedzieć.

– To wspaniały brylant, o którym dowiedziałem się z listu mojego ojca, proszę, oto ten list. Jest wprawdzie skierowany do mnie, ale nie ma w nim niczego, co powinno pozostać dla pań tajemnicą.

Matka i córka z wielkim przejęciem czytały treść listu. Nie mogły opanować zdziwienia.

– Co za niesamowita historia! – powiedziała Emma.

Mina Karoliny świadczyła, że silnie przeżywa tę wiadomość. Gdy ojciec udał się na wojnę, miała zaledwie dwa lata i niczego z tego okresu nie pamiętała. Znała go jedynie z opowiadań, ze szkiców i portretów. A tu zjawia się przystojny pan Edward z Ashbourne i po tylu latach przywozi wieści od ojca – pomyślała. Od ludzi, którzy go szanowali. Patrzyła z podziwem na Edwarda. Skoro jej ojciec i jego ojciec byli przyjaciółmi, to i on jest moim i mamy przyjacielem – pomyślała.

Podwieczorek przemienił się w kolację. Resztę wieczoru spędzili przy winie, wspominając ojców i opowiadając ciekawe historie obu rodzin. Emma wspomniała, że przed pięcioma laty, na początku czerwca, rodzice Edwarda, będąc w drodze do Brighton, spędzili jedną noc w Crystal House. Była to niespodziewana wizyta. Pamięta uroczy, wzruszający wieczór

i wspomnienia pana Philipa o Thomasie. Edward był zupełnie zaskoczony.

– Wiem, że byli w Brighton – powiedział – ale o wizycie w Crystal House nigdy nie wspomnieli.

Zamilkł na chwilę, bo uświadomił sobie, że ojciec miał wtedy możliwość przekazania brylantu. Jedynym wytłumaczeniem mogła być nieprzewidziana wcześniej zmiana trasy, przez co wizyta nastąpiła przypadkiem – pomyślał. Przez chwilę ta informacja nie dawała mu spokoju. Na następny dzień zaplanowano wycieczkę po posiadłości, której perłą były winnice, założone przez dziadka Jakuba, ojca Thomasa.

Część szósta

Karolina długo nie mogła zasnąć. Spostrzegła, że ich gość wpatrywał się w nią jak w obrazek. Tyle emocji jednego wieczoru, gdy zwykle tak jednostajnie upływa dzień za dniem. Cieszyła się na jutrzejszą trasę z nowo poznanym gościem. Miał kilka siwych włosów, co tylko dodawało mu uroku. Zastanawiała się, ile ma lat. Gdy spojrzała na zegar, zrozumiała, że to jutro jest już dziś, bo wskazówka godzinowa minęła północ.

Nie inaczej rzecz się miała z Edwardem. Oszołomiony urodą i spontanicznością Karoliny, mimo zmęczenia nie mógł zasnąć, wciąż układał się na innym boku. Nie spodziewał się, że spotka na swej drodze tak fascynującą istotę. Kobiety żyły z dala od zgiełku miasta, zajęte swoimi winnicami. Karolina była jak młoda róża, na której płatkach osiadły krople porannej rosy. Edward postanowił, by jutro rozmawiać z nią jak najwięcej. Pragnął poznać świat jej emocji, a sam wykazać się erudycją i sprawnością. Jeśli nadarzy się ku temu okazja.

Podczas śniadania uzgodnił z obiema paniami, że najwięcej zobaczy, gdy pojadą konno. Trzy wierzchowce ruszyły stępa, który wkrótce zamienił się w kłus. Edward patrzył zachwycony na Karolinę, która jadąc na koniu, była w swoim żywiole. Widział, że kocha swojego rumaka. Traktowała go delikatnie, a gdy trzeba stanowczo. Jej jedność z własnym koniem była doskonała. Emma jechała przodem, a Edward z Karoliną nieco z tyłu. Dużo rozmawiali, i wciąż żartowali. Pół dnia zajęło zwiedzenie całej posiadłości. Mieli wiele czasu na dyskusje o historii Anglii, geografii, a nawet ekonomii. Stwierdził, że guwernerzy wpoili Karolinie wiedzę, jakiej inne panny w jej wieku mogłyby pozazdrościć. Jest zdolna i ma dobrą pamięć, więc wszystko chwyta w mig – pomyślał. W drodze powrotnej Karolina pognała galopem i w poczuciu zwycięstwa z fantazją zatrzymała konia przed Crystal House. Ten dzień i następny, podczas którego Edward i Karolina we dwoje pojechali dwukółką do Dorking, upłynęły jak sen. Córka Thomasa Cambridge'a podziwiała smukłą i mocną sylwetkę Edwarda oraz jego rozmarzone oczy, których wciąż nie mógł od niej oderwać.

W piątek wieczorem, podczas kolacji, Edward zaprosił obie panie do Ashbourne, by życzeniu obu ojców stało się zadość. Wspólnie zastanawiali się nad datą pobytu. Chodziło o to, by znaleźć taki czas, który nie będzie kolidować z okresem żniw w Ashbourne i winobrania w Surrey. W końcu ustalono datę przyjazdu pań Cambridge do Ashbourne na połowę sierpnia. Karolinę ogarnął smutek – mieli się spotkać dopiero za trzy miesiące. Od razu pomyślała, że będą to najdłuższe miesiące w jej życiu.

Edward również zdał sobie sprawę, że trzy miesiące to długi okres. Podczas wieczornego spaceru wziął Karolinę za rękę i by nie zostawiać wątpliwości, patrząc jej w oczy, powiedział:

– Karolino, nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Zawładnęłaś moimi myślami, jesteś piękna i wykształcona. Nie wiem, jak przetrwam te trzy miesiące bez ciebie.

Ona nic nie odpowiedziała, tylko wspięła się na palce i przylgnęła ustami do jego policzka. Wtedy mocno przygarnął ją ku sobie i pocałował, chcąc poznać smak jej ust i poczuć jędrność młodych piersi. Ta chwila musiała im wystarczyć na najbliższe trzy miesiące.

Część siódma

Sobotnim rankiem, gdy stangret wkładał walizki do faetonu, Edward uścisnął ręce Emmy i Karoliny. Wzruszony podziękował za wspaniałe dni, które spędził dzięki nim. Po chwili powóz odjechał, a kobiety widziały ciągnący się za nim obłok kurzu, aż do momentu, gdy znalazł się za wzgórzem.

Emma i Karolina wróciły z podjazdu do środka domu zupełnie oszołomione. W Emmie obudziły się wspomnienia lat spędzonych z młodym Thomasem, zaś Karolina nie wiedziała, jak poradzi sobie z tęsknotą za człowiekiem, którego poznała zaledwie przed trzema dniami. Prawie w ogóle nie rozmawiały. Każda przebywała we własnym świecie.

Gdy Jeremy zobaczył buggy zajeżdżające przed dom, było kilka minut po trzeciej. Ustalili wcześniej, że dzisiaj Edward będzie nocował u niego, bo spotkanie z przyjaciółmi zaplanowano na szóstą. Zaraz odesłał go do łazienki i doradził, by uciął sobie przynajmniej godzinną drzemkę. Edward stoso-

wał się do rad Jeremy'ego, ale wydawał się jakiś nieobecny. W trakcie przyjęcia, na które tak cieszył się wcześniej, mówił i pił niewiele. Gospodarz nie mógł się nadziwić. W nocy, po spotkaniu, zapytał stangreta czy coś złego nie przytrafiło się Edwardowi. Ten jednak nie umiał niczego wyjaśnić. Przebywał w innych pomieszczeniach, gdzie karmiono i pojono go po królewsku, więc spał i odpoczywał, doglądał koni, ot i wszystko. Rano Edward oświadczył niespodziewanie Jeremy'emu, że musi skrócić pobyt w Londynie, bowiem doszły do niego wieści o kłopotach w majątku. Pożegnali się więc, a Jeremy był zmuszony odwołać umówione wcześniej spotkania. Zaczynał się domyślać, że przemiana Edwarda nastąpiła w Dorking, ale o co chodziło – nie był w stanie odgadnąć. Edward wyjechał z Londynu w niedzielę rano, po śniadaniu.

Część ósma

Przygotowania na przyjazd pań Cambridge zajęły dwa tygodnie. Odświeżono wszystkie pomieszczenia przeznaczone dla gości, główny salon i hol. Uzupełniono potłuczoną zastawę i sztućce, zakupiono kilka nowych dywanów, naprawiono uszkodzone drzwi i nieszczelne okna. Kilka mebli odświeżono, więc ślady zapachu politury unosiły się jeszcze w części pomieszczeń. Panie informowały w liście o planowanym przyjeździe szesnastego sierpnia, po południu. Tego dnia Edward poprosił kamerdynera, by obserwował drogę dojazdową. Gdy powóz zbliżał się do pałacu, stał na schodach, by przywitać gości. Zauważył, że obie panie wyglądały doskonale i ciężka podróż nie zostawiła na nich żadnych widocznych śladów. Służba, zgodnie z wydanym poleceniem, stała w jednej linii przy

wejściu, dzięki czemu Edward mógł przedstawić ich wszystkich. Takiej ceremonii w Ashbourne nie było od lat. Zabrano bagaże i wszyscy udali się do salonu.

Karolina podziwiała piękny pałac, który był o wiele większy od ich domu. Edward wzruszył ją, wręczając na powitanie wielki kosz róż. Podziwiała jego stosunek do służby, serdeczny i pełen zaufania. Dało się zauważyć, że między wszystkimi mieszkańcami Asbourne panuje więź niespotykana gdzie indziej. Następnego dnia, podczas uroczystego obiadu, nastąpiła kulminacyjne wydarzenie. Edward wręczył Karolinie, jedynej córce Thomasa Cambridge'a wspaniały brylant. Życzeniem Thomasa było, by przekazać brylant jego potomkom, wyjaśnił. Brylant, którego nikt wcześniej nie oglądał, sprawił na zebranych ogromne wrażenie. Był wart majątek, z pewnością wiele, wiele tysięcy funtów.

Pobyt pań Cambridge w Ashbourne potrwał blisko trzy tygodnie. Edward nie chciał zgodzić się na ich wcześniejszy wyjazd, zapewniając każdego dnia inne atrakcje. Oboje z Karoliną spędzali razem mnóstwo czasu. Od momentu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, wiedział, że zrobi wszystko, by została z nim na zawsze. Tygodnie spędzone razem w Ashbourne niczego nie zmieniły, był szczęśliwy i pewien swojego wyboru. W połowie trzeciego tygodnia potajemnie rozmawiał z Emmą Cambridge. Poinformował ją o tym, że jutro oświadczy się Karolinie podczas obiadu, na który zaprosił gości z sąsiednich posiadłości i przyjaciół z Londynu. I poprosił o jej zgodę na ten związek.

– Niech Karolina sama zdecyduje – powiedziała Emma. – Jest już dorosła. Ja nie mogę stanąć na jej drodze do szczęścia.

Następnego dnia doszło do zaręczyn. Karolina Cambridge została narzeczoną Edwarda Cunninghama, a po kolejnych trzech miesiącach jego żoną. Zamieszkała w Ashbourne, razem z Edwardem. Żyli w szczęśliwym związku. Po czterech latach mieli syna i córeczkę.

Część dziewiąta

Któregoś zimowego wieczoru Edward postanowił przejrzeć stos papierów, który zalegał w jednym z biurek. Przeglądał je po kolei, większość niszcząc i od razu wrzucając do kominka. Wśród nich dostrzegł pożółkły rachunek wraz z podpiętym certyfikatem. Przyjrzał mu się uważnie. Na fakturze firmy jubilerskiej z Brighton widniała data: 12 czerwca 1815 roku. Kupującym był Philip Cunningham z Ashbourne, zaś przedmiotem sprzedaży – brylant. Cena opiewała na dwanaście tysięcy funtów. Edward obejrzał certyfikat kamienia i stwierdził, że jego opis i parametry dokładnie odpowiadają brylantowi, który wręczył Karolinie Cambridge jako depozyt przekazany jego ojcu przez Thomasa Cambridge'a w 1804 roku. Edward długo przyglądał się pożółkłym dokumentom. Nie miał jakichkolwiek wątpliwości. Zapisał w notesie dane brylantu, po czym rachunek i certyfikat wrzucił do ognia. Ze wzruszeniem pomyślał o swoich rodzicach. Zyskał kolejny dowód, jak wielką darzyli go miłością. Dobrze, że był sam, nie musiał się wstydzić łez.

Cień

Część pierwsza

Gabrysia szła ścieżką wydeptaną wśród ruin. Zwały gruzów przypominały o domach, które przed wojną stały wzdłuż ulicy. Okupant podpalił je i wysadził. Tu i ówdzie ostały się partery i to właśnie ich użytkowanie było pierwszymi oznakami ludzkiego hartu i woli przetrwania. Sklepik wśród zgliszcz, dokąd zmierzała na zakupy, był tego dobrym przykładem. Nocą docierały do miasta chłopskie wozy z ziemniakami, chlebem, masłem, mlekiem, śmietaną, serem, jajkami, kurami, świńskim mięsem. Bez zaopatrzenia ze wsi nie przeżylibyśmy tej apokalipsy – pomyślała. Fragmenty samotnych ścian sterczały ku niebu, odsłaniając dawne szczegóły z życia mieszkańców posesji. Wysoko, w pokoju, którego już nie było, wisiał przekrzywiony portret młodej pary. Oczy ich uśmiechniętych twarzy patrzyły z góry na miasto, z którego pozostały stosy cegieł, desek, resztek połamanych stołów, łóżek przygniecionych betonem, z którego sterczały pręty zbrojenia. Wszystko przykryte chaotycznie rozproszonymi kawałkami papy pochodzącymi z nieistniejących dachów.

Gdzie oni są? pomyślała o ludziach z dużej fotografii. Może przeżyli wojnę, ale zgasły ich nadzieje na normalne, szczęśliwe życie, do jakiego przyzwyczaiły ich lata dzieciństwa.

Wyżej, na ocalałej pozostałości podłogi, stała biała wanna z pordzewiałą baterią. Tak niedawno żyli tu ludzie, ludzie ze świata, którego nie ma – skonstatowała.

Wolno szła przed siebie, uważnie stąpając po ruinach. Uważała, by nie poranić nóg o ostre okruchy cegieł i wystające przedmioty. Strach pomyśleć, co mogło znajdować się pod wydeptaną ścieżką. Otwierając drzwi sklepiku, spojrzała za siebie. Człowiek, którego wcześniej zauważyła, wychodząc z bramy swojego domu, szedł za nią. Po wyjściu ze sklepu, z dwiema sznurkowymi siatkami pełnymi zakupów, wracała tą samą drogą. Ostro świeciło słońce, a niebo było bezchmurne. Na tle radosnego, nieskazitelnego błękitu zgliszcza zawalonych domów stanowiły upiorny kontrast.

Mężczyzna, dość przystojny, średniego wzrostu, w wieku przed czterdziestką, wciąż podążał za nią. Nikogo innego nie było w pobliżu. Przyspieszyła kroku i lekko zdyszana wróciła do mieszkania klatką od strony kuchni, taszcząc zakupy na trzecie piętro domu, który – jakimś cudem, niemal nie uszkodzony – przetrwał wojnę. Do lokalu mogła też wejść drugimi drzwiami, przez sąsiednią klatkę.

Pochodziła ze wsi, do Warszawy przyjechała za namową kuzynki, która znalazła pracę u państwa z Krakowskiego Przedmieścia. Teraz i do Gabrysi uśmiechnął się los. Dach nad głową znalazła w rodzinie z dwojgiem dzieci, w sercu niemal doszczętnie zniszczonego miasta. Jej łóżko stało w kuchni, przy węglowym piecu. Dni miała całkowicie wypełnione sprzątaniem, gotowaniem, praniem i prasowaniem, zakupami, opieką nad dziewczynką i jej młodszym braciszkiem.

O mężczyźnie, który wczoraj szedł za nią tam i z powrotem, nic swojej pani nie wspomniała. Następnego dnia wyszła na zakupy, jak zwykle około dziesiątej. Nieznajomy mężczyzna stał pod bramą. Był w długim, sięgającym za kolana, brązowym płaszczu. Na głowie miał tę samą, charakterystyczną, czarną czapkę z daszkiem. Ruszył za nią, gdy skierowała się ścieżką wiodącą do sklepu. Przeraziła się nie na żarty. Nie znała powodów zainteresowania zupełnie obcego człowieka jej osobą. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć intencji, które nim kierowały. Ogarnął ją strach, bo miała przeczucie, że intruz nie przestanie jej śledzić. Dróżka wiodła przez ustronne miejsca, w których rzadko można było kogoś spotkać. Gdy zajdzie potrzeba, nie będzie mogła zwrócić się o ratunek – pomyślała. Tego dnia nieznajomy mężczyzna znów podążał za Gabrysią, zachowując ten sam dystans. Wszedł za nią do sklepu, ale najwidoczniej nie zamierzał niczego kupić. Nie interesowały go półki – patrzył wyłącznie na nią. A gdy wyszła, szedł w tym samym oddaleniu co poprzednio.

Gabrysia nie chciała niepokoić swojej pani i po powrocie po raz kolejny przemilczała zdarzenie. Następne dni niczego nie zmieniły. Gdy o zwykłej porze wychodziła z domu, obcy mężczyzna zawsze czekał, by powędrować jej śladem. Dokąd by nie zmierzała, on zawsze podążał za nią. Czuła jego napięty wzrok, wpatrujący się nieustannie w każdy jej ruch i gest. W piątek pilnie wysłano ją do sklepu, gdy zapadał już zmierzch. Pani w sobotę spodziewała się gości i należało kupić produkty, których brakowało. Nie spodziewała się, że o tak późnej porze spotka nieznajomego. A jednak był i jak zwykle ruszył za nią!

W połowie drogi wśród ruin nagle zebrała się na odwagę. Odwróciła się gwałtownie i poszła mu naprzeciw. Zatrzymał się, a gdy była już dość blisko, zszedł ze ścieżki. Wspiął się na gruzowisko, klucząc pomiędzy sterczącymi przeszkodami. Rozejrzała się wokół. Na dróżce nie dostrzegła innych osób. Mimo obaw postanowiła sprawdzić, dokąd poszedł nieznajomy. Idąc jego śladem,weszła na wzgórek, na którym widziała go przed chwilą. Z tego miejsca był otwarty widok na sporą przestrzeń. Tajemniczego nieznajomego nie było. To niemożliwe, żeby zniknął tak nagle – pomyślała. Jeszcze przez chwilę czekała, licząc na to, że skądś się wyłoni, ale na próżno.

Po wizycie w sklepie i powrocie do domu Gabrysia nie umiała uwolnić się od myśli o tym człowieku. Przyśnił jej się w nocy z piątku na sobotę i w następną. Co dziwne, nie jawił się jako ktoś niebezpieczny, kogo powinna się bać. Sny były natrętne i sugestywne. Widziała w nich jego twarz i sylwetkę, odniosła wrażenie, że mówi do niej coś, czego nie była w stanie zrozumieć.

Część druga

W poniedziałek rano Gabrysia obudziła się z niespodziewanym, głębokim przeświadczeniem, że jeśli nie spotka nieznajomego, musi pójść w miejsce, w którym widziała go po raz ostatni. Gdy wyszła, pod bramą nie spotkała nikogo. Dzień był pogodny, przez szczeliny pojawiające się między chmurami świeciło słońce. Na ścieżce dostrzegła kilka osób. Nowy tydzień to nowe potrzeby – pomyślała. Ośmielona obecnością ludzi wspięła się na gruzowisko, by stanąć w tym samym miejscu,

co w piątek. Za dnia wyglądało ono mniej złowieszczo. Zeszła kilka kroków w dół i znalazła się po drugiej stronie pagórka.

Na szaroburym tle wyróżniał się niewielki czarny przedmiot. Podeszła bliżej i spostrzegła czarną czapkę z daszkiem, dokładnie taką, jaką nosił nieznajomy. Tuż obok ziała z ziemi otwarta czeluść o nieregularnych kształtach, wielkości studzienki. Gabrysię ogarnęło złe przeczucie. Pochyliła się nad zapadliskiem i kilka razy zawołała:

– Jest tam kto?!... Jest tam ktoś?!... Czy ktoś tam jest?!...

Po trzecim zawołaniu nasłuchiwała z wielkim napięciem. Usłyszała jakby cichy jęk, ale nie była pewna. Powtórzyła więc swój błagalny apel kilka razy i znowu odniosła wrażenie, że ktoś wydał z siebie jakby przeciągłe westchnienie. Już nie wahała się ani chwili.

– Proszę czekać, biegnę po pomoc! – zawołała głośno, mimo ściśniętego z przerażenia gardła.

Najbliższy telefon, o którym wiedziała, znajdował się na małej, prowizorycznej poczcie oddalonej o półtora kilometra. Pobiegła tam najszybciej, jak mogła, skąd – wspólnie z urzędniczką – powiadomiły straż pożarną, milicję i pogotowie. Określiła miejsce wypadku, zobowiązując się do powrotu, by wskazać je dokładnie.

Zanim służby ratownicze dotarły na miejsce, minęła prawie godzina. Strażacy ostrożnie poszerzyli wylot jamy w zarwanym stropie i opuścili długą drabinę, która ledwo sięgnęła podłoża. Świecąc latarkami, odnaleźli w obszernej piwnicy rannego mężczyznę. Z trudem wydobyto go na powierzchnię. Miał liczne obrażenia i zemdlał podczas transportu.

Gabrysia rozpoznała w nim właściciela czarnej czapki. Jako osoba, która zgłosiła wypadek, musiała swoje dane podać milicji. Zgodnie z prawdą oświadczyła, że nie zna tego człowieka. O tym, że był jej niemym prześladowcą nie wspomniała. Od lekarza dowiedziała się, że wiozą go do szpitala Czerwonego Krzyża. W domu starała się ukryć całe zdarzenie, by nie przestraszyć pani i jej dzieci. Na nic to się zdało. Jej długa nieobecność i zmieniony wygląd nie pozostawiały wątpliwości, że coś musiało się wydarzyć. Opowiedziała więc swojej pani o wszystkim, również o tym, co zdarzyło się wcześniej. Wzbudziła wśród domowników ogromne zdziwienie i konsternację tą zagadkową i niewytłumaczalną historią.

Część trzecia

Od zdarzenia minęły dwa miesiące, podczas których Gabrysia coraz mniej myślała o tym niepojętym przypadku i jej niefortunnym bohaterze. Któregoś dnia, wychodząc z domu, zobaczyła mężczyznę w wytwornym garniturze, trzymającego w ręku bukiet kwiatów. Rozpoznała w nim swojego niemego prześladowcę i zarazem ofiarę nieszczęśliwego wypadku. Stanęła, nie wiedząc jak się zachować.

Tymczasem on bez wahania podszedł do niej i przedstawił się:

– Mam na imię Roman. Pragnę przeprosić panią i jednocześnie gorąco podziękować za uratowanie mi życia. Te kwiaty są dla pani. Czy moglibyśmy usiąść i chwilę porozmawiać? Zobaczyłem, że niedaleko otwarto pierwszą w tej okolicy małą kawiarenkę. Bardzo proszę o poświęcenie mi paru minut na rozmowę.

Gabrysia przystała na propozycję, z wahaniem podając mu rękę. Powiedziała:

– Zgoda, ale uprzedzam pana, że nie mam wiele czasu.

W kafejce byli jedynymi gośćmi. Roman opowiedział Gabrysi o sobie. Gdy ujrzał ją po raz pierwszy, przeżył szok. Niesamowicie mu się spodobała i był nią urzeczony. Nie mógł jednak zdecydować się, by do niej podejść. Była wierną kopią Łucji, jego ukochanej matki, która zaginęła w powstaniu warszawskim. Nie miał o niej żadnej wieści, ale wciąż nie tracił nadziei, że żyje. Uczucie do matki i nieznajomej, łudząco do niej podobnej, wpędziły go w straszny stres, który stał się przyczyną nienaturalnego zachowania. Wrodzona nieśmiałość, zmieszanie i zażenowanie nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności spowodowały, że chodząc za Gabrysią, nie miał odwagi podejść do niej i zacząć rozmowę.

Podczas pobytu w szpitalu Roman otrzymał smutną wiadomość. Jego matkę zidentyfikowano wśród powstańczych ofiar pochowanych w masowym grobie. Zapewnił jej teraz własne miejsce i może ją odwiedzać.

Zapadła długa cisza. Gabrysia od nadmiaru informacji i uczuć miała mętlik w głowie. Nie było jej łatwo zapanować nad emocjami. Roman, opowiadając swoją historię, patrzył jej prosto w oczy i nie miała wątpliwości, że mówi szczerą prawdę.

Od tego dnia spotykali się regularnie. Gabrysia dostrzegała u niego wyłącznie dobre cechy. Romana zaś oczarowała swoją urodą i ujęła naturalnością. To, że pochodzili z różnych środowisk w ówczesnej rzeczywistości nie stanowiło żadnej przeszkody. Było wręcz pożądanym wzorcem zachowań społecznych.

Wartości

Greg patrzył na szerokie arterie z okna swojego apartamentu znajdującego się na dwudziestym piątym piętrze. Codzienny widok teraz wydawał mu się zupełnie obcy. Budynki, przypominające pudełka o różnych kształtach i kolorach, stały wzdłuż czarnych pasm pomazanych miejscami białymi kreskami. W dalszej perspektywie, wśród krzyżujących się asfaltów, znajdowały się kółka, przypominające pozbawione wskazówek zegary, o nietypowym, przeciwnym ruchu. Jedne z nich pracowały nieustannie, podczas gdy inne, skomplikowane, zamierały na małe chwile, by cyklicznie ożywiane zielonymi światłami ruszać w na przemian zmieniających się, prostopadłych kierunkach. Ruch narastał i pasma oraz koła pulsowały gęstniejącym potokiem wielu punktów, które płynęły przed siebie w zupełnie nieprzewidywalnych kierunkach.

Wielobarwne pudełka świeciły światłem płynącym z przeszklonych otworów o prostokątnych kształtach. Nastający świt gasił stopniowo ich nienaturalną jasność, w której można było dostrzec poruszające się gdzieniegdzie postacie. Każdego dnia rano, dobrowolnie, udają się do miejsc zniewolenia, by tam pozwalać innym łamać własne charaktery – uświadomił sobie. Realizują jedyne przyznane im święte prawo – prawo do milczenia. Milczenia, które wcale nie gwarantuje bezpieczeń-

stwa. Absurdalnie i bezmyślnie kręcą się jak trybiki wielkiej machiny, z której nie ma ucieczki.

Nie będę dziś ścielić łóżka – postanowił Greg. Za parę godzin szary dzień znów zamieni się w bezsenną noc. Owładnięty myślą o globalnej destrukcji, totalnej zagładzie – jako radykalnym i prostym sposobie na wszelkie zło – włączył ekran, by zobaczyć wiadomości.

A tu wciąż to samo. Korea Północna tylko odgraża się i straszy, ale jest coraz słabsza. Kto wie, czy nie połączy się z południową pod przewrotnym hasłem jej nawrócenia? – zadał sobie pytanie. Taka „aneksja" uratowałaby miliony od biedy i śmierci. Chiny tkwią w ekonomii po uszy, zapomniały o walce i dawnych ideałach. Myślą, że finansami zawojują świat. Żeglują w stronę dobrobytu, więc na nie też nie można liczyć. Islam zraża do siebie, faktycznie nie mogąc wiele zmienić. Jego bojownicy szerzą na świecie strach i zamęt – stwierdził. Rosja pogrążona w ubóstwie jest najgroźniejsza. Ale i ona, tak dalece uwikłana w oligarchiczne biznesy, nie zdecyduje się na atak. Chyba że zupełne załamanie wewnętrzne wskaże jej politykom agresję jako jedyne antidotum mogące uchronić to pseudoimperium przed upadkiem.

Jest więc destabilizacja, ale do unicestwienia tego skorumpowanego świata wciąż daleko. Greg czuł się zawiedziony jego stabilnością, wprawdzie chwiejną, ale trwającą od kilkudziesięciu lat. Lokalne konflikty gasną, nie rozprzestrzeniając się – konstatował.

Miał świadomość i przekonanie, co jest tego przyczyną. To Wall Street czuwa nad wszystkim. Żerując na zdalnie sterowanych wojnach i konfliktach, gromadzi kapitał. Coraz większy

w rękach tak niewielu. Nie miał wątpliwości – wschodnie i zachodnie wybrzeże manipuluje całym światem. Co mogłoby ich zmieść? – zastanawiał się, siedząc w fotelu. Ruchome obrazy pojawiające się na ekranie i potok słów przestały go interesować. Desperacko i z determinacją rozważał możliwe warianty przyspieszonego końca tej podłej cywilizacji. Włącznie z uderzeniem w Ziemię potężnej asteroidy.

Po tym, co przeżył w kancelarii, popadł w depresję. Zdawał sobie sprawę z jednostronności swojego katastroficznego myślenia. Powszechna zagłada nie ochroni szlachetnych idei i prawdziwych wartości. Z nienawiści do tych, którzy dla bogactwa deformują ludzkie relacje, nie był w stanie powstrzymać się od analizowania możliwych wariantów globalnej katastrofy.

Już nie musi w pośpiechu golić się rano. Ubrania od Armaniego, modne krawaty, koszule bez pożytku wiszą w szafach. To relikty mojej ślepej przeszłości – pomyślał. Uwolnił się od ciągłej gonitwy i czuł ulgę. Nie musi, siedząc w firmie po nocach, studiować stert papierów, by sporządzić notatkę na poranną naradę. Już nie musi przykładać ręki do eskalacji podłości, wykańczać konkurencji i wykonywać nikczemnych poleceń bezwzględnych przełożonych. Na przykład takiego znienawidzonego Eisenberga.

Już nie musi pamiętać o kartach, czipach, certyfikatach, PIN-ach, hasłach, kodach i licho wie o czym jeszcze. I wciąż zapisywać zmieniających się co miesiąc tajnych danych w coraz to nowych, dyskretnych miejscach, aż do zupełnego obłędu. Niech szlag trafi całą tę technikę, komputery, specjalne programy i aplikacje, skoro służą zniewoleniu ludzkości – pomyślał. W cywilizacji robotów myślących milion razy szybciej od

człowieka zgasną bezpowrotnie piękne cechy i uczucia – miłość, więź, współczucie, uczciwość. Te pojęcia dematerializują się w świecie liczb i piekielnych algorytmów.

A on jest teraz z dala od tego świata, konsekwentnie unikając z nim kontaktów. Egzystując w samotności, nie musi przestrzegać bezsensownych norm, wzorów, kanonów. Nie wychodzi, nie mejluje, nie telefonuje i z nikim niczego nie uzgadnia. Nie musi nieustannie koncentrować umysłu, by sprostać zmieniającym się regułom i technice, powielać idiotyczne standardy i procedury. Ma solidny sejf, a w nim gotówkę, której wystarczy mu na długo. Wiele spraw musi na nowo przemyśleć.

Właśnie o tej porze management przegląda prasę i bieżącą korespondencję, siedzi w firmie przy kawie i czeka w stresie na wezwanie do bossa. Nie żal mi ich – skonstatował Greg. Dobrze zrobił, rzucając Eisenbergowi akta na biurko i wygarniając mu w cztery oczy wszystko, co o nim sądzi. Myślał, że wszyscy są do kupienia, a transakcja jest tylko kwestią ceny. Czuł wielką ulgę. Nie przyłoży już ręki do zubożenia setek ludzi o smutnych twarzach, znużonych ubogą egzystencją. Nie robili dobrego interesu, jak im wmawiał. Oddawali swoją ziemię za bezcen. Nie mogli wiedzieć o tajnych planach urbanizacji przedmieścia. Sądzili, że pozbywają się nieużytków i naiwnie cieszyli się z ich sprzedaży. Teraz już nie musi pisać raportów o sukcesach, które były okradaniem niczego nie podejrzewających, prostych ludzi.

Kiedy kancelaria prawnicza New Real Estate nabędzie wszystkie działki, budynki i obiekty w obszarze podmiejskim, wejdzie w życie tajna umowa z burmistrzem, a przygotowane w ukryciu nowe plany perspektywiczne zastąpią obecne nie-

mal z dnia na dzień. Zaledwie kilka osób znało te plany. Dla Eisenberga i jego klientów nastanie eldorado. Na grunty tej biedoty rzucą się deweloperzy, a miasto z impetem ruszy z projektami i budową infrastruktury komunikacyjnej. Ceny ziemi pójdą w górę jak szalone. Wielka rzesza oszukanych dowie się po fakcie, jak cenna była scheda po rodzicach. Ci ludzie nigdy nie wydobędą się z biedy. Nowe pokolenia będą ją dziedziczyć po rodzicach, którzy przekażą im negatywne wzorce i patologie – jak alkoholizm i narkomania. Nie mając wykształcenia, nie znajdą pracy. Nie wyślą swoich dzieci do college'ów, konserwatoriów, uniwersytetów. Nie będzie ich stać na leczenie w dobrych klinikach, by ratować swoje zdrowie i życie. Pozostaną plebsem o statusie siły roboczej, bez perspektyw realnej partycypacji w korzyściach płynących z rozwoju. Przepaść materialna między bogatymi a biednymi wciąż rośnie, bo państwo nie realizuje obowiązku redystrybucji dochodów. Zamiast ich transferu od zamożnych do biednych jest akurat odwrotnie. Pazerny kapitalizm nadal triumfuje.

Mierzi Grega nieuczciwie gromadzone bogactwo ludzi pokroju Eisenberga. On, skromny prawnik, urwie łeb tej hydrze. Przemyślał wszystko. Kopie firmowych dokumentów leżą bezpiecznie w domowym sejfie i w redakcji. Dobrze udokumentowany artykuł jest gotowy i ukaże się jutro. Niczego w nim nie przemilczał. Sprawie wykupu gruntów towarzyszyły liczne działania kancelarii o charakterze przestępstw gospodarczych, finansowych, podatkowych, przewijały się też wątki kryminalne. Mimo zapisanego w umowie z firmą trzyletniego okresu absolutnej lojalności i dyskrecji pracownika, uważał, że te pojęcia wobec firmy przestały go obowiązywać. W rozmowach

z redaktorem zastrzegł anonimowość, ale podpisał zobowiązanie do stawiennictwa w przypadku, gdy kancelaria wytoczy gazecie proces.

Greg otworzył lodówkę i do mikrofalówki wrzucił danie ze swojej ulubionej knajpy. Na szczęście delivery.com dostarcza mu do domu dania z każdej restauracji, którą wskaże. To jest lepsze niż monotematyczne serwisy jednej sieci, z pizzą, hamburgerami, sushi albo spaghetti – zauważył.

Pomyśleć, że z Nebraski przyjeżdżał do kancelarii w Nowym Jorku pełen nadziei na życiowy sukces. Jego studia w jezuickim Creighton University School of Law w Omaha kosztowały rodziców masę pieniędzy. Nie obawiali się, że będą one zmarnowane, bo w rankingach prywatną uczelnię Creighton o ponad stuletnich tradycjach uznawano za numer jeden wśród szkół Środkowego Zachodu. Własnej ciężkiej pracy w ramach programów Wydziału Prawa zawdzięczał prestiżowe stypendium Fundacji Fulbrighta. Staż i angaż w znanej nowojorskiej kancelarii otworzyły przed nim nowe perspektywy. Był przekonany, że jego kariera zmierza we właściwym kierunku. I wkrótce zwiąże się z dziewczyną, niedawno poznaną podczas koncertu. Życie brutalnie zweryfikowało jego przeświadczenie.

Podczas pracy w kancelarii szybko uzmysłowił sobie, że o kanonach moralnych wpojonych w Creighton powinien natychmiast zapomnieć. I o etyce zawodu prawnika. Najlepsi finansiści skutecznie chronili kancelarię i jej klientów przed podatkami. A spółka umacniała swoją pozycję, podejmując współpracę z biurami detektywistycznymi.

Greg spojrzał na zegarek – dochodziła jedenasta. Kurier z delivery.com miał przywieźć jedzenie i napoje przed połu-

dniem. Nie zdziwił się, gdy zadzwonił domofon, a na jego ekranie ukazała się postać w uniformie firmy kurierskiej. Wcisnął przycisk. Po chwili usłyszał dzwonek do drzwi, a gdy je otworzył, obezwładnili go dwaj zamaskowani mężczyźni. Wlano mu do ust jakiś płyn. To był ostatni moment świadomości.

Gdy przez dwa dni nie odpowiadał na telefony i pozostawione wiadomości, zaniepokojona rodzina zawiadomiła policję. Po otwarciu drzwi apartamentu znaleziono Grega Hamiltona w fotelu w salonie. Był nieprzytomny. Lekarz pogotowia wstępnie stwierdził silne odwodnienie i prawdopodobny paraliż. Badania wykonane w szpitalu wykazały, że przeszedł rozległy zawał. Szanse na pomyślną rehabilitację i uzyskanie z chorym kontaktu oceniano jako minimalne.

Artykuł opisujący działalność kancelarii New Real Estate nie ukazał się planowanego dnia, ani kiedykolwiek.

Dla rodziny Grega jego nagła choroba była wiadomością tragiczną, ale nie do końca zaskakującą. Kiedyś, jeszcze w szkole, stwierdzono u niego arytmię i niedomykanie zastawek. O pracy Grega w kancelarii jego najbliżsi oraz koledzy z Creighton wiedzieli bardzo niewiele. Życia osobistego w Nowym Jorku nie zdążył sobie ułożyć. Z Ashley, swoją dziewczyną z uczelni, od wyjazdu z Omaha nie utrzymywał kontaktów. Podobnie z Lisą, dawną, szkolną sympatią z Lincoln, gdzie się urodził. Od roku nie był w rodzinnym domu.

Henry, znajomy bibliotekarz, cierpliwie czekał na Grega przez cały tydzień, tak jak się umówili. Gdy ten nie zjawił się, zrozumiał, że nie pozostaje mu nic innego, jak spełnić jego prośbę. Wyjął z worka sześć paczek przygotowanych przez przyjaciela. Adresatami były biura szefów służb państwowych, trzy

dzienniki i ojciec Grega. Wszystkie były doskonale zabezpieczone i zawczasu opłacone. Pozostawało wrzucić je do skrzynki wysyłkowej. Tak też uczynił, ale zrobił to na poczcie w odległej dzielnicy. Przeczuwał, że pośredniczy w czymś bardzo ważnym i... niebezpiecznym.

Po kilku dniach prasa doniosła o prokuratorskich śledztwach rozpoczętych w spółce prawniczej New Real Estate, kilku biurach inwestycyjnych oraz kancelarii burmistrza. Gdy nazwisko Grega Hamiltona pojawiło się w artykule jednej z gazet, Henry zrozumiał, jak ważną misję powierzył mu przyjaciel. Dowiedział się, iż Greg leży w jednym ze szpitali w centrum, ale nie odważył się go odwiedzić. Stan Grega nie był zasadniczym powodem jego decyzji.

Trzynastka

Część pierwsza

Początek września był cudowny. Nie dało się zauważyć wyraźnych oznak nadchodzącej jesieni. Słońce grzało jak w środku lata, a szczyty gór pyszniły się dumnie na tle błękitnego nieba. Wciąż żywa zieleń porastała hale, stoki i łąki Kotliny Kłodzkiej. Grupa liczyła dwanaście osób. Wszyscy byli studentami z Krakowa. Nie chcieli zmarnować ostatnich tygodni przed rozpoczęciem roku akademickiego. Włóczęgę po pubach i dyskotekach zostawili innym.

Michał, główny organizator i przewodnik z licencją, wywiesił swoje ogłoszenie o wycieczce w połowie sierpnia, na tablicy uczelnianej w holu głównym. Towarzyszyła mu lista dla zainteresowanych licząca dwanaście miejsc. Następnego dnia po południu była już całkowicie zapełniona. Kolejni chętni dopisywali się poniżej w nadziei na czyjąś rezygnację lub decyzję o powiększeniu liczby uczestników. Ostatecznie cztery osoby z listy podstawowej zrezygnowały i kilkoro spośród dopisanych znalazło się w składzie wycieczki. Na dworcu stawili się w komplecie, byli z różnych wydziałów i prawie się nie znali. Michał zebrał od wszystkich indywidualne deklaracje zobowiązujące do przestrzegania zasad rajdu, posiadania wymaganej odzieży i wyposażenia, z adresami i telefonami kontaktowymi. Od tej chwili stali się pełnoprawnymi uczestnika-

mi górskiej pieszej wycieczki, a on przewodnikiem po szlaku i kierownikiem, którego polecenia musieli wykonywać. Otrzymane oświadczenia wylądowały w wewnętrznej kieszeni jego kurtki. Nie rozstawał się z nimi do końca wyprawy. W pociągu spontanicznie utworzyły się grupki i pary, dziewczyn było tyle samo co chłopców.

Michał studiował we Wrocławiu, ale pochodził z Krakowa. W przeddzień wyjazdu Staszek, kolega z roku, poprosił go, by włączył do grupy Milenę. Odmówiłby mu, gdyby nie to, że od trzech lat studiowali razem i przyjaźnili się. Milena, jako trzynasty uczestnik, dołączyła do grupy we Wrocławiu, gdy wsiadali do autobusu jadącego do Kudowy Zdroju. Była wysoką, ładną i wysportowaną dziewczyną o krótkich rudych warkoczach. Poradzi sobie, pomyślał, i powiedział:

– Miło Cię poznać, Mileno! Wsiadaj do autobusu. Zajmujemy miejsca w ostatnich rzędach.

W autobusie chłopcy i dziewczyny kontynuowali flirty i dyskusje rozpoczęte w pociągu. Milena usiadła obok Michała. Rozmowna i ciekawska, pytała: co studiuje?, czym się interesuje? od jak dawna wędruje od schroniska do schroniska? Była z Poznania, studiowała iberystykę na drugim roku. Szczęśliwie ominęła ją jesienna sesja poprawkowa. Przez dwa miesiące pracowała w Andaluzji, a teraz zamarzyła o polskich górach. Już w połowie drogi do Kudowy pragnęła wiedzieć, jak Michał spędza w mieście wieczory, dokąd chodzi ze swoją dziewczyną. Podirytowany jej natarczywością, ani myślał informować o sobie, jak choćby o tym, że ze swoją dziewczyną rozstał się w czerwcu. Odpowiadał zdawkowo. Milena podobała mu się, nawet bardzo, ale postanowił zachowywać się po-

wściągliwie, traktując jej umizgi z obojętnością. Odpowiadał za dużą grupę. Jeśli choć na chwilę przez amory stracę czujność może wydarzyć się coś nieprzewidzianego – pomyślał.

Uczestnicy rajdu z okien autobusu podziwiali Góry Bardzkie. Autobus zatrzymał się na krótko przy twierdzy w Kłodzku i wkrótce – przy zapadającym zmierzchu – dotarł do Kudowy-Zdroju. Zatrzymali się w schronisku OSIR, w trzech pokojach. W dwóch stały archaiczne piętrowe łóżka, ale na luksus nikt nie liczył. Byli gotowi na niewygody. Niski koszt wyjazdu był najważniejszy. W trzecim miesiącu wakacji kieszenie większości studentów zwykle świeciły pustkami. Przygoda, integracja, nowe znajomości – na tym im zależało. Podczas kolacji w hotelu, znajdującym się obok ich bazy noclegowej, Michał zrobił krótką odprawę. Ustalił pobudkę na pół do siódmej, śniadanie i wymarsz zielonym szlakiem przed ósmą. Tego dnia na trasie znalazły się: Kaplica Czaszek w Czermnej, Pstrążna, Błędne Skały. Dzień planowali zakończyć marszem pod Ostrą Górą i noclegiem w schronisku Pasterka, dokąd mieli dotrzeć przed zmrokiem. Michał zastanawiał się, czy ponad piętnastokilometrowa trasa po górach, z końcówką w trudnym terenie przy czeskiej granicy, nie okaże się zbyt forsowna. Zauważył, że część grupy nie była obyta z górami.

Miał opracowany szczegółowy program dziesięciodniowego rajdu. Rozdał go wszystkim i nie dopuszczał myśli o jakichkolwiek zmianach. Grupę zgłosił na noclegi w schroniskach, otrzymał potwierdzenia rezerwacji, słowem – wszystko było zapięte na ostatni guzik. Pierwszego dnia o czasie dotarli do schroniska Pasterka. Postoje były krótkie. Niektórych

trzeba było dyscyplinować, ale na szczęście dało się zauważyć, że ambicja brała górę nad słabościami.

Nazajutrz Milena nie wyszła jeszcze z łazienki, gdy grupa jadła śniadanie. Minęła siódma. Michał tak jej się podobał, że wszelkimi sposobami starała się przykuć jego uwagę. Kontekst nie był dla niej istotny. Gdy zjawiła się w końcu, Michał zauważył, że ubrała się zbyt lekko. Zwrócił jej uwagę, że w cienkiej koszulce i ocieplaczu bez rękawów może poranić ręce. Po śniadaniu przebrała się.

To z jej winy weszli na Szczeliniec Wielki z półgodzinnym opóźnieniem. I mieli niewiele czasu na podziwianie Wielbłąda, Małpoluda, pięknej panoramy Kotliny, Gór Stołowych i pasma Karkonoszy na granicy z Czechami. Dalsza marszruta prowadziła przez Radków do bazyliki w Wambierzycach. Po niecałych dwudziestu minutach od wymarszu ze szczytu Michał zauważył, że Mileny nie ma w grupie. Przepytał o nią wszystkich, lecz bez większego rezultatu. Wtedy Romcio, bo tak zwracali się do Romana, pucołowatego i dobrodusznego blondasa, coś sobie przypomniał:

– Słuchajcie, na szczycie Szczelińca Wielkiego Milena wspomniała coś o tym, że w Radkowie to ona będzie pierwsza.

Ktoś inny zauważył, że podczas zejścia skręciła w wąską, boczną ścieżkę, biegnącą wśród skał ostro w dół, ale pomyślał, że za potrzebą i nic nikomu nie powiedział. Próba nawiązania łączności z Mileną skończyła się odsłuchaniem komunikatu o tym, że abonent jest niedostępny albo ma wyłączony telefon. Jak na złość, nie wiadomo skąd, nadciągnęły ciemne chmury i zaczął wiać mocny wiatr. Cała grupa weszła do ba-

cówki stojącej blisko szlaku. Przebrali się w swetry i nieprzemakalne kurtki z kapturami.

– Zostańcie tutaj! – powiedział Michał i dodał: – Idę szukać Mileny, kojarzę to miejsce. Czekajcie tu na mnie, nikt nie może się oddalać, zrozumieliście?

Nie było sprzeciwu, zresztą opuszczanie bacówki nie miało już sensu. W jej dach z narastającym łoskotem uderzał grad i siekły strugi ulewnego deszczu. Michał ruszył pod górę. Do miejsca, gdzie od szlaku odchodziła ścieżka, miał jakieś pięćset metrów.

Część druga

Milena umiała dostrzec przelotne spojrzenia Michała, z których on sam nie zdawał sobie sprawy. Dyskretnie obserwowała jego zachowanie i była przekonana, że się nie myli. Był wprawdzie oficjalny i nawet szorstki wobec niej, ale odbierała jego postępowanie jako planowe zachowanie dystansu, wbrew sobie. Zauważyła, że ani razu z nikim czule nie pogawędził przez komórkę. Prowadził wyłącznie rozmowy organizacyjne związane z wycieczką. Była pewna, że nie ma partnerki. Przybranej pozy nie miała mu za złe, w przekonaniu, że w końcu i tak dopnie swego. Nie jest mu obojętna, to pewne.

Rano świadomie zwolniła tempo. Z delikatnym uśmieszkiem słuchała, jak za niesubordynację Michał przywołuje ją do porządku. Nie był przekonywujący w tej swojej złości. Marzyła o tête-à-tête z Michałem, ale wciąż nie nadarzała się żadna okazja.

Podczas zejścia z wierzchołka Milena zauważyła ścieżkę odchodzącą od szlaku w lewo, biegnącą stromo między skałami. Spojrzała na grupę – szli trochę rozproszeni, ktoś odwrócił się

i patrzył w jej stronę. Nie zawahała się i niemal zbiegając, szybko zniknęła wśród wysokich skał. Nie chciała zbytnio się oddalać, bo Michał, który z pewnością wróci po nią, mógłby jej nie znaleźć. Ścieżka rozwidlała się. Wybrała dróżkę bardziej wydeptaną, wydało jej się to logiczne. Poruszała się powoli. Po kilku minutach zatrzymała się. Tu Michał dojdzie na pewno – pomyślała, i z półki skalnej spojrzała na kotlinę. Spotkała ją niemiła niespodzianka. Gdy schodziła ścieżką między skałami, pogoda nagle się zmieniła. Napłynęły czarnogranatowe chmury i zaczął kropić deszcz, który szybko zamienił się w ulewę.

Grad tysiącami skaczących kulek pokrył ścieżkę, którą przyszła. Zrobiło jej się zimno, więc założyła sweter i kurtkę. Temperatura z pewnością spadła do kilku stopni. W tych warunkach Michał może mnie tu nie znaleźć, pomyślała. Ale nie traciła rezonu i z bocznej kieszonki plecaka wyjęła komórkę. Ekran zaświecił się na moment i zgasł. Wieczorem zapomniała ją naładować! Nie było jej na porannej odprawie, gdy przed śniadaniem wszyscy sprawdzali sprzęt. Plecami oparła się o skałę. Podmuchy wiatru niosły gwałtowne fale deszczu. Skała nad głową osłaniała ją tylko częściowo. Dżinsy miała już przemoczone. Od chwili, gdy pobiegła ścieżką i znalazła się na skalnej półce, upłynęło ponad pół godziny. Czuła, jak chłód systematycznie przenika jej ciało. Mimo woli zaczęła szczękać zębami. Nie pomógł kawałek czekolady znaleziony na dnie plecaka. Nawet prowiantu nie zabrałam, przemknęło jej przez myśl. Milenę, stojącą samotnie, smaganą wiatrem i deszczem ogarnął lęk. Zdała sobie sprawę, że nie może liczyć na pomoc Michała. Sama musiała podjąć jakąś decyzję. Na powrót pod górę nie mogła się zdecydować, bo grupa mogła być już bar-

dzo daleko. Gonić jej nie było sensu. Zdecydowała się iść jedyną ścieżką, która prowadziła w dół. Szła wolno, towarzyszył jej strach i lekki szok wywołany świadomością niespodziewanego survivalu – i to na skutek postępowania wynikającego wyłącznie z własnych emocji.

Część trzecia

Michał wspiął się po szlaku i dotarł do miejsca, gdzie wąska dróżka wciskała się między wysokie skały. Jego podejściówki do trekingu, mimo twardej, antypoślizgowej powierzchni obsuwały się po głazach przykrytych warstwą gradu. Szedł wolno, uważając, by nie stracić równowagi i nie zjechać po kamieniach. Grad topniał powoli. Michał stanął zdezorientowany przed miejscem, gdzie prawdopodobnie przed ulewą ścieżka rozwidlała się. Teraz w różne strony płynęły tu wartkie potoki wody. Wielokrotnie krzyczał: „Milena!", ale jego wołania pozostawały bez odzewu. Po namyśle poszedł prosto, nie zbaczając z kierunku, z którego przyszedł. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że już od pół godziny nie było go z grupą. Wiedział, że jeśli zaraz nie odnajdzie Mileny, to będzie musiał tam wracać.

Pechowa trzynasta uczestniczka wycieczki zniknęła. Z boku dróżki Michał dostrzegł skalną półkę i – wiedziony nadzieją – wszedł na nią. Pod stopami zobaczył resztki opakowania po gorzkiej czekoladzie, w którą zaopatrzeni byli wszyscy uczestnicy wyprawy. Znów wołał jej imię, ale w szumie deszczu i wiatru słyszał tylko słabe echo własnych okrzyków. Przed oczami stanęła mu Milena, zgrabna dziewczyna ze swoją gładką buzią i nieco zadzierzystą miną.

– Na miłość boską, gdzie jesteś, Milena, coś ty narobiła, dziewczyno! – zawołał głośno do siebie, nie licząc na to, że go usłyszy.

Nie mógł zwlekać ani chwili. Wrócił na szlak najszybciej jak mógł. Nie było go z grupą przez prawie godzinę i nie wiedział, że w bacówce doszło do awantury. Piotrek, Andrzej i Jadzia nie chcieli dłużej czekać. Zamierzali we troje ruszyć w dół do Radkowa. I namawiali pozostałych, by ruszyli z nimi, póki jest jeszcze jasno i nie zapadł zmrok. Kiedy wychodzili na szlak, wpadli prosto na zbliżającego się Michała.

Cofnął ich natychmiast do bacówki. Po krótkiej naradzie uznali, że nie mają wystarczającego zapasu wody i jedzenia, by bezpiecznie czekać do rana. Do Radkowa mieli szansę dojść niebieskim szlakiem w ciągu dwóch godzin. Michał połączył się z Wałbrzysko-Kłodzkim GOPR-em i zgłosił zaginięcie Mileny. Dokładnie wskazał miejsce, w którym samowolnie oddaliła się od grupy i prawdopodobny kierunek jej marszu. Poinformował, że dwanaście osób wraz z nim idzie niebieskim szlakiem do Radkowa. Goprowcy przyjęli zgłoszenie i rozpoczęli akcję poszukiwawczą.

Wszyscy ruszyli w dół za Michałem, zachowując niewielkie odległości i bacznie obserwując się nawzajem. Pod koniec drogi włączyli latarki. Należało uważać, by nie zgubić się w ciemnościach, nie wpaść na coś albo skręcić nogę. Przez nieuwagę można było narazić na niebezpieczeństwo całą grupę. Deszcz ustał i znaki na szlaku były lepiej widoczne. Do trzypiętrowego budynku ośrodka Zielony Las dotarli mocno wyczerpani. Michał co jakiś czas dzwonił do GOPR-u i pytał o Milenę, ale nie mieli żadnych wiadomości. Po kolacji polecił wszystkim na-

tychmiast położyć się spać. Jutro czekał ich kolejny dzień wycieczki. Wierzył, że Milena da sobie radę. Jest silna, nie podda się, to niemożliwe – przekonywał sam siebie. Niepewność jej losów nie dawała mu jednak spokoju. Analizował sytuację, rozważając, czy popełnił jakiś błąd. Zadał sobie pytanie, czy nie traktował jej nazbyt surowo, na przekór sobie, właśnie dlatego, że nie była mu obojętna? Zaparzył sobie mocną kawę. W stresie i napięciu czuwał przy telefonie całą noc, czekając na jakąś wiadomość. Myślał nieustannie o pięknej, wysportowanej dziewczynie z rudymi warkoczami i miał do siebie ogromny żal. Wiedział, że od samego początku niepotrzebnie ją ignorował – wbrew samemu sobie.

Część czwarta

Milena, przemarznięta i przemoczona, oświetlając drogę latarką, posuwała się w dół kotliny. W miejscu, gdzie teren stawał się bardziej płaski, zauważyła niewielką, drewnianą szopę. Uchyliła drzwi zamknięte na prosty rygiel. W środku było w miarę sucho. Za pomocą zapalniczki, kawałków papieru, ździebeł słomy i kilku gałązek udało jej się rozpalić ogień. Wraz z wirującymi językami płomieni wstąpiła w nią nadzieja. Wprawdzie dym gryzł ją w oczy, ale ciepło z małej watry rozlewało się stopniowo po całym ciele, dodając otuchy. Postanowiła zostać tu do rana.

Obudziły ją odgłosy dochodzące z zewnątrz. Ktoś uchylił drzwi.

– Jest, tutaj jest! – usłyszała. – Zgadza się, ma krótkie rude warkocze, kurtka pomarańczowa. To ona!

Po chwili jadła bułkę z serem i wędliną, popijając ją słodką, gorącą herbatą z dużego kubka. Ratownicy górscy wylegitymowali ją i przez radiotelefon wezwali pomoc. Świt powoli rozjaśniał okolicę. Wiadomość o szczęśliwym odnalezieniu Mileny dotarła do Michała rankiem, o pół do piątej. Z bazy GOPR-u, gdzie przebrała się w suchą odzież, po dwóch godzinach przywieziono ją do ośrodka w Zielonym Lesie. Wszyscy jeszcze spali, gdy Michał usłyszał warkot silnika. Spojrzał przez okno i zobaczył dżipa zatrzymującego się przed budynkiem. Wybiegł jak szalony w kierunku Mileny, by ją uściskać.

– Michał, przepraszam – wyszeptała, po czym przytuliła się do niego i pocałowała w usta. Objął ją mocno ramionami, chcąc zaznaczyć, że już jej nigdy z nich nie wypuści. I nie odda. Nikomu. Dalsza gra nie miała już sensu. Trzynastka należała do niego.

Nie oczekujcie, że wam wybaczą

Prolog

Dwa lata przed opisanymi niżej wydarzeniami nowojorski prawnik o imieniu Michael przeżył osobistą tragedię. Prowadził pod przymusem niejasne interesy bezwzględnych ludzi. Kochał dwie kobiety, lawirując między lojalnością a zdradą. Kiedy huragan Sandy pustoszył Wschodnie Wybrzeże Stanów, Suzy – młodsza z jego partnerek – stała się niewinną ofiarą gangu pospolitych bandziorów, nieświadomych faktu, że wchodzą w drogę potężnej kamaryli. Ted, przyjaciel Michaela, wraz ze swoją dziewczyną Jennifer uwikłani w to zdarzenie, znaleźli się w niebezpieczeństwie. Emily – oficjalna partnerka Michaela – została porwana i cudem uniknęła śmierci podczas powodzi. Michael nie mógł przeboleć śmierci Suzy. Po jej stracie, wiedziony poczuciem odpowiedzialności, przywiązania i niewygasłą do końca miłością skierował swe uczucia ku Emily, która została jego narzeczoną.

Część pierwsza

Fale leniwie toczyły się po piaszczystej plaży ku linii wysokich palm. Lekki wiatr poruszał długimi, szeroko rozpostartymi liśćmi i sprawiał, że nieruchome ciało Cataliny zdawało się drgać, gdy przebiegały po nim chaotycznie rozkołysane cienie. Leżała już od godziny i wcale nie zamierzała robić cze-

gokolwiek innego. Wielokrotnie zapadała w półsen, oddychając równomiernie czystym, oceanicznym powietrzem. Co jakiś czas ciszę przerywał jazgotliwy pisk ptaków – wtedy budziła się i na moment otwierała oczy. Promienie popołudniowego słońca chylącego się ku zachodowi potęgowały głębię czerwieni kwiatów puszących się na rosnących nieopodal krzewach.

Catalinie zdawało się, że czas stanął w miejscu. Miała prawo tak myśleć. Świadomie starała się odrzucić każdą mimowolną próbę porównania świata, który ją otaczał, z tym, w którym przebywała podczas ostatnich trzech lat spędzonych w Nowym Jorku. Miłość Steve'a i spokój, który panował wokół, sprzyjały zapomnieniu o tamtych przejściach. Dni mijały beztrosko wśród szczerych, przyjaznych ludzi. Różnorodne pasje, którym Steve i Catalina oddawali się bez reszty, przykuwały coraz bardziej jej uwagę, wciągały i intrygowały. Życzliwe słowa i twarze – zawsze pełne pogody i optymizmu – stopniowo odsuwały w niepamięć wydarzenia ubiegłych lat.

– Catalina! – usłyszała zaaferowany głos Steve'a i uniosła głowę w jego stronę.

– Sebastian, którego poznaliśmy wczoraj, zaproponował nam nurkowanie przy dalszej rafie za półwyspem, jutro po śniadaniu – zgodziłem się od razu. Chyba nie masz innych planów i popłyniemy razem? Na cały dzień!

– Zgoda, ale pod warunkiem, że nie mianujecie mnie cookiem, wolę pływać z rybami, niż nimi pachnieć!

– Dziewczyna Sebastiana nazywa się Antonia, ta brunetka – poznałaś ją, powiedziała, że lubi gotować i zajmie się lunchem. A więc super, płyniemy jutro w czwórkę, umówiliśmy się na przystani o dziewiątej. Wreszcie użyję w kamerze opcję

do podwodnego filmowania. Sebastian twierdzi, że zobaczymy bajeczny świat – miejscowa fauna i flora mieni się barwami, jakich nie znajdziesz na żadnej palecie.

Należało pomyśleć o podwieczorku, było sporo po siedemnastej. Miejscowi spędzali dzień nie inaczej niż Catalina. Wylegiwali się bez końca, a ożywiali w porach posiłków. Właśnie przyszedł czas na meriendę. Na tarasach bungalowów, z których rozpościerała się panorama niekończącego się oceanu i niebieskiego błękitu ozdobionego niewielkimi cumulusami, pojawiły się butelki z winem, piwem, patelnie z gorącą paellą i różnymi zakąskami. Ich widok i zapach wywołał ruch – wszyscy, którzy dotąd drzemali pod moskitierami, wyszli teraz na tarasy. Gromady ptaków, licznie zgromadzone na balustradach, poderwały się do lotu.

Codziennie o tej porze miał miejsce ten sam rytuał celebrowania podwieczorku. Od przedpołudnia do późnego popołudnia wysoka temperatura i nieznośna wilgotność uniemożliwiały wykonywanie prac wymagających fizycznego wysiłku. Przed wieczorem miasteczko stopniowo wracało do życia. Jak na połowę października było gorąco – nie było powodu, by odstępować od letnich przyzwyczajeń.

Z pobliskiego baru postawionego na drewnianych palach popłynęła muzyka, z początku wolna i bardzo cicha, z czasem bardziej ożywiona i przybierająca na sile. Dało się wyłowić rytm samby wydobywający się z bębnów i wyszarpywany ze strun gitar. Spadzisty dach baru uformowano z szerokich, okazałych liści palmowych, gęsto ułożonych na drewnianych, powiązanych ze sobą drągach. Liście palmowe doskonale chroniły przed promieniami słońca, a w porze monsunów stano-

wiły skuteczną zaporę dla tumanów oceanicznej wody, niesionej porywami wiatru w stronę baru i jego gości.

Catalina skierowała się do bungalowu. Zapaliła papierosa i włączyła ekspres, szukając sposobu na rozbudzenie po sjeście. Aromat i smak espresso przywrócił jej energię i zapał do kucharzenia. Zajrzała do lodówki i po chwili zamrożona wcześniej tortilla w mig zarumieniona w piecyku, zapachniała kusząco, potęgując uczucie głodu, z którego wcześniej ledwie zdawała sobie sprawę. Należało jeszcze dobrze podpiec cielęcinę.

Część druga

Steve rozsiadł się na tarasie, napełnił szklankę zimnym piwem i – jak co dzień o tej porze – wsadził nos w iPada. Doskwierał mu brak pracy, która, o ironio, kiedyś tak go wyczerpywała i była źródłem częstych frustracji. Pracy pełnej niespodzianek i problemów, ale i pozytywnych emocji. Wtedy wszystko miało jakiś sens. Dziś pławi się w słońcu, praktycznie nie robiąc nic. Nie był gotowy na taki kontrast. Kancelaria była z pewnością źródłem satysfakcji, a każdy wygrany proces i zadowolenie klienta – obiektywną nagrodą. Nie wyłączając honorariów. Stan permanentnej bezczynności, relaksu oraz braku jakichkolwiek poważnych obowiązków, którym zachwycił się z początku, po niemal dwóch latach stracił dla niego sporo ze swego uroku.

Nawigując po internecie, sprawnie pomijał nieistotne wiadomości – mogłoby się wydawać, że serfuje losowo. Tymczasem stosował selekcję według sobie tylko znanych reguł. Spajając na przemian fragmenty wiadomości, newsów i dyskusji z pewnych, nieprzypadkowych blogów, odczytywał treści przeznaczone wyłącznie dla siebie. I odpowiadał swojemu roz-

mówcy w podobny sposób. Rozczarowywała go znikoma ilość nadchodzącej korespondencji – zdawał sobie jednak sprawę, w czym tkwiła tego przyczyna.

Interlokutor Steve'a funkcjonował w realnym świecie – wielkiej i zabieganej metropolii, pochłaniającej energię, masę sił i czasu, obarczony mnóstwem zawodowych i rodzinnych obowiązków. Zaś on sam rozmyślał, czym wypełnić każdy dzień, by sprawić, żeby kolejny różnił się od poprzedniego.

Komuś nieznajomemu, obserwującemu zachowanie Steve'a i Cataliny mogłoby się błędnie wydawać, że niczym niezmącona swoboda i beztroska niekończących się wakacji jest ich żywiołem. W rzeczywistości każde z nich odmiennie przeżywało obecną sytuację i wydarzenia poprzedzające pobyt w Belize. Steve często analizował przebieg wyjazdu z Nowego Jorku, który był początkiem zaplanowanej ucieczki. Ocena zawsze wypadała podobnie. Rada i pomoc przyjaciela ocaliła im życie. Musieli z Cataliną podjąć ryzyko. Przed wylotem z Palm Beach dziesiątki razy powtarzali kolejność i przebieg wszystkich czynności. Przygotowali się do lądowania na falującym oceanie ze schowanym podwoziem. Trudno byłoby nazwać takie lądowanie awaryjnym. Drobiazgowo rozważali każdy możliwy przebieg zdarzeń. Należało przewidzieć różne okoliczności. Mieli pozapinane pasy, zdjęte buty i okulary. Pozbyli się z ubrań twardych przedmiotów, by nie odnieść obrażeń w przypadku silnego uderzenia.

Rano w dniu wylotu widoczność, dzięki dobrej pogodzie, była doskonała. Zbiornik samolotu wypełniało ponad sześćdziesiąt galonów paliwa. Steve i Catalina zabrali dodatkowo sześć pięciogalonowych, rezerwowych kanistrów, nie przeciążając nadmiernie lekkiej cessny. Wystartowali na zachód za-

raz po tym, jak drugi samolot cessna pojawił się tuż nad ich pasem w Palm i pomachał skrzydłami. Mistyfikacja polegała na tym, że ten samolot – udając maszynę Steve'a – poleciał na wschód, w kierunku Freeport. Znajomy pilot dotrzymał słowa i wykonał lot trasą oficjalnie zgłoszoną przez Steve'a. Spisał się doskonale. Przez połowę drogi do Freeport utrzymywał pułap sześciu tysięcy stóp, a następnie maksymalnie obniżył lot, zrzucił do wody plastikowe elementy ze złomowanej kiedyś cessny, które wcześniej w tajemnicy dostarczył mu Steve. W ten sposób sfingował śmierć Steve'a i Cataliny. I wszystko się zgadzało, bo właśnie wtedy, według policji, samolot Steve'a zniknął z ekranów radarów. A zniknął dzięki temu, że znajomy pilot odbył swoją cessną drogę powrotną do Miami tuż nad powierzchnią oceanu, sporo przy tym ryzykując. Dwa samoloty cessna leciały więc w przeciwnych kierunkach. Gdy serwisy informowały o katastrofie i zaginięciu samolotu Steve'a w połowie drogi do Freeport, bohater tych newsów, niezauważony, leciał już w stronę Meksyku.

Steve podniósł maszynę i po przelocie na minimalnej wysokości nad zamieszkałym – głównie przez krokodyle – odcinkiem zachodniego wybrzeża Florydy, skierował się w stronę Zatoki Meksykańskiej. Przez długi czas leciał tuż nad oceanem, niewidoczny przez radary. Catalina, mimo ogromnego ryzyka całego przedsięwzięcia, zachowała spokój. Jeszcze nie wyzwoliła się z depresji po wydarzeniach w kinie. Śmierć Suzy, jej przyjaciółki, zadźganej nożem przez bandytę z gangu Roberto, przeraziła ją. Tragedia wydarzyła się na jej oczach. Miała pewność, że szok i uraz nią wywołany długo nie ustąpią.

Równomierny szum silnika samolotu i widok znikającego w oddali wybrzeża Stanów umocnił w Catalinie nadzieję na uwolnienie się od prześladowców. Steve z Cataliną obrali kierunek na wybrzeże Meksyku. Dystans blisko ośmiuset mil planowali pokonać w czasie poniżej siedmiu godzin. Pod warunkiem, że przeciwny, zachodni wiatr nie będzie zbyt silny. Paliwa w baku powinno wystarczyć na sześć godzin lotu, a zapas trzydziestu galonów w kanistrach na kolejne trzy.

Stop jego wspomnieniom zadała Catalina, która widząc ukochanego leżącego na tarasie i wpatrującego się nieobecnym wzrokiem gdzieś w ocean, zapytała:

– O czym tak rozmyślasz?

Steve, gdy zabrzmiał nad nim głos, drgnął cały – nie usłyszał jej kroków. Myślami był daleko, a szum oceanu dopełnił reszty. W jednej chwili porzucił rozważania o zapasach paliwa z dnia ucieczki cessną.

Catalina nieświadomie przerwała tok jego wspomnień o dalszym przebiegu lotu, stawiając przed nim tortille i półmisek z pieczoną cielęciną. Ulubione danie nie mogło czekać i Steve ochoczo chwycił sztućce.

Część trzecia

Michael wrócił do domu wyjątkowo wcześnie. Jego kochany brzdąc jeszcze spał – spojrzał z dumą na Malcolma. Zawsze patrzył na niego z przyjemnością. Emily donosiła ciążę, co było prawdziwym wyczynem. Tak duże dziecko to rzadki przypadek, ocenili lekarze z kliniki. Będzie z mojego syna kawał chłopa – pomyślał, czule całując jego włosy. Na buzi Malcolma gościł łagodny uśmiech, widać śnił o czymś miłym.

– Emily – oświadczył stanowczo Michael – porozmawiamy później, teraz zdrzemnę się z pół godziny, dzień był wyczerpujący.

Poszedł do swojego gabinetu, położył się na kanapie, głowę wsparł na poduszce i zasnął natychmiast. Gdy po niemal godzinie ocknął się, dochodziła już szósta. Leżał jednak dalej – myśli toczące się jak lawina opanowały jego umysł. Dotyczyły relacji z mafią, które determinowały los jego, Malcolma i Emily. Miał świadomość, że spełnianie wymagań bossów przychodzi mu z coraz większym trudem. Wie za dużo, o wiele za dużo, przez co żyje w wielkim stresie. Już nie cieszą go ogromne zarobki, boi się. Powoli dojrzewa w nim plan ucieczki od tego wszystkiego – jednak wie, że niełatwo będzie tego dokonać. Jest nieustannie obserwowany. Na dodatek Frank wprowadził do jego biura nowego prawnika – Margaret. Jest sprytna i już poznała niemal wszystkie sprawy kancelarii. Szpieguje go, to jasne.

Michael musi uzyskać wsparcie kogoś z zewnątrz, kto jest poza ich wiedzą i zasięgiem. Tu, na miejscu, nie może liczyć na Teda, choć ten ma wobec niego dług wdzięczności. Ma z nim szyfrowany kontakt. Są z Jennifer bardzo daleko od Nowego Jorku, więc na ich rewanż nie można liczyć.

Ostatnio bossowie polecili Michaelowi, by prowadził sprawy wobec kilku agentów nieruchomości, którzy nie wywiązali się z cichych umów. Na polecenie mafii lokowali wyselekcjonowanych klientów w obiektach należących do gangsterów. Oficjalnymi właścicielami biur, lokali użytkowych i apartamentów byli figuranci, skromnie opłacani ludzie, dla których pieniądze od mafii były jedynym źródłem egzystencji. W wynajmowanych pomieszczeniach znajdowały się kamery i podsłu-

chy wbudowane i zainstalowane już na etapie budowy budynków – ich wykrycie praktycznie było niemożliwe.

To był sposób na zdobywanie bezcennych informacji o charakterze biznesowym i prywatnym. Mafia bezwzględnie wykorzystywała wiedzę zebraną w ten sposób. Jej szefowie, dysponując ogromnym majątkiem, dokonywali transakcji spekulacyjnych na wielką skalę. W najbardziej odpowiednim momencie sprzedawali lub kupowali na giełdzie akcje, uprzedzając planowane ruchy śledzonych najemców ich lokali. Nowojorska kamorra potrafiła scalić cząstkową wiedzę z różnych źródeł. Grupa zatrudnionych przez nich ekonomistów umiała przewidzieć krótkookresowe i oczekiwane w długim okresie trendy cen akcji, walut, zjawiska i tendencje na rynku nieruchomości. Ba, nawet sama kreowała giełdowe niespodzianki na rynkach. To nie była banda, szajka czy klan, a coś znacznie potężniejszego, raczej kamaryla, lobbująca w kręgach władz miasta, stanu, a może i gdzieś wyżej.

Michael przygotowywał treść wielu umów kupna-sprzedaży firm i nieruchomości, mając precyzyjnie ułożone plany dalszych transakcji. Niemal bezpośrednio po zakupie przenosił własność spółek, parceli i posiadłości na kolejne podmioty, skutecznie uniemożliwiając dochodzenie praw przez tych, którzy byli poszkodowani.

Boję się wszczęcia procesów z agentami nieruchomości – pomyślał Michael, leżąc wciąż na kanapie. Dostawali niespotykanie wysokie prowizje. To może wyjść na jaw w trakcie procesów – w krótkim czasie dorobili się niebotycznych majątków, stanowiących wielokrotność ich oficjalnych przychodów. Michael był przekonany, że upieranie się przez Franka, by pozba-

wić agentów praw zawodowych nie miało sensu i narażało, także Michaela, na wielkie ryzyko. Jego stanowcze próby nakłonienia mocodawców do zmiany tej decyzji spełzły na niczym.

Kiedy doszło do tajemniczego zniknięcia dwóch agentów, z którymi bezskutecznie negocjował, Michael uświadomił sobie, że jest spore prawdopodobieństwo, że wkrótce i jego spotka taki sam los. Jego wiedza o interesach mafii była rozległa i sięgała bardzo daleko. Kilkuletnia działalność wyposażyła go w znajomość wielu szczegółowych zagadnień i obszerną bazę danych. Ogromu zadań, które spełnił, nie powstydziłaby się kilkunastoosobowa grupa. To nie mogło dłużej trwać. Od chwili uświadomienia sobie stopnia zagrożenia jego umysł, przyzwyczajony do stresu, zaczął pracować ze zdwojoną energią. Tym razem chodziło o ratunek dla niego i najbliższych – nie mógł popełnić błędu. Jego poprzednik, wytrawny żeglarz, zaginął w trakcie samotnego rejsu po Wielkich Jeziorach. Był przekonany, że nie był to nieszczęśliwy wypadek. Michael metodycznie przygotowywał plan, którego założeniem było wyrwanie się spod skrzydeł mafii. Było oczywiste, że okoliczności zdarzenia, które w związku z tym nastąpi, muszą układać się tak naturalnie, by nikt, nawet Emily, nie miał podstaw do jakichkolwiek domysłów. Jeśli będzie to ucieczka zakamuflowana pod pozorem zwyczajnej podróży lub inny zakonspirowany blef, nikt nie może nabrać żadnych podejrzeń.

Część czwarta

Michael spał w swoim gabinecie, a Emily obserwowała Malcolma, który po wypiciu soku smacznie zasnął. Bardzo pragnęła drugiego dziecka. Po jej szczęśliwym uratowaniu, podczas

spotkania w szpitalu z Michaelem obiecała sobie, że rzuci biznes. Aby nie byli tylko obok siebie, ale naprawdę razem. Teraz pracowała na stanowisku doradcy – zdalnie kontaktując się z firmą. Intuicja podpowiadała jej, że każde odejście z pracy może być bezpowrotne. To nie jest sprzeczne z przyrzeczeniem, które sobie złożyłam – uznała. Pracując na komputerze w domu i opiekując się Malcolmem, nie musi rozstawać się z pracą. Dam chyba radę kontynuować tę pracę, nawet mając dwójkę dzieci – pomyślała. W firmie ceniono ją, czego dowodem były nagrody, premie i bonusy. Większość czasu spędzała w domu z Malcolmem, a w firmie zjawiała się sporadycznie, zwykle w przededniu większych transakcji. Malcolm zostawał z Ann. Emily nie mogła zrozumieć, dlaczego nie mają gosposi i wciąż tylko jedną opiekunkę. Ann była dziewczyną z Illinois. Znalezienie pracy w Nowym Jorku uważała za prawdziwy cud. Emily toczyła z Michaelem spór o gosposię – jak dotąd bez efektu. Nie mogła wiedzieć, jakie intencje nim kierują. A on wciąż nie chciał ujawniać swojego statusu materialnego. W ostatnim roku skrupulatnie stronił od wszelkich ekstrawagancji, nawet pozbył się swojego ukochanego porsche. Od kilku lat jeździ tym samym autem – wysłużonym bmw.

Oprócz braku gosposi Emily nurtowała inna, znacznie poważniejsza sprawa. Miała świadomość, że nie powinna pozostawić bez wyjaśnienia zagadki swojego porwania. Uwięziona w domu na przedmieściu, zatopionym przez huragan, była bliska śmierci. Natrafili na nią złodzieje, którzy plądrowali opuszczony dom. Ocaliła życie przez przypadek. Pragnęła czuć się bezpiecznie i nalegała, by Michael przedstawił jej rzeczywiste okoliczności porwania. Z pewnością nie było ono wynikiem

nieporozumienia. Od porywacza usłyszała, że jej los zależy od Michaela, który – jeśli ją kocha i pragnie ocalić – z pewnością zrobi to, czego od niego żądają. Na zadane wprost pytanie, czy dla jej ratowania przekazał porywaczom oczekiwane przez nich informacje, odpowiedział wymijająco. Twierdził, że wspierający go detektyw poradził mu, by tego od razu nie robić. Nie mieli żadnych gwarancji, że bandyci dotrzymają słowa. Wydawało się nawet logiczne, że dla porywaczy bezpieczniejsze było zatarcie wszelkich śladów po Emily, bez narażania się na ryzyko składania przez nią obciążających zeznań.

Komentarz Michaela o zawodowej etyce – w kontekście ryzyka jej śmierci – Emily uznała za bulwersujący i świadczący o tym, że on jednak nie chce, albo z jakichś względów nie może wyjawić jej prawdy. Michael, niezwykle spięty i zestresowany, nerwowo reagował na jej dociekliwe pytania. Mimo tego wierzyła w dobre intencje swojego partnera. Rozsądku i logiki nigdy mu nie brakowało. Nastąpiła korzystna zmiana – Michael po pracy nie znikał jak kiedyś. Teraz wracał prosto do domu, do niej i Malcolma. Emily doszła do wniosku, że jej dalszy upór w dochodzeniu prawdy mógłby zniszczyć ich relacje.

Część piąta

Michael nie niepokojony przez Emily poszedł do kuchni i zrobił sobie cappuccino. Jego myśli wciąż biegły w jednym kierunku. Fakt ukrycia przed Emily zakończonego tragicznym zdarzeniem jego związku z Suzy uznał za prawdziwe zrządzenie losu. I ta sprzyjająca okoliczność utwierdzała go w przekonaniu, że najlepiej będzie zniknąć ze Stanów, by zerwać i tę nić, wiążącą go z przeszłością. Jeśli zachowa przy tym choćby

część zgromadzonych aktywów, o dostatni byt on i Emily nie będą musieli się martwić.

Michael na spotkanie z Patrickiem Hendersonem umówił się na dalekim przedmieściu. Chcąc uniknąć asysty Franka, nie zabrał telefonu. Przeszedł przez zaplecze sklepu i wyszedł drugim wyjściem na inną ulicę. Wiedział, że każde zniknięcie z oczu mafii naraża go na podejrzenia i grozi jej bezwzględną reakcją. Czasu miał niewiele. Patrick odradził mu wariant potajemnej ucieczki ze Stanów. Wydał mu się zbyt trudny do przeprowadzenia. Patrick nie był w stanie jej zorganizować, chodziło nie o jedną osobę, a o rodzinę. Poza tym obaj zgodnie uznali, że Emily nie powinna mieć żadnych podejrzeń. Konieczność nagłego zniknięcia wiązałaby się z jej pytaniem o przyczyny i pogodzenia się ze świadomością pobytu do końca życia gdzieś na antypodach, daleko od Stanów. Byłoby to ryzykowne – Michael nie był w stanie przewidzieć jej reakcji. Postanowili wraz z detektywem nie brać takiego wariantu pod uwagę. Innym rozwiązaniem, które Michaelowi wydało się znacznie lepsze, był oficjalny wyjazd na wakacje – i nagłe zniknięcie w odległym miejscu poza Stanami.

Osobnym problemem były transfery Michaela z ukrytych, prywatnych kont. Tę operację prowadził już od roku. Nie chodziło o pomnażanie majątku, ale ulokowanie go bez większych strat w bezpiecznych miejscach, o których wiedział, że nie utracą statusu rajów podatkowych. Wciąż zaciera ślady transakcji. Uznali z Patrickiem, że te największe operacje i ucieczka powinny nastąpić w okresie, gdy czujność i uwaga wszystkich będzie zmniejszona. Idealnym momentem byłby okres zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Wtedy ludzkie migracje

są największe i łatwiej zatrzeć za sobą ślady. A w krajach latynoskich i innych miejscach globu nastanie szalony karnawał.

O drugim spotkaniu z Patrickiem nawet nie mogło być mowy. Wszystko należało uzgodnić teraz. Patrick zapewnił Michaela, że wkrótce otrzyma oficjalną ofertę z biura podróży Liberty Travel. Potwierdzi ją i powiadomi ludzi Franka. Podczas międzylądowania podejdzie do nich człowiek Patricka – Michael, Emily i Malcolm z nowymi dokumentami polecą w kierunku, który będzie prawdziwym celem ich podróży. Do tajnego miejsca, gdzie wszystko będzie przygotowane na ich pobyt. Dokumenty, karty i komputery muszą mieć w bagażu podręcznym. Walizki z pozostałymi rzeczami pozostaną w samolocie, do którego już nie wrócą.

Jeśli nikt w okresie przed wylotem nie dostarczy Michaelowi nowych informacji, będzie to oznaczać, że wszystko jest załatwione i nie muszą się ze sobą kontaktować. Michael wyściskał Patricka – obydwaj zdawali sobie sprawę, że jeśli kiedykolwiek się spotkają, może to nastąpić za kilka lat.

Część szósta

Steve po posiłku położył się na tarasie, a Catalina zabrała ze stołu naczynia i poszła do kuchni. Uzgodnili, że to on później zrobi zakupy w pobliskim markecie z myślą o jutrzejszym żeglowaniu z Sebastianem i Antonią.

Mógł powrócić myślami do pamiętnego dnia, gdy siedział za sterami cessny i razem z Cataliną lecieli ku nieznanemu przeznaczeniu. Pierwsze trzy godziny lotu przebiegły bez problemów. Silnik pracował miarowo, zgodnie z oczekiwaniami wiał lekki, przeciwny wiatr. Steve utrzymywał kurs na zachód, biorąc po-

czątkowo za cel Tampico. Mieli wyłączone wszystkie urządzenia, które mogłyby zdradzić trasę lotu. Pogoda stopniowo pogarszała się. Na niskim pułapie pojawiła się warstwa chmur, która coraz bardziej utrudniała widoczność. Był początek listopada – o tej porze roku aura mogła płatać różne figle, z nagłym huraganem włącznie. Od czwartej godziny lotu musiał zdawać się niemal wyłącznie na wskazania przyrządów. Steve postanowił zmienić kierunek na południowo-zachodni i skierował samolot ku brzegom Jukatanu. Obniżył wysokość, by dolatując w okolice półwyspu, zniknąć z ekranów radarów. I wtedy, podczas pracy silnika na niższych obrotach, zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Motor przerywał pracę, co mogło oznaczać chwilowe braki dopływu paliwa. Przyrządy nie wykazywały awarii, poziom paliwa w zbiornikach był prawidłowy, lecz samolot stale obniżał pułap. Wiedział , że prawdopodobnie nie poradzi sobie z usterką. Ocenił sytuację jako krytyczną i uprzedził Catalinę, że jeśli problemy nie ustaną, czeka ich awaryjne wodowanie. Odległość do linii brzegowej wynosiła ponad sześćdziesiąt mil. Z mapy wynikało, że najbliższą miejscowością była Merida. Silnik prychał, a samolot wciąż zmniejszał prędkość i wysokość lotu.

Na sześciuset metrach wydobyli się z warstwy chmur i ujrzeli taflę wody. Catalina zachowywała spokój. Na polecenie Steve'a wyciągnęła z ogona cessny ponton i umieściła go przy drzwiach. Oboje założyli kamizelki ratunkowe. Steve uważnie spenetrował horyzont, ale w zasięgu wzroku nie dostrzegł żadnej jednostki pływającej. Wiedział, że wodowanie jest skrajnie trudnym manewrem, a wciągnięte podwozie spowoduje, że całą siłę uderzenia o wodę przejmie kadłub. Skierował samolot pod wiatr i do minimum zmniejszył obroty. Ograniczył

i tak wciąż malejącą szybkość, zachowując ją nieco powyżej prędkości przeciągnięcia. Lecieli zaledwie kilka metrów nad wodą. Steve z napięciem obserwował jej powierzchnię, chcąc uniknąć kolizji z grzbietem jakiejś większej fali. Wcześniej oboje zapięli pasy i pozbyli się wszystkich ciężkich przedmiotów, także zapasowych kanistrów z paliwem.

Gdy tuż pod samolotem przetoczyła się duża fala, samolot delikatnie musnął kadłubem wodę, raz i drugi. Zanim do reszty wytracił prędkość, Steve, zachowując wychylenie klap na poziomie kilkunastu stopni, zdążył lekko unieść dziób do góry. Tylna część samolotu zostawiła na wodzie prosty, pogłębiający się ślad. Samolot po krótkiej chwili całkowicie wytracił siłę nośną. Lot ślizgowy trwał zaledwie kilkanaście sekund. Dziób, obciążony silnikiem, uderzył w wodę. Szarpnięcie było gwałtowne, przez chwilę trwał ruch do przodu. W końcu opór wody spowodował, że ogon uniósł się w górę, a następnie bezwładnie opadł. Wodowali bardzo szczęśliwie i obeszło się bez kapotażu. Podłoga i kokpit pogrążały się w wodzie. Nie byli ranni, więc nie było chwili do stracenia. Odpięli pasy i opuścili siedzenia tak szybko, jak to możliwe. Steve przywiązał siebie i Catalinę do sznurów pontonu. Z trudem uporał się z drzwiami – w końcu szczęśliwie je odblokował i uchylił, pokonując duży opór wody. Znaleźli się poza cessną, kamizelki unosiły ich na rozkołysanej toni. Gdy ponton samoczynnie napełnił się powietrzem, Steve pomógł Catalinie przedostać się do niego, a następnie sam wciągnął się do środka. Przytulił ją mocno i z odległości kilkudziesięciu metrów obserwowali samolot. Woda wpływała do kadłuba przez uchylone drzwi. Jeszcze przez kilka minut samolot utrzymywał się na wodzie, po czym

wślizgnął się dziobem w toń. Zobaczyli uniesiony ogon, stopniowo znikający w oceanie. Resztki powietrza jeszcze przez jakiś czas ukazywały się na jego powierzchni. Zapanowała cisza.

Steve leżąc na tarasie, zorientował się, że czas przerwać autoretrospekcję. Czekały go zakupy na jutro, a słońce zanurzyło się za linią horyzontu. Wstał, zabrał dokumenty, kluczyki i poszedł do garażu. Catalina jeszcze krzątała się w kuchni.

– Wrócę za jakąś godzinę, napijemy się wtedy herbaty, ok? – mówiąc te słowa, pomyślał o czymś więcej, widząc jej zgrabną postać i nasmarowane oliwką ciało o naturalnej, ciemnej karnacji, połyskujące w promieniach zachodzącego słońca.

Część siódma

Po powrocie z marketu Steve poczuł znużenie, bez namysłu wstawił do lodówki wszystkie zakupy, rezygnując z dokonywania jakiejkolwiek selekcji. Paście do zębów i mydłu krzywda się nie stanie. Wrócił na taras i wyciągnął się na materacu. Słonce zniknęło i upał przestał dokuczać. Steve przymknął oczy i po chwili powrócił do przebiegu tamtych dramatycznych zdarzeń. Poszczególne sceny pojawiały się jak w stop-klatce.

Nie wpadł w panikę. Sprawnie wykonał wszystkie manewry. Mieli z Cataliną dużo szczęścia, że podczas wodowania żadne ze skrzydeł nie zahaczyło o wodę. Działające wówczas siły okazałyby się zbyt duże, a boczne uderzenie byłoby bardzo mocne. Nawet gdyby je przeżyli, to najprawdopodobniej w wyniku odniesionych obrażeń nie byliby w stanie wydostać się z wraku tonącego samolotu.

Teraz mogli jedynie czekać na jakąś pomoc. W pontonie mieli dwie race, których zadaniem było wskazanie ich pozycji

przepływającym jednostkom. Większe fale przelewały się przez ponton. Steve starał się usuwać z niego wodę. Wciąż wiał południowo-zachodni wiatr, który powodował, że oddalali się od wybrzeża. Po godzinie, gdy ponton znalazł się na grzbiecie dużej fali, dostrzegli na horyzoncie ciemny punkt. Było za daleko, by ocenić co to za jednostka, jej wielkość i kierunek, w jakim płynie. Nadzieja wkrótce zgasła, gdy punkt, który przez jakiś czas pozostawał na horyzoncie, nagle zniknął. Mimo wczesnego popołudnia widoczność nie była najlepsza. Nad wodą unosiła się lekka mgła. Emocje i zmęczenie dały znać osobie. Catalina pragnęła choć na chwilę zasnąć, ale rozkołysany ocean na to nie pozwalał. Steve bez przerwy starał się usuwać wodę z pontonu. Niespodziewanie, w niewielkiej odległości od nich, ukazał się dziób jakiejś jednostki, która zmierzała dokładnie w ich kierunku. Steve chwycił pistolet i wystrzelił w górę rację – na szczęście odpaliła i poszybowała wysoko, ciągnąc za sobą pióropusz czerwonego dymu. Jeśli ktokolwiek siedział za sterem tego statku, musiał ich zobaczyć.

Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, gdy usłyszeli przeciągły ryk syreny. Zostali zauważeni. Ich ciałami wstrząsały dreszcze, efekt zmęczenia, emocji i radości z bliskiego ocalenia. Nieduży statek przesuwał się obok nich, stopniowo zwalniając swój bieg. Dostrzegli grupkę kilku ludzi, którzy przyglądali im się z pokładu. Dwaj pomachali rękami. Steve ocenił, że jednostka wygląda na przestarzałą. Statek wolno reagował na komendę „maszyny stop". Przepłynął obok nich i zatrzymał się dość daleko. Mgła wciąż utrudniała widoczność. Komendy „cała wstecz" z pewnością nikt nie wydał, bo panowała cisza. Czyżby kapitan rozważał sens udzielenia im pomo-

cy?! Próbowali podpłynąć do statku, ale bez widocznego efektu. Jeszcze przez dobre dwadzieścia minut fale szarpały pontonem, zanim opuszczono szalupę. Trzej ludzie z łodzi byli Latynosami o ciemnej cerze. Poza powitalnym: hola! – nie odezwali się więcej. Mieli na sobie mocno sfatygowane kurtki z kapturami, spłowiałe dżinsy i znoszone adidasy. Catalinę, Steve'a i ponton wciągnięto na pokład. Poprowadzono ich do kubryku w części dziobowej. Posłusznie położyli się na wskazanych miejscach, przykryto ich kocami i podano herbatę z rumem.

– Kapitan później..., kapitan później z wami porozmawia – usłyszeli łamaną angielszczyzną.

Przyniesiono ich rzeczy z pontonu – nie brakowało niczego. Kamizelki z dolarami w woreczkach wszytych i wklejonych między ich strukturalne warstwy były nietknięte. Steve powiedział do Cataliny: chyba mieliśmy szczęście. Przez jej twarz przebiegł uśmiech. Poczuli wielką ulgę. Spali już, gdy motory wprawiły statek w wibracje. Gdy dziób zaczął coraz energiczniej przebijać się przez fale, narastał szum rozbryzgiwanej wody.

Obudził ich schludnie ubrany mężczyzna o nieco posiwiałych kręconych włosach. Z trudem otworzyli oczy. Nie wiedzieli, ile czasu upłynęło. Zmrok rozpraszały jaskrawe promienie wschodzącego słońca. Przespali więc wieczór i prawie całą noc. Zaprowadzono ich do mesy. Przy stole siedział przystojny mężczyzna, wyglądem przypominający Banderasa. Gdy usiedli naprzeciwko, uważnie im się przyglądał, po czym płynną angielszczyzną oświadczył:

– Płynę do Punta Gorda w Belize. Macie więc przed sobą co najmniej trzy do pięciu dni podróży. Jeśli nie chcecie mówić, co robiliście w pontonie prawie siedemdziesiąt mil od Meri-

dy, dopytywać się nie będę. Za przewóz musicie zapłacić, mam nadzieję, że macie czym. Pięćdziesiąt dolarów za dzień za was dwoje. Dostaniecie trzy posiłki na dobę, kawę, herbatę, wodę, napoje, a do lunchu wino albo piwo. Mam na statku jedną zapasową małą kajutę w części rufowej. Będziecie moimi sąsiadami. Obejrzałem wasze paszporty, dobrze, że nie przemokły! Byliście przygotowani na najgorsze, to jasne, ale wiedzcie, że i tak dopisało wam wielkie szczęście. Po drodze z Tampico wyjątkowo zmieniliśmy trasę i zawinęliśmy do Veracruz. Tym razem płyniemy innym kursem niż zwykle. Gdyby nie to, do naszego spotkania nigdy by nie doszło.

Ślepy los rzucił Steve'a i Catalinę do Belize.

Długo już tu jesteśmy – pomyślał Steve na koniec rozmyślań i przeciągnął się na materacu. – Szkoda, że nie ma szans na spotkanie z Michaelem.

Część ósma

Michael trzy dni po rozmowie z Patrickiem otrzymał ofertę z biura podróży Liberty Travel. Emily na wiadomość o planach wakacji pod palmami zareagowała niekłamaną radością. Należał się im wszystkim prawdziwy odpoczynek. O planowanym wyjeździe Michael powiadomił też ludzi Franka. Tajny mocodawca ku zaskoczeniu Michaela nie wyraził sprzeciwu.

Margaret przejęła od Michaela bieżące sprawy. Nie wątpił, że będzie w stanie poprowadzić je samodzielnie. Z grafiku rozpraw sądowych wynikało, że jedna z nich odbędzie się w styczniu podczas jego urlopu. Michael uzgodnił z Margaret stanowisko kancelarii. Emily powiadomiła swoją firmę, że nie weź-

mie udziału w imprezie wigilijnej, nie będzie też podczas urlopu prowadzić spraw firmowych. Skontaktuje się z biurem natychmiast po powrocie z wakacji. Michael wysłał do Teda szyfrowaną wiadomość, że przez jakiś czas nie będzie prowadzić korespondencji, dając mu oględnie do zrozumienia, że szykują się zmiany. Polecił mu czekać cierpliwie na następny kontakt.

Część dziewiąta

Frank, po zabójstwie Suzy przez ludzi Roberto i zagadkowym wypadku lotniczym Teda z Jennifer, zdecydował o podwojeniu liczby obserwatorów Michaela. Zamontowano kamery i pluskwy w jego kancelarii oraz apartamencie. Doszedł do wniosku, że nadchodzi pora, by się z nim pożegnać. Poszukał i znalazł mu nową wspólniczkę – młodą, zdolną i z pozoru naiwną. Zaproponował Michaelowi Margaret. Postanowił, że to ona docelowo przejmie kancelarię Michaela – jeśli nie będzie popełniać błędów. „Masz nową wspólniczkę, dziś w południe odwiedzi Cię Margaret" – usłyszał Michael przez telefon w rozmowie z człowiekiem Franka.

Na polecenie Franka jego ludzie nieustannie kontrolowali zawartość laptopa i połączenia telefoniczne Michaela. Analizowali również, czy ktoś z ludzi Roberto pozostał w mieście, kto mógł znać ich sprawy. Należało wyeliminować zbędnych świadków.

Margaret spisywała się lepiej, niż Frank mógł się spodziewać. Przez pierwszy rok dyskretnie inwigilowała Michaela i gromadziła wszystkie dane na jego temat. Teraz Frank wiedział o nim wszystko. Początkowo uznał, że wypadek samolotowy Teda mógł być zasługą ludzi Roberto. Jednak nie uwierzył do końca w ta-

kie zrządzenie losu. Wszystko stało się jasne, gdy Margaret odkryła szyfrowaną korespondencję Michaela z Tedem. A więc to Michael pomógł mu sfingować wypadek samolotu i na bieżąco wyposaża jego i Jennifer w środki do życia. Rozwiązanie tej zagadki definitywnie przesądziło kwestię dalszych losów Michaela.

Od tego momentu ludzie Franka skrupulatnie rejestrowali całą treść dialogu Michaela z Tedem. Z ostatniej wymiany zdań pomiędzy nimi wynikało, że szykuje się jakaś poważna zmiana. To oznaczało, że Frank musi natychmiast położyć kres współpracy z Michaelem. Było też oczywiste, że detektyw Patrick Henderson wspiera Michaela. Przez informatorów z nowojorskiej policji ludzie Franka ustalili , że to z Patrickiem Hendersonem Michael spotyka się w trudnych dla siebie momentach. Śledzenie Patricka pozwoliło ustalić fakt ich rozmowy sprzed kilku dni. Niemal zaraz po niej Michael zgłosił swój urlop. W domu Franka odbyła się narada, podczas której zapadło wiele trudnych, strategicznych i personalnych decyzji. Najtrudniejszą z nich, ale konieczną, była pilna, częściowa likwidacja interesów mafii w Nowym Jorku i przeniesienie ich do Kalifornii.

Część dziesiąta

Pogoda w Nowym Jorku była okropna. Padał deszcz ze śniegiem i wiało. Perspektywa wyjazdu oznaczała dla Michaela rozstanie ze wszystkim, czym dotąd żył, z pracą, egzystencją w wielkiej metropolii, ale również strasznymi doświadczeniami i wspomnieniami. Do odlotu pozostawało cztery dni. Byli z Emily spakowani. Zdążyli się spotkać z dziennikarzem Maxem Willerem i kilkoma przyjaciółmi, co w okresie przed-

świątecznym wcale nie było łatwe. Michael miał wyrzuty sumienia, że Emily nie wie, jak poważne zmiany ją czekają. Nie widział innego sposobu, by być razem, a to jej przecież obiecał.

O osiemnastej, gdy Michael właśnie zamierzał zamknąć kancelarię, zadzwonił telefon. Numer nie był mu znany, ale cofnął się do holu, położył teczkę, usiadł i odebrał połączenie.

– Michael! – usłyszał niewyraźny głos w słuchawce. W tle słychać było odgłosy ulicy.

– Tu Jeremy! Patrick nie żyje! Zamordowali go! Uciekaj, Michael, z tobą zrobią to samo! Wszystko nieaktualne, schowaj się przed nimi.

Michael usłyszał odgłos odkładanej słuchawki. W jednej chwili świat zawalił mu się na głowę. To koniec – pomyślał. Wiedzą o wszystkim. Nie mam dokąd uciekać. Pewnie wiedzą o Tedzie. Usiadł i przez laptopa przekazał mu krótką wiadomość. „Nie ucieknę przed nimi. Patrick Henderson nie żyje. Myślę, że jesteście w niebezpieczeństwie". Zwlekał z wyjściem przez chwilę, ale nie doczekał się odpowiedzi. Zamknął biuro i postanowił jechać na policję. W tak spektakularnej aferze jedynie status świadka koronnego mógł go ocalić. Przestał myśleć o sobie. Co stanie się z Malcolmem i Emily – rozważał. Dobrze, że nigdy nie wyjawiłem jej tajemnic kancelarii. Będzie najlepiej, jeśli natychmiast polecą do Fresno. Może tam będą bezpieczni – pomyślał. I zawsze jest tam ciepło. Minął skrzyżowanie i znalazł się na mniej zakorkowanej arterii. W tylnym lusterku dojrzał samochód, który wydał mu się znajomy. Gdy auto jadące za nim zwolniło, gwałtownie przyspieszył. Wtedy zobaczył przed sobą biały, oślepiający błysk.

Relacje świadków zdarzenia pokrywały się. W samochodzie bmw nastąpiła eksplozja tak silna, ze szczątki pojazdu znajdowano w odległości ponad stu metrów od wybuchu. Wrak auta spłonął doszczętnie. Szczątki samochodu uszkodziły kilkanaście aut, których kamery zarejestrowały zdarzenie. Na szczęście w okolicy eksplozji nie było przechodniów.

Część jedenasta

Steve i Catalina punktualnie zjawili się na przystani. Z nowymi znajomymi wypłynęli zaraz po śniadaniu. Od dalszej rafy, do której należało popłynąć przez wąski przesmyk, dzieliły ich dwie mile. Sebastian i Antonia zachwalali podwodny świat tej oryginalnej, niespotykanej rafy koralowej. Łódź szczęśliwie ominęła zdradliwe miejsca. Rafa rzeczywiście prezentowała się wspaniale. Nad nią pływały ryby mieniące się wszystkimi kolorami. Pod pokładem cała czwórka wypiła po dwa piwa oraz zjadła wyśmienite zakąski z ryby. Po dwóch godzinach Catalinę ogarnęło znużenie, więc położyła się w kabinie i zasnęła. Steve wylegiwał się na pokładzie, delektując się bryzą od strony oceanu. Nagle poczuł na sobie Sebastiana, który usiadł na nim, blokując mu ręce. Antonia wepchnęła mu coś do ust, przez co nie mógł krzyczeć. Zaskoczony Steve nie zdążył go zrzucić, gdy poczuł straszliwe ukłucie w klatkę piersiową. Próbował się wydostać, ale Sebastian – dwumetrowe, ciężkie chłopisko – skutecznie go przytrzymywał. Szarpanina trwała może niecałą minutę. Steve leżał w bezruchu i nie oddychał. Sebastian założył mu maskę do nurkowania oraz płetwy i zrzucił z pokładu głową w dół.

Z Cataliną mieli o wiele mniejszy problem. Antonia zrobiła jej zastrzyk podczas snu. Długo się nie szarpała. Jej ciało w masce i płetwach podążyło za Steve'em. Sebastian i Antonia spalili opakowania po Pankuronium, odczekali dwadzieścia minut, po czym przez telefon wezwali pomoc. Zanim ekipa ratunkowa dotarła do łodzi, upłynęło kolejne trzydzieści minut. Nurkowie wydobyli z wody martwe ciała kobiety i mężczyzny. Podjęto akcję reanimacji, ale bez skutku. Ekipa ratunkowa zabrała zwłoki. Sebastian i Antonia wrócili na brzeg. Z ich zeznań złożonych na posterunku policji wynikało, że parę topielców poznali wczoraj, kiedy umawiali się na pływanie w okolicach rafy. Nie pamiętali nawet ich imion. Nie mieli pojęcia, czy umieją pływać, ale nie zdziwili się, jak z wprawą założyli płetwy oraz maski i skoczyli do wody. Antonia i Sebastian opalali się i słuchali muzyki. Gdy tych dwojga po piętnastu minutach nie było w pobliżu łodzi, zaniepokoili się. Wezwali pomoc.

Epilog

Frank, nie bacząc na traumę Emily, dostarczył jej w Wigilię, przez posłańca, niedużą przesyłkę. W środku znajdowały się trzy płyty video. Dwie z nich dokumentowały ognisty romans Michaela z Suzy. Filmy zostały nagrane w sypialni apartamentu, który Michael dla niej wynajmował. Trzecia płyta zawierała zapis jej pogrzebu. Michael brał w nim udział, znajdując się na czele konduktu, a w jego trakcie przebywał zawsze wśród członków najbliższej rodziny.

Winda

Część pierwsza

Widok palm przed najwyższym drapaczem Sacramento podziałał na Mitcha odprężająco. Ostatni urlop z Cindy na Karaibach był udany. Nie samą pracą człowiek żyje, szkoda, że akurat w sobotę muszę oddać artykuł – pomyślał. Skończył palić papierosa na zewnątrz budynku i wszedł do ogromnego lobby, przeszklonego na wysokość kilku pięter. Jak zwykle pod koniec dnia ten sam facet polerował marmurową posadzkę na parterze, omijając odgrodzoną sznurami kopię dyliżansu Wells, Fargo & Company – U.S. Mail. Zegar w holu pokazywał szesnastą dwadzieścia. Mężczyzna i kobieta siedzący w recepcji toczyli ze sobą chyba niezbyt interesującą rozmowę, ziewali co chwila. Mitch przyspieszył kroku, by wsiąść do windy, której wypolerowane nierdzewne drzwi już się zamykały. Klepnął w przycisk umieszczony pośrodku wielkiego podświetlonego kółka i wszedł do środka.

Ruchome ścianki zamknęły się bezszelestnie i winda ruszyła z dużym przyspieszeniem. Czterech pozostałych pasażerów, podobnie jak Mitch, podążało na najwyższe piętra. Po drodze, na trzynastce, wsiadła jeszcze jedna osoba. Na prostokątnym elektronicznym wyświetlaczu pojawiały się numery kolejnych kondygnacji. Gdy wyświetliło się „20", usłyszeli huk i odczuli silne wstrząsy. Winda stanęła gwałtownie, zgasło światło i za-

brzmiał dzwonek alarmowy. Mitch niemal od razu zorientował się, że to nie jest zwykła awaria. Wstrząsy, przeciągły huk i kołysanie wciąż trwały, pomimo że kabina nie przemieszczała się do góry. W jej dach uderzały jakieś przedmioty, powodując dodatkowe drgania. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, Mitch odniósł wrażenie, że elewator nie znajduje się w pionie. Po chwili miał pewność, że nieznana potężna siła naruszyła konstrukcję szybu. Przyciski nie działały. Gdy na ściankach pod sufitem zaświeciły się światła awaryjne, mógł dostrzec współpasażerów, na których podczas jazdy w ogóle nie zwracał uwagi. Zobaczył dwóch młodych mężczyzn – jednego w czarnym swetrze, drugiego w brązowej marynarce – i starszego pana w długim ciemnym płaszczu, z dużą teczką w ręku. Obok nich stały blade ze strachu dwie młode kobiety, blondynka i brunetka. Wszyscy pasażerowie odruchowo sięgnęli po telefony. Blondynka zawołała:

– O mój Boże, zostawiłam komórkę na biurku!

Cztery osoby włączyły swoje aparaty. Wstukiwali numery policji i pomocy awaryjnej podane na metalowej tabliczce informacyjnej. Mitch nie wyjął telefonu, uznając, że jego współpasażerowie i tak narobią niemałego szumu. W trakcie oczekiwania na połączenia usłyszeli kolejny silny odgłos uderzenia w dach. Winda drgnęła i gwałtownie opadła w dół. Może nie więcej niż o metr, ale kobiety wydały okrzyk strachu, który przyprawił Mitcha o dreszcz. Coś urwało się w szybie i spadło im niemal na głowę. Stało się jasne, że nie ma żadnej pewności, czy wytrzymają automatyczne blokady spowalniające i hamulce zapobiegające upadkowi kabiny. Dopuszczalna ilość dwudziestu osób – wypisana na metalowej tabliczce – nie

była przekroczona. Było ich zaledwie sześcioro. Upuszczone przez kogoś tik-taki potoczyły się po podłodze w róg windy. Żadna z osób nie nawiązała kontaktu telefonicznego. Wszystkie próby spełzły na niczym, bo sieci, które obsługiwały telefony, były nieosiągalne. Mitch pomyślał, że stało się coś znacznie poważniejszego niż zwykłe uszkodzenie windy. Do kabiny nie dochodziły żadne odgłosy. Może wybuchła bomba użyta w zamachu – spekulował Mitch. Zgasło oświetlenie awaryjne i ponownie wnętrze windy pogrążyło się w ciemności. Na dodatek do kabiny przedostało się nieco pyłu, który na chwilę utrudnił oddychanie.

– Proszę państwa o zachowanie spokoju! – powiedział głośno Mitch. – Nie wyładowujcie telefonów, skoro w tej chwili nie ma zasięgu. Zaraz sprawdzę mój, może działa.

Zasięg okazał się bardzo słaby. Wybrał numer swojego brata – Artura. Cindy była w innej sieci i z nią z pewnością nie było łączności. Artur miał aparat w tej samej sieci, tyle że nie mieszkał w Sacramento, a na przeciwległym końcu Stanów – na Wschodnim Wybrzeżu. Mitch szybko policzył, że jest tam pół do ósmej i brat powinien już być w domu. Po chwili usłyszał w telefonie jego głos:

– Mitch! To ty? Gdzie jesteś?!

– Tak, Artur, to ja. Wyobraź sobie, że siedzę w unieruchomionej windzie, w biurowcu, gdzie mieści się moja redakcja. Utknęliśmy około dwudziestego piętra. Mamy awarię. Dziwne, spośród pięciu aparatów czynny jest tylko mój. Zadzwoń proszę na policję w Sacramento, niech nas wreszcie wyciągną. W kabinie nie działa żaden przycisk, nawet ten z alarmowym połączeniem telefonicznym! Słyszysz mnie?

– Mitch?! Mitch! Cieszę się, że żyjesz! Coś przerywało, nie dosłyszałem – gdzie jesteś? Nie słyszę... Słuchaj, jeśli mnie słyszysz, stało się coś strasznego! Na południe od Salt Lake City uderzyła w ziemię wielka asteroida! Nie ma już tego miasta, nawet Las Vegas mocno ucierpiało. Centrum Sacramento jest w ruinie, cudem działa twoja sieć. Dzwonią wszyscy i... dodzwonić... policję.

Mitch słyszał przez chwilę trzaski w słuchawce, a po nich nastała cisza. I jego sieć przestała działać. Podczas rozmowy z Arturem w słabej poświacie emitowanej przez ekran aparatu widział wpatrujące się w niego napięte twarze pozostałych pasażerów. Przez krótką chwilę zastanawiał się – co ma im powiedzieć, by nie wywołać paniki. Artur pewnie nie usłyszał, gdzie jestem – pomyślał. Wielka katastrofa. Poszkodowanych są miliony, cóż więc znaczy los kilku osób uwięzionych w jakiejś windzie. Mitch miał wątpliwości, czy głośne wzywanie pomocy ma jakiś sens. Pierwsza myśl po awarii, że mieli pecha, bo nieszczęście spotkało ich akurat w dzień weekendowy i zacznie się szukanie konserwatora, nie miała już znaczenia. Zdał sobie sprawę, że być może w pobliżu nie ma nikogo żywego, a oczyma wyobraźni zobaczył, jak w przestrzeni sterczą ocalałe fragmenty wieżowca, także żelbetowe, naruszone i niestabilne ściany sąsiadujących ze sobą szybów windowych.

– Co pan usłyszał? Co powiedział pana brat? Zadzwoni po pomoc? – pytali wszyscy, przekrzykując się nawzajem.

– Proszę państwa, zachowajcie spokój! – zaapelował ponownie Mitch. – Zaraz powiem, ale pamiętajcie, panika tylko nas pogrąży, musimy zachowywać się racjonalnie.

– Żyjemy, a już to daje nadzieję. Wasze telefony nie działają, być może chwilowo. Poniżej Salt Lake City uderzyła wielka asteroida – tam już nie ma życia. Miała kilkaset metrów średnicy. W Sacramento zniszczenia są poważne. Zanim nadejdzie pomoc, może upłynąć dużo czasu. Najważniejsze, że służby ratownicze już o nas wiedzą. Słyszeliście, że przekazałem bratu wiadomość, czekajmy na pomoc. Musimy być cierpliwi.

W kabinie zapanowała cisza. Wszyscy uświadomili sobie, w jak fatalnym znaleźli się położeniu. Mitch pracował dziś nad artykułem do poniedziałkowego wydania magazynu Business Week i miał w ciągu dwóch godzin uzgodnić jego tekst z naczelnym. Kogo teraz, w obliczu takiej tragedii mogłoby zainteresować to wydanie? – stwierdził z sarkazmem.

– Moja córeczka Britney jest z mamą, jak mam sprawdzić czy żyją?! – zawołała w przypływie rozpaczy blondynka w granatowym kostiumie i białej bluzce. Uporczywie wpatrywała się w świecący ekran telefonu Mitcha, który wzięła na chwilę. Popłakała się.

– Nie wytrzymam w tej klatce! – zawołała głośno.

– Niech pani nie krzyczy, nasłuchujmy, może ktoś nas zaraz odnajdzie, na pewno nas szukają – skomentował Mitch. Reakcja blondynki zaskoczyła wszystkich. Świadoma uwięzienia w małej, zamkniętej przestrzeni wpadła w klaustrofobiczną depresję. Położyła się na boku i podkurczyła nogi, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa. Mitch dyskretnie oświetlił ją telefonem, by ocenić sytuację. Leżała jak sparaliżowana i nie otwierała oczu.

– Jesteśmy uwięzieni w betonie, to pułapka bez wyjścia! Koniec z nami! – krzyknął młody mężczyzna w brązowej marynarce.

– Nie mamy jedzenia i wody! Moja dziewczyna wyjechała do Europy, nikt nie będzie mnie szukać, moi starzy nie żyją. Jasna cholera! Zdechniemy tu, jak Amelia Earhardt, bez kontaktu ze światem. Mamy tu dramat jak w World Trade Center – wiecie, że tam w windach zginęło dwieście osób?! Dookoła są pewnie zgliszcza, więc kto po nas przyjdzie?! Chcę zapalić papierosa, ale wiem, że mi nie pozwolicie, do pioruna!

Drugi z młodych mężczyzn przeklął szpetnie. A po chwili powiedział:

– Nie umówiłem się na weekend, bo planowałem się wyspać. Świat zbzikował – to kara dla ludzkości za dehumanizację! Pieprzone komputery nas nie ostrzegły! Mamy więc swoje kretyńskie halloween! Czujecie, że robi się coraz zimniej?! Za chwilę będziemy szczękać zębami!

Zrezygnowany usiadł na podłodze, oparł łokcie na kolanach i objął dłońmi opuszczoną nisko głowę. Po chwili odezwał się niespodziewanie do brunetki siedzącej obok niego:

– Pani Diano, mam na imię Alan. Od ponad roku widuję panią niemal codziennie. I marzę, by panią poznać.

Było ciemno, ale Mitch usłyszał, że kobieta siedząca obok tego faceta drgnęła i podciągnęła stopy ku sobie. Dało się zauważyć, że gość mówi ze ściśniętym z przejęcia gardłem, mimo tego kontynuował swoją wypowiedź:

– Kilka miesięcy temu, podczas jakiejś konferencji, nosiła pani przypięty identyfikator, stąd znam imię. Jestem panią zauroczony, ale przez nieśmiałość nigdy nie podszedłem, by

się przedstawić i porozmawiać. Jeśli teraz bym tego nie zrobił, byłbym największym frajerem i nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Mam tylko jedną prośbę, proszę mi obiecać, że jeśli ujdziemy stąd z życiem, skorzysta pani z mojego zaproszenia i pójdziemy razem na kolację do Kitchen Restaurant.

To ci dopiero historia, ciekawe co mu odpowie, pomyślał Mitch. Musiała walnąć asteroida, żeby facet zebrał się na odwagę.

– Alan, nie mówię nie, ale musisz powtórzyć zaproszenie, jak już będzie po wszystkim. Dla ułatwienia dodam, że lubię frezje – odpowiedziała Diana.

– W porządku Diana, umowa stoi – odpowiedział Alan z wyraźną ulgą.

Nie zwlekał z odpowiedzią, chłopu naprawdę zależy – uznał Mitch. Atmosfera stała się mniej napięta. Mitch był wdzięczny Dianie za tę odpowiedź i szczerze podziwiał, że zdobyła się na żartobliwy ton.

– Alan ma rację, to nie lato, na zewnątrz jest chłodno – stwierdził Mitch. Ten chłód może oznaczać jedno – przynajmniej część budynku nie istnieje, ogrzewanie i inne media nie działają, a do szybu windy wpada bezpośrednio powietrze z zewnątrz.

Wtedy po raz pierwszy odezwał się starszy pan. Mówił wolno i cicho, spokojnym tonem, czym zaskoczył wszystkich.

– Jestem dobrej myśli – oznajmił z przekonaniem. – Po pierwsze, żyjemy i nie jesteśmy ranni, więc póki co – nie jest źle. Żona będzie próbowała mnie odnaleźć. Córka i syn mieszkają na Wschodnim Wybrzeżu, z pewnością też będą mnie poszukiwać. Nie traćmy nadziei. Po drugie, przed chwilą zrobiłem zakupy w McDonald's. Nigdy tego nie robię podczas pra-

cy, więc traktujcie to jako dobry znak od losu. Planowałem zaraz ruszyć autem w dłuższą trasę. Jechałem tylko zabrać coś z biurka, wyłączyć sprzęt elektroniczny i zjechać do garażu.

– Proszę mi poświecić – poprosił i po chwili wyjął z teczki plastikową torbę wypełnioną fast foodem – były przysmaki z kurczaka, wołowiny i ryby. Nawet trzy chicken boxy, no i to, co najważniejsze – dwie butelki coca-coli. – Podzielimy się, jakoś przetrzymamy.

I zwracając się do Mitcha, powiedział:

– Proponuję, by pan i wszyscy państwo sprawdzali od czasu do czasu swoje sieci w telefonie. Jeśli któraś zadziała, miejmy przygotowany jeden najważniejszy numer, z którym chcemy się połączyć.

Część druga

Artur zastanawiał się, skąd dzwonił brat. Często pracował po południu w wydawnictwie, było prawdopodobne, że był tam w chwili tragedii. Śledził na CNN i przez internet widok centralnego dystryktu biznesowego miasta, prezentowany z dronów latających nad Sacramento. Ogrom zniszczeń przerażał. Uruchomiono kontakty telefoniczne – numery informacyjne i alarmowe oraz specjalne adresy mejlowe. Nieustannie zgłaszano zaginionych. Na Zachodnim Wybrzeżu panował totalny chaos. Rannych przewożono z wielkich miast do sąsiednich małych miejscowości, w których przetrwały placówki medyczne, najczęściej mieszczące się w parterowych obiektach. Ofiary kataklizmu umieszczano w workach, które układano na ziemi. Brak prądu i wody stanowił kolosalny problem. Centra zarządzania kryzysowego ulokowane na Zachodnim Wybrzeżu

dotknął paraliż i pomoc nie nadążała na czas. W całych Stanach organizowano ekipy ratunkowe i wsparcie humanitarne dla Utah i Kalifornii. Najnowsze informacje o uderzeniu asteroidy były wstrząsające. Zbombardowała okolicę Fairfield pod kątem 45 stopni, lecąc z prędkością około 31 kilometrów na sekundę. Krater, który powstał w miejscu zderzenia z Ziemią ma średnicę około sześciu kilometrów i głębokość siedemset metrów. Asteroida musiała mieć co najmniej półkilometrową średnicę. W promieniu dwustu kilometrów wstrząs powalił większość budynków i budowli, zniknęła cała infrastruktura niezbędna do życia. Duże zniszczenia zanotowano na obszarze o promieniu półtora tysiąca kilometrów od epicentrum. Zabudowa, media, komunikacja stanu Utah praktycznie przestały istnieć. Kontaktu z gubernatorem i władzami nie udało się nawiązać.

Doniesienia z Sacramento, stolicy stanu Kalifornia mówiły o zawaleniu się kilku wieżowców i setek mniejszych budynków oraz wielu ofiarach. Siła wstrząsów wyniosła 7,1 stopnia w skali Richtera. W serwisach podkreślano, że gdyby katastrofa nastąpiła w dzień roboczy, ofiar byłoby znacznie więcej. Artur szukał najświeższych informacji o największym drapaczu Sacramento, w którym mieści się redakcja Business Week. Z obrazu na żywo z kamer w dronach dostrzegł częściowo zachowany główny szkielet trzydziestopiętrowego Wells Fargo Center. Nie umiał ocenić, jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś w nim przeżył.

Część trzecia

Mężczyźni podejmowali próby otwarcia drzwi windy, aby zobaczyć, czy istnieje jakaś droga ucieczki. Młodzi faceci stara-

li się je rozsunąć – bez rezultatu. Nie udało się otworzyć przysłony otworu ewakuacyjnego w suficie. Obciążenie gruzem oraz przechył i deformacje na skutek uderzeń i wstrząsów spowodowały zaklinowanie się jej ruchomych elementów. Mieli świadomość, że niebezpiecznie jest opuszczać dźwig osobowy, wchodząc do szybu, ale wobec braku pomocy z zewnątrz byli na to gotowi. Znaleźli się jednak w pułapce bez wyjścia. Otworzyli niewielkie, stalowe drzwiczki przysłaniające telefon i system alarmowy. Urządzenia nie działały z powodu braku awaryjnego zasilania. Przy drzwiach, na ścianie, w czterech pionowych kolumnach ulokowano ze czterdzieści okrągłych przycisków, żaden nie reagował. Z zewnątrz wciąż nie dochodziły jakiekolwiek odgłosy. Dopiero po godzinie uwięzieni pasażerowie usłyszeli stłumione syreny i inne sygnały alarmowe, lecz nie umieli określić źródła ich pochodzenia. Mogli zgadywać, że dobiegają ze znajdujących się w pobliżu ambulansów, wozów policyjnych i straży pożarnej. To wlało trochę otuchy w ich serca. Fakt, że utknęli w najwyższym, sto trzydziestometrowym drapaczu chmur w mieście, który miał aż trzynaście elewatorów, nie pozostał niezauważony. Czy nasza winda jest tą pechową trzynastą? – pomyślał Mitch. Czy na odwrót – jest jedyną, która ocalała?

Wszyscy usiedli na podłodze kabiny, opierając się plecami o jej ściany. Z jednym wyjątkiem – zestresowana blondynka nadal leżała na boku i pojękiwała co jakiś czas. Kontakt z nią był ograniczony. Lepiej pozostawić ją samej sobie, w obawie przed napadem szału albo inną agresywną reakcją – uznał Mitch. Upływały kolejne kwadranse. Na chwilę w jednym z telefonów włączono opcję latarki, co umożliwiło starszemu

panu rozdzielenie jedzenia na sześć porcji. Postanowili rozlać część coli z jednej z butelek do plastikowych pojemników po fast foodach. Jedli powoli i oszczędnie, nikt nie wiedział, jak długo potrwa ta gehenna.

Mitch dostrzegł, że Alan trzyma w ręce dłoń Diany. Upływała piąta godzina od apokalipsy. Pomyślał, że mają szczęście – bo dopływ chłodnego powietrza z szybu, wobec braku wentylacji, ratował ich przed przegrzaniem i zasłabnięciem z braku tlenu. Czas wlókł się niemiłosiernie. Siedzenie również okazało się uciążliwe, więc położyli się na podłodze, z rękami pod głową. Na zegarku Mitcha godzinowa wskazówka przekroczyła północ.

Nagle, gdy siedzieli znużeni, pogrążeni w mroku i ciszy, zadzwonił jeden z telefonów. Młody facet w brązowej marynarce odebrał połączenie.

– Becky, to ty? – zawołał. – Cieszę się, że doleciałaś do Paryża! A więc wiesz co się stało! Słuchaj, jestem uwięziony w windzie, w pracy, w wieżowcu na dwudziestym piętrze. Jest tu ze mną pięć osób, dzwoń proszę po pomoc, od ośmiu godzin nie mamy z nikim kontaktu!... Obiecujesz?! Dzięki, kocham Cię!

Rozległy się trzaski, a jedna kreska zasięgu, która była jeszcze widoczna przez kilka sekund, zniknęła. Mitch doszedł do wniosku, że trwają usilne starania, by przywrócić łączność, co mogłoby uratować mnóstwo osób, których miejsce uwięzienia pozostawało nieznane. Należało to zrobić, zanim większości zaginionych samoistnie wyczerpią się akumulatory. Telefon z Paryża nie wlał wielkiej otuchy w serca uwięzionych. Służby przecież wiedziały o ich nieszczęściu. Byli zbyt zgnębieni psychicznie i wyczerpani fizycznie, by okazać nawet cień radości.

Co robić, jeśli winda urwie się i spadnie? rozważał Mitch. Czy stać z ugiętymi kolanami gotowymi do absorbowania wstrząsu, jak spadochroniarz? Teoretycznie nastąpi jakaś amortyzacja, ale nogi wygną się gwałtownie, a do tego nastąpi silne uderzenie miednicą w podłogę. Może właśnie w tej pozycji kolana, nogi i kręgosłup będą narażone na ryzyko większych urazów? A co z głową i szyją? – nastąpi złamanie kręgów? Być może taka pozycja – równoległa do pionowej linii siły ciążenia – zwiększa ryzyko złamania kości, ich zgniotu o podłogę pod wysokim obciążeniem masy i przyspieszenia. Stopy mają zbyt małą powierzchnię, by bez urazów zamortyzować uderzenie masy ciała spotęgowane przyspieszeniem. W końcu Mitch doszedł do wniosku, że najlepiej jest leżeć płasko na plecach na podłodze i osłonić czymś twarz i głowę w celu ochrony przed lecącymi fragmentami sufitu czy podłogi. Kabina na pewno roztrzaska się. Uderzenie o podłoże w pozycji leżącej spowoduje, że siła obciążenia będzie rozłożona równomiernie na całym ciele. Kręgosłup i długie kości ustawione prostopadle do kierunku uderzenia będą lepiej chronione przed zgnieceniem i mniej narażone na uszkodzenia. Na ile jednak mają sens takie rozważania? – pomyślał Mitch. Czy trzeba w ogóle przygotowywać się na taką ewentualność? – nie umiał sobie odpowiedzieć na tak postawione pytania.

Oby wybawienie przyszło, zanim cały szyb runie na ziemię z windą w środku. Prawda jest okrutna, skonstatował, mamy zero kontroli nad przebiegiem zdarzeń. Statystycznie windy są bardzo bezpieczne, tak długo, jak ich funkcje bezpieczeństwa działają prawidłowo i pasażerowie pozostają wewnątrz. Czytał kiedyś, że w Stanach w windach ginie rocznie mniej niż

trzydzieści osób, za to podczas upadków ze schodów – tysiąc sześćset. Ale cóż, reguła nie dotyczy globalnych katastrof. Nawet ta konstrukcja z końca XX wieku okazała się za słaba wobec niszczycielskiej mocy uderzenia z kosmosu.

Spali, gdy nagle rozległ się ryk silników helikoptera, dobiegający gdzieś z góry. Wstali, czekając na to, co nastąpi.

Mitch domyślił się, że być może ratownicy podejmą próbę transportowania uwięzionych w windzie na szczyt szybu, a potem do śmigłowca. Szybko wyliczył, że jeśli są na dwudziestym piętrze, to od maszynowni dźwigu dzieli ich ze czterdzieści metrów. Zadał sobie wiele pytań: co z dachem, który przykrywa szyb, czy pozostał na swoim miejscu? Czy maszynownia jest teraz pod otwartym niebem, czy też trzeba przez nią wydostać się na dach? Wszyscy czekali w napięciu na dalszy bieg zdarzeń.

Część czwarta

Artur otrzymał mejla z centrum dyspozycyjnego przed szóstą rano, gdy akcja ratunkowa w Sacramento trwała od pół godziny. Nie wiedział, w której z wind znajdował się Mitch. Szansa na ocalenie brata wynosiła jak jeden do pięciu. Ze stolicy Kalifornii informowano, że w nocy ekipy ratunkowe podejmą próbę wydostania ludzi z trzech wind w budynku Wells Fargo Center. Pozostałe dziesięć szybów windowych zawaliło się całkowicie, grzebiąc w gruzach pasażerów. Akcja będzie niezwykle skomplikowana. Zniszczona jest znaczna część dachu. Ratownicy muszą dostać się do maszynowni, następnie do kabiny i stamtąd wyciągarką podnosić poszkodowanych. Ryzyko będzie ogromne, ponieważ trzon budynku wraz z szybami jest

przechylony i grozi zawaleniem. Zaczęli akcję o drugiej, mimo panujących ciemności.

Niebezpieczeństwo potęgowały strugi powietrza wywołane przez helikopter, które mogły wprowadzić w drgania naruszoną konstrukcję – a właściwie resztki tego, co po niej zostało. Opuszczenie ratowników do zrujnowanego budynku narażało ich na śmierć. Aby instalować wciągarki w szybach, musieli odpiąć liny, na których opuszczono ich ze śmigłowca. Dwóch ratowników przy wciągarce, jeden w szybie dźwigowym – taką otrzymali instrukcję. Nachylenie szybu stanowiło dodatkowe utrudnienie. Opuszczany w nim ratownik musiał odbijać się nogami od popękanych ścian.

Artur obserwował obrazy z kamer. Silne reflektory zamocowane na helikopterze rozświetlały szczyt gmachu i teren wokół. Mnóstwo ludzi obserwowało akcję z dużej odległości, stojąc tuż za taśmami odgradzającymi niebezpieczny obszar. Wśród tłumu gapiów byli – czekający z nadzieją – członkowie rodzin osób zaginionych, nie figurujących na weryfikowanych listach odnalezionych. Ambulanse czekały na rannych i ofiary wydobywane z gruzów. Mimo nocnej pory media na żywo relacjonowały przebieg dramatycznych wydarzeń. Newsy przesuwające się na paskach ekranów telewizorów informowały o tragicznych skutkach uderzenia asteroidy w Utah i sąsiednich stanach, szczególnie w Kalifornii.

Część piąta

Ktoś stał na dachu windy i usiłował usunąć jakieś odpadki i kawałki metalu. Dochodził odgłos zrzucanych poza kabinę elementów i gruzu. Usłyszeli męski głos:

– Mówi strażak ratownik. Czy jest ktoś w windzie?

Odpowiedział mu niekontrolowany, zbiorowy okrzyk potwierdzenia.

– Ile jest osób?

Po uzyskaniu odpowiedzi poinformował:

– Spróbuję odblokować pokrywę – proszę przesunąć się na skraj kabiny.

Wszyscy, w tym blondynka w granatowym kostiumie i białej bluzce, posłusznie wykonali polecenie. Po chwili w otworze ukazała się twarz strażaka w hełmie i światło latarki wpadło do kabiny:

– Proszę pierwszą osobę! Należy usiąść w siedzisku, założyć i zapiąć szelki, a wokół ciała zaciągnąć wszystkie pasy. Najpierw kobiety!

Blondynka, dotychczas niemal nieobecna, już wsiadała do siedziska. Mężczyźni pomogli jej pozapinać pasy. Ratownik przekazał przez radiotelefon sygnał, by rozpoczęto wyciąganie. Po chwili kobieta w jego asyście powoli powędrowała w górę szybu. Po kilkunastu minutach przejęli ją ratownicy operujący wciągarką i została przemieszczona do siedziska podwieszonego na linie do śmigłowca. Po upływie kolejnych siedmiu minut blondynkę opuszczono na ziemię przy ambulansie i niezwłocznie zabrano do szpitala. Operację powtórzono i pani Diana, wymarzona sympatia Alana, została bezpiecznie przetransportowana do karetki.

W kabinie windy pozostało czterech mężczyzn. Nieoczekiwanie we wszystkich telefonach pojawiła się łączność. Stwierdzili ten fakt, sprawdzając je odruchowo, gdy sygnał SMS-a zabrzmiał w jednej z komórek. Starszy pan patrzył przez chwilę na ekran,

po czym osunął się na podłogę i siedział półprzytomny, ciężko łapiąc powietrze. Aparat wysunął mu się z ręki i upadł. Mitch i Alan pochylili się, by ocenić, czy seniorowi potrzebna jest pomoc. Tymczasem facet w brązowej marynarce podniósł z podłogi jego telefon i przeczytał treść SMS-a. Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego z przykrością informowała o prawdopodobnej śmierci żony pana Franka Johnsona. Jej ciało i dokumenty osobiste znaleziono w ruinach marketu. Agencja prosi pana F. Johnsona o skontaktowanie się ze służbami pod wskazanym numerem telefonu w celu ustalenia miejsca i godziny przeprowadzenia procedury identyfikacji.

Tymczasem w kabinie windy znów pojawiło się siedzisko i nie można było zwlekać. Facet w brązowej marynarce przekazał Mitchowi telefon pana Johnsona, wykonując przy tym ruch kciukiem do dołu i zapiął pasy. W windzie pozostało ich trzech. Dla Mitcha stało się jasne, że następnego odeślą na górę pana Johnsona. Zasłabł, więc jako ostatnia osoba nie poradziłby sobie z samodzielnym zapięciem pasów. Po kolejnych dwudziestu minutach Mitch i Alan wyekspediowali w górę starszego pana asekurowanego przez strażaka. Oczekiwanie na siedzisko ciągnęło się w nieskończoność. O tym, który z nich pojedzie następny, postanowili zdecydować, ciągnąc zapałki.

Telefon od Cindy przeszkodził w zapałczanej loterii. Mitch odetchnął z ulgą – była bezpieczna. Zorientował się, że nie miała kontaktu z Arturem. Nie chcąc, by się denerwowała, nic jej nie powiedział o sytuacji, w jakiej się znajduje. Potwierdził, że będzie w domu za godzinę. Alan nie miał tak silnych nerwów. Gdy drżącą ręką wyciągnął dłuższą zapałkę, nie potrafił ukryć uczucia ulgi.

Transport Franka Johnsona przebiegł z problemami, bo siedzisko powróciło do kabiny dopiero po pół godzinie, gdy dochodziła piąta rano. Strażak ratownik, wiszący nad otworem w dachu kabiny, prosił, by nie zwlekać ani sekundy – otrzymał ostrzeżenie przez radiotelefon, że szyb traci stabilność. Gdy Alan sadowił się w siedzisku, cały szyb zadrżał, a wraz z nim kabina, która ponownie obsunęła się nieco w dół. Strażak przekazał pilną wiadomość na górę:

– Wyciągajcie mnie natychmiast, nie ma czasu i dodał – ostatni dwaj pojadą razem!

– We trzech damy radę ich wyciągnąć! – po czym rzucił Mitchowi szeroki pas, który należało podczepić nad siedziskiem Alana, usiąść w nim i przytrzymywać się jego szelek. Sczepieni ze sobą czekali, aż strażak dołączy do kolegów i rozpoczną ruch do góry. W trakcie podnoszenia Mitch silnie otarł rękę o krawędź otworu w dachu kabiny. Trzech strażaków z wielkim wysiłkiem wyciągało ich na górę, robiąc krótkie przerwy. Mitch zobaczył, że żelbetowe ściany są zrujnowane i rzeczywiście szybowi grozi w każdej chwili zawalenie. Po blisko dwudziestu minutach przejęli ich strażacy. Mitch i Alan poszybowali w powietrzu, podczepieni do lin opuszczonych z helikoptera. Po ewakuacji pasażerów przyszła kolej na ekipę ratunkową. W niecałe pół godziny po zakończeniu akcji w szybie windy numer siedem cały trzon konstrukcji budynku – wraz z trzema szybami – zawalił się, a niektóre jego fragmenty spadły blisko ludzi – tuż przed odgradzającymi taśmami bezpieczeństwa.

Był świt. W serwisach informacyjnych podkreślono bohaterską postawę strażaków. Ocalono pasażerów dwóch wind z trzech częściowo ocalałych szybów. Do kabiny trzeciego

dźwigu nie można było dotrzeć, została przygnieciona wielkimi fragmentami gruzu podczas katastrofy. Żaden z jej pasażerów nie dawał oznak życia.

Część szósta

Trzy godziny po katastrofie prezydent wygłosił piętnastominutowe orędzie do narodu, przedstawiając pierwsze, dramatyczne dane o rozmiarach klęski. Ogłosił bezterminowy stan wyjątkowy oraz tygodniową żałobę narodową w związku ze śmiercią wielu milionów obywateli. Z całego świata napływały kondolencje i oferty specjalistycznej pomocy ratunkowej i humanitarnej.

W trzy tygodnie po tragicznej katastrofie Agencja Kosmiczna NASA oraz Departament Energii i Sił Powietrznych USA wydały specjalny komunikat dotyczący przebiegu katastrofy. Asteroida zaczęła pękać, będąc na wysokości siedemdziesięciu kilometrów nad powierzchnią Ziemi. Mniejsze odłamki, które oderwały się od głównej skały podczas przelotu przez atmosferę, dotarły do powierzchni Ziemi po około pięciu minutach i trzydziestu sekundach od uderzenia. Były maleńkie, stanowiły kosmiczny pył. Nastąpiło znaczące promieniowanie termiczne, a po około dwóch minutach od uderzenia pojawiły się drgania skorupy ziemskiej – trzęsienie ziemi o sile 7,1 stopnia w skali Richtera.

Fala uderzeniowa w powietrzu była silna, niemniej nie zdołała wybić Ziemi z jej aktualnej orbity. Pojawiła się po około dwudziestu pięciu minutach i poruszała się z dużą prędkością. Hałas wytworzony przez uderzenie tej fali w otaczające powietrze miał natężenie 78 decybeli.

Agencja kosmiczna NASA zawsze była świadoma obecności blisko siedmiuset obiektów znajdujących się w pobliżu Ziemi, z których każdy miał hipotetyczną, choć znikomą szansę uderzenia w naszą planetę. Fakt braku rozpoznania zagrożenia jest przedmiotem śledztwa, w które zostały zaangażowane wszystkie agencje rządowe USA. Nowym zadaniem amerykańskiego Departamentu Energii i Sił Powietrznych jest przeszkolenie jednostek interwencyjnych na wypadek wykrycia asteroidy na kursie kolizyjnym z Ziemią. W ocenie Centrum ds. Bliskich Obiektów NASA należy nieustannie kontynuować poszukiwania planetoid, by w przypadku wykrycia zagrożenia zmierzającego w naszym kierunku móc wystarczająco wcześnie podjąć skuteczne przeciwdziałania.

Gdyby jednak, mimo wszelkich wysiłków, nie udało się zapobiec kolejnej katastrofie, CNN ma przygotowaną muzykę i pożegnalną audycję na wypadek końca świata.

Tylko muzyka

I believe in music. I believe in love.

Część pierwsza

Nicolas pił wino i patrzył w stronę parku. Kawiarniany stolik i miejski ogród oddzielała wąska jezdnia. Zaintrygowała go dziewczyna siedząca na ławce. Nie poruszała się od wielu minut. Odniósł wrażenie, że uśpiona patrzy w dal. Było w tym coś niepokojącego. Jej splecione dłonie spoczywały na udach. Miała na sobie letnią bladoniebieską sukienkę z wąskimi ramiączkami i dużym dekoltem. Widział bladą skórę jej rąk i ramion. Dziwne, pomyślał, już lato w pełni, a jej ciało nie zaznało promieni słońca. Zadał sobie pytanie: co robiła przez ostatnie miesiące, skoro uniknęła opalenizny? Czyżby w ogóle nie chodziła po ulicach?

W myślach powtarzał swoją partię na wiolonczeli w *Bolero* Ravela. Dzisiejsza próba z orkiestrą była najważniejsza. Kwintet smyczkowy spisywał się bez zarzutu. Zresztą nikt z 26-osobowego składu nie zawodził zaufania dyrygenta. Lubił *Bolero*, proste wariacje jednego 18-taktowego tematu i narastającą dynamikę stylizowanego tańca hiszpańskiego, kiedy do orkiestry stopniowo dołączają kolejne instrumenty.

Sączył wino, obserwował blondynkę, snuł swoje muzyczne przemyślenia i wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Jakiś podro-

stek przechodzący parkową alejką chwycił torebkę, którą dziewczyna położyła obok siebie i szybko oddalał się, przyspieszając kroku. Nicolas, nie namyślając się ani przez moment, rzucił się w pościg za złodziejem. Przebiegł ulicę tuż przed maską przejeżdżającej taksówki i pędził przez park śladem uciekiniera. Gdy przebiegał obok dziewczyny, spostrzegł, że mogła nie zauważyć kradzieży. Miała półprzymknięte oczy i sprawiała wrażenie nieobecnej. Nicolas wiedział, że złodziejaszek nie ma z nim żadnych szans. Nie grał w kosza ani w siatkówkę, jak większość kolegów z uczelni, tylko po to, by mieć wpis w indeksie. Z zamiłowania trenował średnie dystanse w sekcji lekkoatletycznej.

– Oddaj torebkę, złodzieju! – zawołał donośnie.

Po kilkudziesięciu sekundach dogonił rabusia, który chcąc uniknąć schwytania, rzucił torebkę na trawę.

Nicolas podniósł torebkę i zobaczył, że oprych nie zdążył jej otworzyć. Oba suwaki były zasunięte. Zrezygnował z dalszego pościgu, uznając, że podstawowy cel został osiągnięty. Po co mam narażać się na pchnięcie nożem – pomyślał. Chłopak mógł biec na spotkanie ze swoją bandą i zaraz mogli być w przewadze. Gdy wracając, nie zobaczył blondynki na ławce, mocno się zdziwił. Gdzie się podziała? – zastanawiał się. Z torebką w ręku przemierzył duży fragment parku. Bez rezultatu. Dziewczyna jakby zapadła się pod ziemię. Osoby pytane o nią, po wysłuchaniu opisu jej wyglądu stwierdzały, że nikogo takiego nie zauważyły. Nicolas usiadł na ławce w nadziei, że blondynka wkrótce wróci. Po dwudziestu minutach, nie doczekawszy się jej powrotu, wrócił do kawiarni. Kelner, który uprzątnął szklankę z winem opróżnioną zaledwie do połowy, patrzył na niego zdziwiony. Widać, pogodził się ze stratą, bo gdy Nico-

las zjawił się, zapłacił kartą i dał w gotówce napiwek, uśmiechnął się szeroko.

– Gdzie pan zniknął? – zapytał z ciekawości.

– Goniłem złodzieja, który ukradł dziewczynie torebkę z ławki w parku.

– I dogonił go pan?

– Nie musiałem, rzucił torebkę na trawę, gdy właśnie miałem go schwytać.

– To ta torebka? – zapytał kelner, patrząc na jego ręce.

– Tak – odparł Nicolas. – Teraz mam problem, bo dziewczyna zniknęła. Przepadła bez śladu. Obszedłem park, siedziałem na tej samej ławce i nic. Młoda blondynka, z długimi włosami, w niebieskiej sukience, może pan ją widział? – zwrócił się z pytaniem do kelnera.

– Niestety, rzadziej wychodzę na zewnątrz, gdy operuje palące słońce. Większość gości przebywa wtedy w środku, wolą klimatyzację od upału.

– Może weszła do kawiarni, by się uspokoić? – zapytał Nicolas.

– Niech pan sprawdzi, ale moim zdaniem jej tam nie ma. Blondynkę zauważyłbym – dodał z uśmiechem. Wracając do kawiarni, szczerzył swoje białe zęby, które kontrastowały z ciemną karnacją ciała.

Grzeczny gość, wygląda na owoc francusko-algierskiej miłości – skonstatował Nicolas. Dziewczyna skomplikowała mi popołudnie – stwierdził z irytacją, bo do wtorkowej próby orkiestry pozostało pół godziny, a akurat tyle potrzebował, by dotrzeć do domu. A kiedy zdążę się przebrać, wziąć instrument i dojechać do sali? – pomyślał. Spóźnienie murowane. Już lepiej nie stawić się na próbie – zdecydował i wykonał te-

lefon do kolegi, by go usprawiedliwił. Absencja przytrafiła mu się po raz pierwszy.

Nicolas uznał, że nie będzie grzebać w cudzej damskiej torebce na oczach przechodniów. A zgłoszenie sprawy na policji byłoby kłopotliwe – to zeznania, protokoły i strata czasu. Włożył ją do plastikowej reklamówki, poszedł na przystanek autobusu i pojechał do domu, by w spokoju przeprowadzić swoje prywatne śledztwo. Wszedł do mieszkania i dowiedział się, że André – jego współlokator i kolega z konserwatorium – wróci późno. „Może przed północą" – wynikało z tekstu kartki pozostawionej na stoliku. A to mogło oznaczać, że wróci nawet nad ranem. Nicolas bez pośpiechu zrobił sobie zieloną herbatę, usiadł w fotelu, podniósł torebkę ze stolika i postawił przed sobą. Była dość ciężka. Rozsunął oba suwaki.

Część druga

W środku nie znalazł tego, czego się spodziewał, a więc: damskich kosmetyków, perfum, dokumentów, przyborów, pieniędzy, chusteczek, kluczy, komórki. Torebka nie zawierała niczego, co zwykle noszą kobiety. W każdej z przegródek znajdowały się po dwie przezroczyste, plastikowe paczki wypełnione drobnymi, niebieskimi kryształami. Nicolas stracił dech w piersiach. Oglądał seriale o gangach narkotykowych i ten obraz widział setki razy. Jeśli twórcy filmu *Breaking Bad* przestrzegali realiów – leżały przed nim cztery 250-gramowe paczki metamfetaminy. I to jakiej! – krystalicznie czystej.

Strach zajrzał mu w oczy. Cały kilogram. Wpadł w panikę. Chciał natychmiast oddać ten trefny towar, ale nie wiedział komu. Dokładnie przeszukał torebkę w nadziei, że znaj-

dzie jakąś przydatną wskazówkę, która da mu szansę zwrotu jej zawartości właścicielom. Wiedział o istnieniu wszechobecnej mafii narkotykowej, ale z koksu nie korzystał. W torebce, poza czterema paczkami, nie było niczego. Ich właściciel najwyraźniej nie był zainteresowany ujawnianiem swoich danych. Torebka, wykonana z gładkiej, ciemnogranatowej skóry, nie wyróżniała się niczym, brakowało nawet znaku firmowego.

Nicolas siedział przerażony. Po raz pierwszy znalazł się w niebezpiecznej sytuacji, z której nie widział wyjścia. Jak mam zwrócić torebkę, skoro nie wiem komu? – zadawał sobie w kółko retoryczne pytanie. Był bezradny. Żadne zachowanie mające logiczne uzasadnienie nie przychodziło mu do głowy. Myśl o telefonie do Monique porzucił niemal natychmiast. Nie może w aferę, którą sam wywołał, wplątywać swojej dziewczyny. Mają się spotkać i do tego czasu musi być po sprawie. Po godzinnym namyśle postanowił wrócić do parku i kawiarni, by raz jeszcze rozejrzeć się na miejscu. Czekanie w domu na dalszy bieg zdarzeń, może nawet wizytę rzezimieszków, uznał za idiotyzm. Coś musiał zrobić sam, zamiast bezwolnie zdawać się na wyrok losu. Wspiął się po drabinie i odkręcił śrubę mocującą szeroką rozetkę pod sufitem, maskującą ceramiczną kostkę elektryczną i kable zasilające duży ośmioramienny żyrandol. Cztery paczki umieścił w mosiężnej rozetce, po czym przesunął ją po rurce w górę, dociskając do sufitu. Ponownie przykręcił śrubę. Rozetka spełniła swoje zadanie. Wyszedł z domu o dwudziestej i wziął taksówkę. Jazda trwała ponad pół godziny, ulice były zakorkowane. Wszedł do kawiarni z zamiarem odnalezienia kelnera, z którym rozmawiał. Niestety, od razu zorientował się, że pracowała inna zmiana. Uznał, że rozmowa z kimkolwiek innym z perso-

nelu nie ma sensu. Usiadł przy stoliku, by zamówić kawę. Gdy obsługująca dziewczyna podeszła do niego, zapytał:

– Przepraszam, dzisiaj po południu byłem w kawiarni i rozmawiałem z kelnerem, który podał mi wino na tarasie. Miał ciemną karnację, był wysoki i szczupły, około trzydziestki. Wie pani, o kogo chodzi?

– Pewnie pyta pan o Marcela, dzisiaj pracował do osiemnastej. Wziął wolne do soboty.

– Co za pech – powiedział Nicolas. – Jestem muzykiem, obiecałem mu bilety na piątkowy koncert. Premierowy w Nantes. Niestety, zgubiłem kartkę z jego telefonem i nie mam jak mu ich przekazać. Czy mógłbym otrzymać do niego kontakt?

– Zwykle nie udzielamy takich informacji, ale... zapytam szefa – odpowiedziała.

Wróciła po chwili i oznajmiła Nicolasowi, że szef go prosi, dodając:

– Proszę iść za mną.

Nicolas znalazł się w niewielkim pokoju bez okien. Za biurkiem siedział mężczyzna po pięćdziesiątce, o zmęczonej twarzy i włosach przyprószonych siwizną.

– Proszę przekazać mi bilety, dam je Marcelowi – powiedział na wstępie.

– Nie mam ich jeszcze, dlatego bardzo proszę o jego telefon. Gdy będę je miał, umówię się i sam mu przekażę – odparł Nicolas.

– Obowiązują nas zasady, nie mogę dać panu jego numeru, nie znam pana. Zróbmy inaczej, proszę podać swój numer, Marcel zadzwoni do pana. Pana godność? To muszę mu przekazać.

Nicolas w jednej chwili stracił grunt pod nogami. Opowiedział zmyśloną historię o biletach, więc podawanie swoje-

go numeru i przedstawianie się było absurdem. Gorączkowo szukał wyjścia z fatalnej sytuacji. Przedłużającą się ciszę przerwał dzwonek jego telefonu. Dzwoniła Monique, nieświadomie przychodząc mu na ratunek.

– Bardzo przepraszam, wyjdę na chwilę, muszę odebrać – powiedział do szefa kawiarni i wyszedł na korytarz. Nie odebrał połączenia i pobiegł ku wyjściu. Sądził, że udało mu się niepostrzeżenie opuścić kawiarnię. Złapał taksówkę.

Część trzecia

Roger, właściciel kawiarni Czarny Kot, natychmiast po zniknięciu nieznajomego zadzwonił do Marcela.

– Marcel, słuchaj, facet był tutaj. Wymyślił historię z biletami dla ciebie, bo chciał dostać twój numer. Odmówiłem. Dał nogę, gdy poprosiłem o jego numer i nazwisko. Mam zapis z kamer, jak zwiewa z kawiarni. Wsiadł w taksówkę, numer zapisaliśmy. Zaraz sprawdzę, dokąd jedzie. Gość wyglądał na mocno przestraszonego. Powiedz mi jeszcze raz, to ważne, o co pytał ciebie ten diler, Max?

– Opisałem mu wygląd nieznajomego, przytoczyłem treść rozmowy o torbie i blondynie. Gość chwalił się, że zapobiegł kradzieży. Nie mógł zrozumieć, dlaczego okradziona zniknęła, szukał jej, chciał zwrócić własność. Nie miał pojęcia, w co się wplątał, to jasne. Ale teraz już wie. Nieznajomy płacił kartą – podałem Maxowi dane transakcji. Pewnie już ma jego personalia i adres. Miejmy nadzieję, że gdy odzyskają towar, dadzą mu spokój. Chyba zrozumieli, że nie jest z brygady antynarkotykowej, policji ani z konkurencji.

– Dobra, na razie masz wolne do soboty. Wrócisz, jak sprawa się rozwiąże. Dam ci znać. Nie chcę narażać interesu przez tę głupią historię. Powiedziałeś Maxowi prawdę, miejmy nadzieję, że nie będzie tu węszył. Przekażę Lucowi, by przez jakiś czas przestali tu oferować metę. Żadnych działek! Nie chcę kłopotów. Trzymaj się!

Po rozmowie z kolegą z korporacji, Roger, szef kawiarni, znał już adres domu, do którego pojechała taksówka, która o 20.53 ruszyła spod kawiarni. Podzielił się tą wiedzą z Luciem.

Część czwarta

Nicolas zmienił zamiar i zamiast do domu pojechał do Monique. Wiedziała, że próba orkiestry skończy się o ósmej i na pewno czekała na niego. Umawiali się, że postara się wpaść, więc chciał dotrzymać słowa, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Musiał uspokoić się i postarać zebrać myśli. Rozmowa w kawiarni była dziwna, był o włos od ujawnienia numeru własnego telefonu i nazwiska.

Monique na powitanie objęła go czule i pocałowała – co z trudem jej odwzajemnił. Gdy usiedli do kolacji nie słuchał uważnie jej słów. Zapytany nagle: „co o tym myśli?" nie wiedział, o co chodzi. Rozmowa nie kleiła się, więc zapytała go wprost, czy ma jakiś kłopot. Wyłgał się problemami na próbie, co nie zabrzmiało wiarygodnie. O dziesiątej, tłumacząc się zmęczeniem, pożegnał się z Monique i pojechał do domu.

Wchodząc do klatki, spojrzał na zegarek. Do jedenastej brakowało dwudziestu minut. Ogarnął go niepokój. W windzie zamiast czwórki nacisnął piątkę, by nie natknąć się na nieproszonych gości. Wysiadł i bezszelestnie zszedł kilka stopni w dół,

by sprawdzić, czy nie dzieje się coś niepokojącego. Nie zauważył niczego podejrzanego. Wsunął klucz do zamka, ale okazało się, że drzwi do jego mieszkania nie są zamknięte. Uchylił je powoli. W domu panował niesamowity bałagan. Fotele były poprzewracane, z szaf wyrzucono wszystko. Na podłodze leżały szuflady odwrócone do góry dnem, a w kuchni walały się garnki i naczynia. Lampa w salonie wisiała nienaruszona. Rozetka nadal skrywała swój sekret. Poszedł do łazienki, żeby umyć twarz i dojść do siebie. Na ceramicznej podłodze leżał André. Krew płynęła z rany na jego głowie. Miał zamknięte oczy, wydawał się nieprzytomny. Nicolas chwycił go za rękę i wyczuł słaby puls. Przykleił na ranę szeroki plaster, by zatamować krwotok. Zadzwonił po pogotowie, zgłaszając nieszczęśliwy wypadek. Natychmiast przystąpił do porządkowania mieszkania, by ukryć ślady włamania i napadu. Rzeczy nieskładnie powrzucał do szaf, aby nie walały się na podłodze. Gdy lekarz i ratownicy medyczni weszli do apartamentu, panował w nim względny porządek. Niewielki rozgardiasz można było kojarzyć z faktem obecności w męskim gospodarstwie.

Nicolas oświadczył, że André, swojego współlokatora, znalazł w łazience. Prawdopodobnie zemdlał i uderzył się. Nie ruszał go, by nie uczynić większej krzywdy. Nie wiedział, jak długo kolega leżał w łazience. Po pogotowie zadzwonił natychmiast, jak przyszedł do domu.

Ekipa medyczna po stwierdzeniu, że pacjent żyje, ale jest nieprzytomny, ułożyła André na noszach. Ratownik zabrał jego paszport, zostawił Nicolasowi dane szpitala, spisał personalia oraz numer telefonu. Na pytanie o rodzinę poszkodowanego, Nicolas nie potrafił udzielić odpowiedzi. Wiedział jedynie,

że jego rodzice mieszkają w Lille. Obiecał odszukać kontakt i zawiadomić ich o nieszczęśliwym wypadku. Karetka z André odjechała na sygnale i Nicolas został sam.

Dzisiaj raczej nie wrócą – ocenił prawdopodobieństwo kolejnego najścia przez gang. Nadal dręczyła go myśl, jak zwrócić metę mafiosom. Wciąż nie wiedział, kim są ani gdzie ich szukać. Musiał czekać na ruch z ich strony. O drugiej w nocy zabrzęczała komórka. Z nieznanego numeru otrzymał SMS-a z ultimatum. Polecono mu wyjść z domu z towarem o trzeciej w nocy i iść w stronę najbliższej stacji metra. „To twoja ostatnia szansa" napisano na końcu wiadomości.

Nicolas wszedł na drabinę i wydostał z rozetki metamfetaminę. Paczki włożył z powrotem do torby. I czekał. Czas płynął wolno. Napięcie potęgował fakt, że nie mógł przewidzieć, co się wydarzy. Punktualnie o trzeciej wyszedł z bramy swojego domu i skierował do stacji metra. Mijał drugą przecznicę, gdy pojawił się przy nim motocykl. Gość w czarnej skórzanej kurtce i kasku o stalowym kolorze nagle zajechał mu drogę.

– Nicolas, oddaj towar! – powiedział.

Bez słowa przekazał mu torebkę. Motocyklista zajrzał do środka, po czym wrzucił ją do swojego plecaka i starannie zasunął suwak. Zniknął natychmiast za rogiem, a całe zdarzenie trwało kilka sekund. Nicolas przez chwilę stał oszołomiony, po czym ruszył w drogę powrotną.

Część piąta

Wydarzenia feralnego dnia doszczętnie zburzyły w nim wewnętrzny spokój. Po powrocie do apartamentu włączył płytę z nagraniem *Bolera* Maurice'a Ravela. Kapitalne wykonanie

London Symphony Orchestra pod batutą Valery Gergieva było wzorem dla nich wszystkich. Świat muzyczny obiegła właśnie wiadomość, że wygasły prawa do utworu. Teraz można grać dzieło kompozytora bez płacenia tantiem. Była środa, więc do premierowego koncertu pozostały dwa dni. Nicolas mógł być dumny, że będąc jeszcze studentem konserwatorium, dostąpi zaszczytu występu w renomowanej orkiestrze. Monique cieszyła się razem z nim. Po koncercie zaplanował zabrać ją na kolację i powiedzieć coś ważnego, co planował od dawna. Odzyskał względny spokój i nadzieję, że Monique nie dowie się o historii z feralną torebką. Jedynym zagrożeniem był André.

Nicolas zadzwonił do szpitala, by dowiedzieć się o stan jego zdrowia.

– Przeżyje – powiedziała dyżurna pielęgniarka. – Odzyskał przytomność. Teraz dostał środki uśmierzające ból i zasnął. Niech pan przyjdzie o dziesiątej, po obchodzie profesorskim. Wtedy będziemy znać wyniki badań. Sądzę, że za trzy dni opuści szpital.

Nicolas odłożył słuchawkę. Wiadomość sprawiła, że poczuł niewielką ulgę. Postanowił, że rodziców kolegi powiadomi po wizycie w szpitalu i rozmowie z André. Była noc. Przebieg nagłej wizyty bandziorów w mieszkaniu i wiedza André o jej przyczynach pozostawały dla niego zagadką.

Nicolas uświadomił sobie, że musi kupić białą frakową koszulę z usztywnionym stojącym kołnierzem i załamanymi rogami oraz kamizelkę. „Pierwszą gażę powinniście zainwestować w porządny strój na scenę" – powiedział dyrygent. Miał rację. Na koncertach muzyki klasycznej dress code obowiązuje.

PROZA
I PROZA
POETYCKA

Myśli rozbiegane

Jeśli jesteś przeciętniakiem, to musisz bardzo się starać, by zrobić coś dobrze, jeśli geniuszem, masz problem, by coś świadomie spieprzyć.

*

Zmarli odwiedzają tych, którzy za życia byli im coś winni.

*

„NIE" możesz powiedzieć na wiele sposobów – inteligentny rozmówca i tak zrozumie twoje intencje.

*

Dobre i złe porównujemy do „dnia i nocy" – popełniając wielki błąd, gdyż noc jest zwykle o wiele słodsza od dnia.

*

Kadzenie komuś smakuje jak potrawa, do której wsypaliśmy wszystkie posiadane przyprawy.

*

Tyle światów, ilu ludzi, tylu ludzi, co świat napłakał.

*

Jutro przyjdzie nowy dzień, a z nim jedzenie – mówi rosyjskie przysłowie. Długo można tak głodować?!

*

Jeśli sądzisz, że pokochałeś – wyjedź, to jedyny sposób, by uzyskać pewność. Niestety, ogromna większość odjeżdża wtedy, gdy jest już o wiele za późno.

*

Na wszystko jest właściwy czas i miejsce, więc niewielu doznaje pełni szczęścia. Nie pomagają najlepsze aplikacje komputerowe.

*

Kiedy wahasz się, czy zjeść jeszcze jedną czekoladkę – zupełnie niepotrzebnie stresujesz się przed snem. W nocy, gdy opadną powieki, i tak dopadną Cię oglądane za dnia cudne prezenterki słodkiej reklamy i grube baby przed dietą.

*

Jak usłyszysz, że robota zrobiona jest na 100 procent – przypomnij sobie, jakie oceny z matematyki miał w szkole przeciętny Jaś i po prostu głębiej schowaj portfel.

*

Budowa mostu zaczyna się od rozpoznania geologicznego, potem jest projekt, wreszcie trwa budowa, a po jej zakończeniu konstruktor musi pierwszy po nim przejechać. W brydżu jest podobnie: licytujemy (rozpoznanie), ustalamy kontrakt (projekt), następuje rozgrywka (budujemy) i na koniec dokonujemy zapisu (rozgrywający zbiera efekty swojej pracy). Różnica polega zaś na tym, że w przypadku wpadki rozgrywający przeżyje nawet wtedy, gdy nie umie pływać, zaś konstruktor – nie. Dlatego słów *bridge* i *most* nie do końca można uznać za synonimy.

*

„Na chybił trafił" mówimy w Lotto i zawsze spełnia się nasze życzenie, bo chybiamy i od razu trafia nas szlag. Skala spełnienia jest proporcjonalna do ilości opłaconych zakładów.

*

Każdy, kto potrafi powtórzyć ze zrozumieniem cały tekst akapitu powyżej, z pewnością będzie grać w brydża, jednak co do jego zdolności budowania mostów takiej pewności brak.

*

Gdy nasz dozorca, zapytany o to, czy hydraulicy usunęli awarię wody, odpowiedział: „Przyszły, coś robiły i poszły – a wody, jak nie było, tak nie ma", najpierw wpadłem w zachwyt, że kobiety żadnej pracy się nie boją, a zaraz potem ogarnął mnie żal, że nie zobaczyłem żadnej z nich. Może wśród nich jakaś ładna blondynka była?

*

Jeśli przystępujesz do pisania książki, wiedz, że piszesz ją dla siebie. I właśnie dlatego musi być dobra.

*

Nadmiar planów to utopia, która może Cię więcej kosztować, niż to wynika z prostej matematyki. A zawrócić z obranej drogi jest trudniej, niż Ci się wydaje.

*

Praca jest wartością, z którą trudno jest się rozstać i ta sentencja obowiązuje bez względu na wiek, oczywiście pod warunkiem, że jesteśmy zdrowi.

*

Nie bądź werbalnym leniuchem i nie postępuj jak wszyscy: prezenty w walentynki, pączki w tłusty czwartek, indyk na Święto Dziękczynienia, chryzantemy w Zaduszki. Nie jedziesz pociągiem, nie musisz wysiadać ze wszystkimi na tych samych stacjach. Nie grasz według tych samych nut w jednej orkiestrze. Rok ma ponad trzysta dni i każdy z nich możesz na swój sposób wypełnić dobrocią, uczuciem, szacunkiem albo tym, na co Twoje otoczenie rzeczywiście zasługuje. Porzuć to mizerne naśladownictwo, stać Cię na więcej.

*

Gdy jesteśmy zdrowi, mamy tysiąc pomysłów na spędzenie czasu, wciąż usiłujemy znaleźć równowagę między pracą a rozrywką. Jeśli pracujemy w rozrywce, to mamy problem.

*

Pisanie książek, gdy nie ma się zaplecza marketingowego, jest jak budowanie domów z piasku. Nie dość, że nie zarobisz, to jeszcze przysporzysz sobie zazdrośników, którzy czytają je, by zatriumfować, znajdując jakiś wydumany błąd.

*

Ważne jest, by pamiętać, po co się coś rozpoczynało, jednak skuteczna kontrola biegu własnych spraw nie jest możliwa. Twoja idea, czy chcesz tego, czy nie, niemal od razu będzie żyć własnym życiem.

*

Życie pisze najciekawsze scenariusze.

*

Własny los tworzymy sami, kierując się cechami i zdolnościami, które pochodzą z naszej genetyki.

*

Nagłe zdarzenie może losowo nas dotknąć, jest jednak skutkiem istniejących reguł ogólnych.

*

Nie myślmy egocentrycznie, to nieszczęście, które nas spotkało, nie jest wyjątkiem, ono dotyka miliony osób.

*

Milczenie nie zawsze jest cnotą, czasem jest okrucieństwem.

*

Słowo potrafi zranić głębiej, niż sobie wyobrażamy.

*

Miłość to stan umysłu, który naraża nas na takie same niebezpieczeństwa, jak nienawiść.

*

Ambicja szybująca ponad pułapem własnych możliwości w większości przypadków okazuje się niszcząca.

*

Nigdy nie dowiemy się, jaki jest pułap własnych możliwości, jeśli zrezygnujemy ze swoich największych ambicji.

*

Łut szczęścia to coś, co odmienia z siłą błyskawicy nasz los i zwykle zdajemy sobie z tego od razu sprawę, lecz czasem jego świadomość z wolna dociera do nas z upływem lat.

*

Skoro „Piekło jest dobrymi uczynkami wymurowane", to czy „Raj z grzechów powstaje"?

*

Głosić prawdy jest łatwo, ale trudniej w zgodzie z nimi żyć. Rozum pozwala podejmować bieżące decyzje, ale ich mądrość weryfikuje czas.

*

Nie wszystko złoto co się świeci, nie każda czerń jest złem.

*

Ludzie tworzą miasto. Miasto tworzy ludzi.

*

Trzeba wielkiej pokory i rozsądku, by uczyć się na błędach innych. Tak bardzo pragniemy wiele doświadczyć, że nie umiemy z niczego rezygnować. Zwykle więc uczymy się na błędach własnych, a to bardzo drogo kosztuje.

*

Dawać coś i jeszcze o to prosić – to za wiele.

Bez tytułu

U mnie – jak w trumnie, ciasnota – ciemność,
znużenie, zmęczenie, zniechęcenie,
zniesmaczenie, zasmucenie i znudzenie,
zdenerwowanie, zawirowanie, zobojętnienie,
zubożenie, zwichrowanie,
na tle pracy, pogody, urody, mody,
przypadek ego do zbadania
psssychiatrycznegoo,
odchylenie osobowe – jesienno-zimowe,
nostalgia, alergia i hipochondria.
Osowiały, stroniący od wody,
noszę krzywy dziób, oczy w słup,
takiego widoku nie ma nigdzie wokół,
nie nadaje się na cokół,
a jeszcze do tego opadło mu ego,
a myślał, że te przypadki są z sąsiedniej klatki.
Mimo tego, coś w nim jest, czarny kot, wściekły pies,
ta klatka jest jego,
on w tej klatce żyje, rozchełstane myśli,
już nawet nie pije,
pozorna ogłada, myślowa zagłada,
kto to przeczyta,
resztę wyśni,
czarna dziura
mu się przyśni
i dostanie mdłości,

od codziennej solidności,
układności, porządności,
przykładności i grzeczności,
gdy więc czasem jasność myśli mózg rozświetli o poranku,
padnie wreszcie kwestia, jak potworna bestia,
jak chęć straszna,
by przy kwaśnej zupie wypowiedzieć te słowa:
moi wiarołomcy, tak naprawdę – mam was w d...
Doba ma godzin 24, dla życia jest 16, z czego 8 na radość,
a 8 na sen,
pozostałe godziny służą ciemiężeniu człowieka przez człowieka.
Kto zakłóca ten porządek, męczy innych i siebie,
służy celom diabelskim,
choć być może czasem...nic o tym nie wie.
(albo nie chce wiedzieć) i dla potomności śle motto na przekór:
„Cześć..., ... już wy... co słychać u Ciebie?
Jak minął dzień?!".
A dzień minął jak jakiś zły sen i dowiódł, że polską mentalność
kształtuje egoizm i chamstwo, pazerność, brutalność,
cynizm i obłuda,
a wszystkie te cechy ma ściemnić niedziela,
gdy się nagle Polak na miłość otwiera,
a spieszyć się musi, bo wie,
że drewniany wałek przyda mu się
już w ten poniedziałek.

Autor słów wyżej napisanych,
prosi by przyjąć je z przymrużeniem oka,
i przesyła Ci mocny uścisk dłoni
z życzeniem wiary w świat,
pełen kwiatów i uśmiechów,
może niezbyt realny,
ale – przynajmniej dla niektórych – piękny.
Róbcie coś innego, nowego, żyjemy za krótko, żeby nie marzyć.

Czego oczekiwać?

Najlepiej nie za wiele. Wtedy nie będzie rozczarowań i smutku. Ale cóż, wiemy doskonale, że taka postawa jest sprzeczna z ludzką naturą, bo jedyne, co człowiek ma naprawdę własnego – to życie i pragnąłby wieść je jak najlepiej. To „najlepiej" w zależności od wielu endo– i egzoczynników jest inne u każdego z nas. I, co ważne, zmienia się wraz z upływem czasu.

Co nas odmienia? Praca, dom, najbliżsi, znajomi i obcy, których reakcje i zachowania mogą nas natchnąć albo przygnębić. Właściwie wszystko, co nas otacza, kształtuje nasze życie: zdrowie, pasje – mniej lub bardziej udane – charakter i cechy osobiste, nasze korzenie, wykształcenie, środowisko, w jakim żyjemy.

Spośród cech osobistych niepoślednią rolę odgrywa wrodzony poziom temperamentu, który determinuje cel i kierunek, szybkość i skalę naszych poczynań. Ambicje i marzenia zwykle dopasowujemy do górnego (w naszym mniemaniu) poziomu swoich możliwości. Dla jednych jest to wyjazd za miasto na kilkudniowy wypoczynek, dla innych – przemierzanie na koniu południowoamerykańskich pampasów w poszukiwaniu straconego czasu. Każdy z nas tworzy codziennie własny, niepowtarzalny świat.

Bogaty prostak dorobkiewicz kreuje marzenia na kanwie swojej marnej wiedzy o świecie i kulturze. I w najpiękniejszych miejscach świata, dokąd trafił zwabiony reklamą, najsilniej przeżywa emocje smaku miejscowego piwa.

Pogardzany przez niego wykształciuch, dużo wiedząc o kulturze, historii, znający mapę, często cierpi, nie mogąc zobaczyć na własne oczy tego, o czym wie, że istnieje i pragnąłby podziwiać z autopsji.

Panta rei powiedział Heraklit z Efezu i tymi dwoma słowami spuentował świat, historię, zmienność naszego życia i niepewność jutra. Szczęście niejedno ma imię. Cieszmy się tym, co mamy i co nas otacza. Dostrzegajmy piękno przyrody.

Zdobądźmy się na zatrzymanie czasu na chwilach radosnych. Nie rozpamiętujmy krzywd. Ich poczucie wynika z naszych indywidualnych, subiektywnych odczuć i zwykle bazuje na wygórowanych oczekiwaniach. Inni to samo widzą inaczej, przez pryzmat własnej odmienności.

Umiejmy się cieszyć i z cudzych radości. Kochajmy ludzi i siebie, a cały świat starajmy się zaakceptować taki, jakim on jest.

Są jednak obszary i zjawiska, których nie powinniśmy akceptować. To głód, przemoc, cierpienie, niesprawiedliwość, które występują pod różnymi postaciami. Bądźmy na nie wrażliwi i nie pozostańmy wobec nich obojętni. Szukajmy równowagi pomiędzy miłością do ludzi, świata i siebie samego.

Gonitwa

Sen – alarm – przebudzenie – mocz – czajnik – kawa – mleko – czas
Gonitwa
Ożywienie – ciało – włosy – sieczka – nogi – łazienka – prysznic
Gonitwa
Łóżko – bielizna – kanapki – zęby – golenie – tabletki – gaz
Gonitwa
Spodnie – koszula – buty – marynarka – teczka – telefon – kluczyki
Gonitwa
Okna – światło – śmieci – klucze – drzwi
Gonitwa
Samochód – gaz – światła – rowery – wiraże – piesi – pasy – znaki
Gonitwa
Garaż – parking – rozmowa – lista – winda – klucz – pokój
Gonitwa
Klima – okno – komputer – drukarka – sejf – klucze – pieczątka – karta
Gonitwa
Czytnik – telefon – poczta – pisma – przetarg – oferta – dyskusja
Gonitwa
Spotkanie – audyt – kontrola – stres – matnia – wezwanie – mgła
Obojętność
Odjazd – horyzont – cienie – ciemność – mrok – cisza – syrena
Nieobecność
Światła – wiraże – lampa – chłód
Spokój
Cienki pisk – linia prosta – koniec – z g o n... i t w ą.

Czas poczęcia

(drzewo, lęk roku pierwszego)

Jesień

Przywiane podmuchem wiatru
dotknęło ziemi,
lekko i z niedowierzaniem.
– Czy to tu? – zapytało cichutko.
– Tak, tak! – odpowiedziały drzewa
radosnym szumem liści
– osłonimy cię, ochronimy...
Deszcz umył je i napoił.
Wrastało w miejsce swych narodzin,
coraz śmielej, z bezbronną ufnością.
W głąb, wszerz, w nieustannie słabnącym słońcu.
– Spiesz się, spiesz,
czas twojej próby nadchodzi –
szeptały drzewa.
Widziało drżenie ich gałęzi
w pierwszych porywach chłodu.
Trwało przytulone do ziemi,
nieświadome nadziei przetrwania.

Zima

Obdarowane liśćmi drzew,
słyszało wokół trzask zimna.
Płatki śniegu niesione wiatrem
przykryły wszystko.
Nastał sen, który był czekaniem
na to, co miało nadejść.
Cisza i spokój pierwszego domu.
Drzewa wokół z wiatrem rozmawiały,
wzruszały ramionami:
– niech śpi, niech śpi.
Świat wokół zastygł.
One już znały ten cichy czas.
Czas białego spokoju.
Czas czekania na słońce,
które obudzi moc zieloną.
Czuwały cierpliwie,
gdy ono spało głęboko,
z wiarą w dobro natury.

Wiosna

Płynąca biel obudziła je ze snu,
porywając ze sobą liście.
Znów ujrzało drzewa
leniwie przeciągające swe ramiona.
Promień słońca uśmiechnął się do niego:
– zbudź się, wstawaj, już czas.
Drzewa powitały je radosnym szeptem:
– spójrz, jesteś jednym z nas.
Spojrzało wokół ciekawie.
Ciepło słońca wysłało impuls istnienia,

życie budziło się wokół z siłą,
jakiej ono nigdy nie widziało.
Przyroda ofiarowała mu szansę.
Już wiedziało, że przetrwa.
Minął lęk roku pierwszego.
Z nadzieją wsłuchiwało się
w zgiełk lasu,
który wciąż narastał.
Nastał czas wiosny,
czas wzrastania.

Lato

Gdy wiosnę wypaliło gorące słońce,
poznało pełnię życia.
Ciszę i żar pierwszego lata
przywitało ubrane w zieloną szatę.
Promienie, już niestraszne,
dały mu siłę wzrastania.
Napojone deszczem
wrastało w miejsce,
które wyznaczyła mu przyroda,
niosąc wiatrem nasionko
ku nieznanemu przeznaczeniu.
Mogło już zobaczyć
dywanik trawy rosnącej wokół,
nawet spojrzeć gdzieś dalej,
ku kwiatom na krzewach,
o zapachu,
który będzie trwałym wspomnieniem
jego dzieciństwa.